

Aneta Rzepka

Nie wierzysz w talizmany? Nie musisz.
Wystarczy, że pozwolisz działać magii...



MAGIA

KASZTANA

R
W
2
0
1
0

Spis treści

Rozdział I. Przesadzona

Rozdział II. Jagódka

Rozdział III. W nowej szkole

Rozdział IV. Święta w Warszawie

Rozdział V. Problemy małe i duże

Rozdział VI. Byle do przodu

Rozdział VII. Dziwny scenariusz

Rozdział VIII. Rozliczenie

Rozdział IX. Chwila prawdy

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

Przypisy

ANETA RZEPKA
MAGIA KASZTANA

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2012
Redakcja: Joanna Śłużyńska
Korekta: Natalia Szczepkowska, Robert Wieczorek
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © Aneta Rzepka 2012
Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński
zdjęcie na okładce © *aleshin / Fotolia.com*
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012

e-wydanie I

ISBN 978-83-63598-42-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu –
z wyjątkiem
cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Rozdział I. Przesadzona

*Najważniejsze jest, by gdzieś istniało to, czym się żyło:
i zwyczaje, i święta rodzinne.
I dom pełen wspomnień.
Najważniejsze jest, by żyć dla powrotu.*

Antoine de Saint-Exupéry

1.

Kamila usiadła na pniu ściętej brzozy i spojrzała w niebo. Liście, mieniące się w promieniach słońca różnymi odcieniami zieleni, nieśmiało tańczyły na tle bezchmurnego błękitu. Wiatr, uderzając w nie jak w struny, cichutko nucił pieśń o dziewczynie, która kiedyś fotografowała w lesie zwierzęta. Uwielbiała podkradać się do kryjówek zajęcy, zaglądać do wiewiórczych dziupli, szpiegować sarny.

Pewnego dnia, gdy pogrążona w marzeniach siedziała na ściętym pniu brzozy, do jej uszu dobiegł śpiew szczygła. Nadarzyła się niepowtarzalna okazja na pstryknięcie kilku zdjęć i dziewczyna postanowiła ją wykorzystać. Jedno zbliżenie, drugie... Pochłonięta ulubionym zajęciem, nie zauważyła, że ktoś nadchodzi. Drgnęła, gdy tuż za sobą usłyszała trzask łamanej gałęzi. Odwróciwszy głowę w stronę, z której dochodził hałas, ujrzała wysokiego chłopaka, spoglądającego na nią dużymi oczami w kolorze kasztanów.

– Nie bój się – powiedział łagodnie. – Już sobie idę.

Wzruszyła tylko ramionami, zawstydzona, że okazała strach. Chciała rzucić jakąś ciętą ripostę, ale nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Jak zahipnotyzowana patrzyła za oddalającym się nieznajomym. Wiatr rozwiewał jego włosy opadające na ramiona, a ona była niemal pewna, że to jakiś tajemniczy bohater nakrył ją na podglądaniu leśnych zwierząt. W nagłej chęci zachowania pamiątki po tym dziwnym spotkaniu uniosła aparat i zrobiła odchodzącemu kilka zdjęć.

Od tamtego wydarzenia minęły już cztery lata i w życiu dziewczyny wiele się zmieniło. Przede wszystkim nie pozwalała już, by nazywano ją Kamilką. Cóż za durne zdrobnienie! Nie była przecież gimnazjalistką, tylko uczennicą

liceum ogólnokształcącego. I nie była jaką uczennicą, a jedną z najlepszych w klasie. Długich blond włosów nie spletała w dwa warkocze, tylko związywała z tyłu głowy. Zrezygnowała też z zasłaniającej czoło grzywki, odpowiedniej dla dziewczynek noszących barwne spódniczki, podkolanówki i bluzeczki z misiami. Nowoczesność oraz swoista dojrzałość nastolatki objawiała się także w doborze używanych na co dzień przedmiotów. Nie robiła już zdjęć starym, analogowym aparatem, tylko nowiutką cyfrówką, którą dostała od taty na szesnaste urodziny, zaś w kieszeni nosiła telefon komórkowy z kolorowym wyświetlaczem.

A chłopak o kasztanowych oczach? Nigdy więcej go nie widziała. Gdyby nie zdjęcia, uznałaby go zapewne za wytwór swojej bujnej dziecięcej wyobraźni. Poza tym miała wielu realnych kolegów, zaś od roku spotykała się z Tomkiem i byli bardzo szczęśliwi. Miejsce na pniu brzozy stało się jednak „świątynią dumania”, w której myślała o tajemniczym nieznanym. Nie zapomina się pierwszych porywów serca, nawet jeśli trwają tylko chwilę i na zawsze pozostają w sferze niespełnionych marzeń.

W życiu Kamili zaszła jeszcze jedna, tragiczna zmiana – kilka tygodni temu jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Dziewczyna została sama, a ciepły, dający schronienie dom z dnia na dzień przeobraził się w zimne, pozbawione miłości miejsce. Przyjaciele wsparli ją w trudnych chwilach; pustka w sercu jednak nie znikła i pewnie nigdy nie zostanie wypełniona.

Śmierć rodziców oznaczała konieczność wyjazdu do Warszawy, gdzie mieszkała Maria, siostra ojca. Na samą myśl o opuszczeniu Smolca, Kamile przechodził dreszcz przerażenia. Nigdy nie lubiła dużych miast, a o zamieszkaniu w jednym z nich nie chciała nawet słyszeć. Lęk budziła również wizja spotkania z ciotką. Po wsi krążyły o niej różne, niezbyt miłe plotki, na podstawie których stworzyła portret kobiety zrzędlivej, zakochanej w pieniądzech, zadufanej w sobie i nieszanującej rodziny. Niewiele osób w Smolcu mówiło dobrze o siostrze ojca; w domu wymieniano jej imię tylko przy okazji świąt, kiedy listonosz przynosił kartki z życzeniami, a mama ciężko wzdychała. Dziewczyna nie wyobrażała sobie życia pod jednym dachem z kimś, kto przez dwanaście lat nie odwiedził najbliższych, kogo tak naprawdę nie znała i nie potrafiła kochać.

– Będę tęsknić – szepnęła Kamila, zamykając aparat w pokrowcu. – Ale wrócę, bo tu jest mój dom.

Kamila siedziała w bujanym fotelu i bezmyślnie spoglądała w sufit. Nic jej się nie chciało, chociaż tak wiele powinna zrobić. Mięśnie nie zamierzały same pracować, a mózg nie miał dość siły, żeby wysłać im odpowiedni sygnał. Dopiero pukanie do drzwi wyrwało dziewczynę z odrętwienia.

– Proszę – powiedziała słabym głosem, unosząc głowę z oparcia fotela.

Na progu stanął wysoki, dobrze zbudowany chłopak. Trzymał w dłoni telefon Kamili.

– Dzwoni bez przerwy – poinformował zniecierpliwionym głosem. – Mogłabyś odbierać. Poza tym musimy już jechać.

– Ciotka przyjechała?

– Nie, ale pociąg nie będzie czekał. – Wziął leżącą na łóżku torbę podróżną. – Gotowa? – Nie czekając na odpowiedź, odłożył telefon i wyszedł. Po chwili na schodach rozległ się tupot nóg. Chłopak wyraźnie się spieszył.

– Nigdy nie będę gotowa – burknęła niechętnie dziewczyna. Wstała jednak, przewiesiła torebkę przez ramię, wzięła komórkę. Miała dziesięć nieodebranych połączeń, wszystkie z jednego numeru. Nie знаła go, wzruszyła więc ramionami i wsunąwszy telefon do kieszeni spodni, wyszła z pokoju. Powiodła wzrokiem po niewielkim korytarzyku, chcąc zapamiętać każdy szczegół, nawet zagniecenia w fałdach firanki. W końcu jednak musiała otrzeć z policzków niesforne łzy i opuścić poddasze. Starannie zamknęła drzwi, a klucz schowała do kieszeni.

– Tomek, a gdzie mój plecak? – zapytała, schodząc ze schodów.

– Już w samochodzie – doleciała odpowiedź z podwórza. – Chodź.

Kamila weszła jeszcze do kuchni, aby zaczerpnąć pachnącego domem powietrza.

– Do widzenia – szepnęła i czym prędzej wybiegła na podwórze, aby pożegnać się z przyjaciółmi. Utonęła w ich ciepłych objęciach.

– Proszę dbać o dom i ogród – powiedziała, ufnie patrząc w twarz kobiety, która wynajęła mieszkanie. – Będę dzwonić.

Do zobaczenia – zdawały się mówić pnące róże.

2.

Z pamiętnika Kamili:

27 czerwca

Do Warszawy przyjechałam wczoraj. Było mi bardzo ciężko zostawić

dom, bliskich, szkołę, ukochane, znane od dzieciństwa miejsca i jechać do obcego miasta, nie wiedząc, kiedy wrócę. Bo wrócę. Obiecałam to moim przyjaciółom i każdemu zakątkowi, a przede wszystkim sobie. Nie potrafię, nie chcę żyć z dala od domu. A mój dom jest i zawsze będzie w Smolcu. Nawet jeśli ktoś inny teraz podlewa róże i przycina gałązki drzewek, w których cieniu zasypiałam, bawiłam się, czytałam i uczyłam. To zawsze będzie mój dom, moje drzewa, moje kwiaty...

Tylko moje... Już nie nasze. Rodzice nie żyją. Ta straszna prawda dociera do mnie każdego dnia od nowa i ciągle rani tak samo mocno.

Na peronie warszawskiego Dworca Centralnego nikt na mnie nie czekał. Mogłam się tego spodziewać. Ciotka Maria nigdy nie uznawała nas za swoją rodzinę. Dwa razy do roku przysyłała kartki z życzeniami świątecznymi i tyle. Chyba nawet nikt nie odpisywał. Nie znam jej. Podobno kiedyś mieszkała z nami, a później wyjechała na studia do Warszawy. Dostałam pokój, który kiedyś należał do niej. Milutko się w nim urządziłam, nie powiem. Nic mi jednak na temat swojej poprzedniej właścicielki nie powiedział. W domu też mało się o niej rozmawiało. Dziadek nigdy nie wspominał, że ma córkę. Zresztą nie interesowałam się tym. Teraz żałuję, że nie pytałam o autorkę tych miłych, ale bardzo krótkich życzeń świątecznych. Może trochę mniej bałabym się spotkania z nią.

Ciotka przyjechała na pogrzeb rodziców i okazała mi naprawdę dużo ciepła. Nawet się zdziwiłam, bo myślałam, że jest zgorzkniałą starą panną. Nie byłam zbyt miła, ale wszyscy tłumaczyli moją opryskliwość trudną sytuacją. Straciłam rodziców. Zostałam sierotą. Bez sensu. Przecież potrafię się należycie zachować bez względu na okoliczności. Ale skoro chcą mnie usprawiedliwiać, proszę bardzo.

Ciotka postanowiła mnie przygarnąć. Uznała za swój obowiązek zaopiekowanie się bratanicą. Załatwiła wszystkie formalności, wynajęła nasz dom i wróciła do Warszawy. Ja jeszcze zostałam ze względu na szkołę. To całe zamieszanie związane z wystawianiem ocen miało swoją dobrą stronę – mogłam spędzić jeszcze kilka dni w domu, pod opieką sąsiadki Janeczki i pani Ewy, lokatorki, która teraz rządzi w kuchni mamy.

Zgodziłam się na wyjazd do Warszawy, bo tak naprawdę nie miałam innego wyjścia. Jestem tylko dzieckiem, za które decydują inni. Na samodzielną podróż pociągiem nie byłam jednak za młoda. Czyż to nie ironia losu? Ciotka miała po mnie przyjechać, ale coś jej wypadło.

Zadzwoiła i powiedziała, że będzie na mnie czekać w domu. I tak oto wczoraj, późnym popołudniem, znalazłam się na jednej z warszawskich stacji kolejowych.

Stałam na peronie Dworca Centralnego zupełnie sama. Nie bardzo wiedziałam, w którą stronę powinnam się udać. Do domu ciotki musiałam dojechać autobusem. Takie dostałam instrukcje. Nie miałam jednak pojęcia, gdzie jest przystanek. Na szczęście pomógł mi jakiś chłopak. Podszedł i zwyczajnie zapytał:

– Może ci w czymś pomóc?

Poprosiłam, żeby mi powiedział, jak dojść na przystanek, z którego odjeżdża autobus numer 515. Uśmiechnął się, mówiąc, że akurat idzie w tamtym kierunku i chętnie pomoże mi dźwigać torby. Od razu go polubiłam. Nie wymawiał „r” i śmiesznie seplenił.

Później okazało się, że mój wybawiciel czekał na ten sam autobus, co więcej, wysiadł na tym samym przystanku co ja. Był nawet tak uprzejmy, że odprowadził mnie pod dom ciotki. Całe szczęście, bo nie wiem, jakbym dotarła na miejsce. Chłopak zaproponował również pomoc we wnoszeniu bagażu, ale grzecznie odmówiłam. Już bez przesady. Chciałam zebrać myśli, uspokoić się, bo w końcu wejście do domu ciotki oznaczało radykalną zmianę w moim życiu. Niby już się z nią pogodziłam, ale wciąż było mi trudno.

Ciotka przygotowała wspaniały obiad i w ogóle wydała mi się sympatyczna. W Smolcu jakoś tego nie dostrzegłam. Może przeprowadzka wpłynęła na moje postrzeganie ludzi i otoczenia? Gdy najadłam się do syta, poczułam ogromne zmęczenie. Oczy mi się kleiły, nie potrafiłam powstrzymać ziewania. Po szybkim prysznicu położyłam się do łóżka i nie pamiętam, kiedy zasnęłam.

Obudziłam się jakąś godzinę temu. Jest jeszcze wcześnie. Siódma rano. Po kuchni już ktoś chodzi. Pewnie ciotka szykuje się do pracy.

Szczupła, niewysoka brunetka stała przy kuchennej szafce, zawzięcie mieszając łyżeczką w zielonym kubku. Nie zwracała uwagi na wykonywaną czynność, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. W oczach odbijał się smutek, usta zacisnęła w dziwnym grymasie, jakby wahała się, czy nie zagryźć warg. Zamyślenie uwydatniło pierwsze, nieśmiałe zmarszczki na jej twarzy –

te na czole, między brwiami i te biorące początek po obu stronach nosa. W zadumie, w smutku, a nawet w puklu włosów opadającym na prawe oko kryło się coś, co kazało Kamili wrócić do pokoju po aparat. Zrobiła to bardzo cicho. Środki ostrożności okazały się jednak zbędne, ponieważ nawet błysk flesza nie wybił kobiety z zadumy.

– Dzień dobry – powiedziała Kamila, chowając aparat do futerału. Nie mogła przecież w nieskończoność stać w progu kuchni, udając, że jej tu nie ma.

– Dzień dobry – odparła ciotka, niedbale upuszczając łyżeczkę do kubka. Ożywiła się, uśmiechem ścierając z twarzy resztki zamyślenia. – Jak ci się spało?

– Dziękuję, dobrze.

– No to się cieszę. – Podsunęła dziewczynie taboret. – Siadaj. Zrobiłam ci kanapki z szynką, pomidorem i szczypiorkiem.

Kamila zajęła wskazane miejsce i rozejrzała się dookoła. Wczoraj była zbyt zmęczona, by oglądać mieszkanie, co do którego z góry założyła, że jej się nie spodoba – ponieważ należało do nielubianej ciotki. Dom jednak spłatał jej figła i zauroczył przytulnością. Kuchnia była nieduża, ale przyjemna. Po lewej stronie drzwi ustawiono zlewozmywak, nad nim wisiała szafka. Obok umieszczono kuchenkę gazową z okapem. Naprzeciwko – wysoką lodówkę i komplet brązowych, nieco zniszczonych szafek. Prostopadle do drzwi, po lewej stronie, znajdowało się okno, a przy nim stół przykryty białym, ceratowym obrusem w czerwone róże. A naprzeciwko okna – drzwi do jakiegoś pomieszczenia. Aromat kakao i zapach świeżo pokrojonego szczypioru dopełniały domowego klimatu.

– Miło tu – stwierdziła dziewczyna, machinalnie sięgając po kanapkę.

– A może napiłabyś się kakao?

– Tak, poproszę.

Ciotka nalała do kubka kakao i usiadła na wprost Kamili.

– Żałuję, że wczoraj nie mogłam wyjechać po ciebie na dworzec – powiedziała rzeczowym tonem, który zupełnie nie pasował do zamyślenia sprzed kilku minut. – Jedna z naszych pracownic złamała rękę i musiałam ją zastąpić; z powodu urlopów mamy braki w personelu. Ale poprosiłam Marka, żeby ci we wszystkim pomógł.

– Marka?

– Tak. A nie było go na stacji?

– Taki krępy chłopak z wielgaśnymi, niebieskimi oczami?

– Właśnie on. – Maria uśmiechnęła się ciepło. – Nie przedstawił się?

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Pokazał mi drogę na przystanek, a później przyprowadził tutaj – powiedziała, upijając z kubka łyk kakao. – Myślałam, że jest po prostu życzliwy.

– Jechaliście autobusem?

– To źle?

– Przecież pociągiem byłoby szybciej i bezpieczniej! No nie, ciebie rozumiem, bo nie znasz miasta, ale Marek mógłby jednak wykazać się większym rozsądkiem.

– To mało grzeczne krytykować kogoś, kto wyświadcza nam uprzejmość – mruknęła Kamila, wstając energicznie. Poczła nagłą solidarność ze swoim wczorajszym wybawcą, jak go w myślach określiła. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek, a już zwłaszcza ciotka, czepiał się go w taki sposób. – Dziękuję za śniadanie. – Opłukała nad zlewem kubek, wytarła ręce, zastanawiając się, co począć z resztą dnia. Ogród zapraszał widokiem pnącej róży oraz szelestem dębowych liści...

Naraz do uszu dziewczyny dobiegł szloch. Odwróciła się od zlewu.

Maria siedziała z łokciami opartymi na blacie i twarzą ukrytą w dłoniach. Chciała ukryć ból, który sprawiły jej słowa bratanicy, stłumić cisnące się na usta wymówki, ale łez nie zdołała powstrzymać.

– Idź do siebie – nakazała Kamili, gdy poczuła na plecach dotyk jej dłoni.

– Nie. – Dziewczyna otoczyła ramieniem szyję ciotki i musnęła ustami czubek jej głowy. – Przepraszam – szepnęła. – Nic nie wiem ani o tobie, ani o twoich sprawach. Nie powinnam oceniać.

Trwały w mocnym uścisku.

– Wszystko ci opowiem – szepnęła Maria po dłuższej chwili. – Jeśli tylko chcesz.

– Chcę. – Po raz pierwszy od momentu, w którym dowiedziała się, że musi wyjechać do Warszawy, naprawdę zapragnęła poznać ciotkę i wyrobić sobie własne zdanie na jej temat, a nie opierać się jedynie na plotkach zasłyszanych we wsi.

Żółta pnąca róża wdzięcznie opierała się na drewnianej drabince, roztaczając

dookoła słodkawy zapach. Wiatr muskał jej liście, sprawiając, że lekko połyskiwały w promieniach słońca. W cieniu rozłożystego dębu stały dwa plastikowe krzesła, stół ogrodowy i drewniana ławka. Wróbel siedział na słupku czarnego ogrodzenia, ćwierkając cicho. Maria przykryła blat stołu serwetką w czerwonej kratę i ustawiła na niej metalową tacę.

– Będzie nam się lepiej rozmawiało – powiedziała, nalewając do kubka parującego napoju.

Kamila rozpoznała zapach herbaty z cytryną i miętą. Oderwała wzrok od motyla fruującego pomiędzy kwiatami mleczu, odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na ciotkę.

– Bardzo tu miło. A róża do złudzenia przypomina moją.

– Stefan przeszczepił mi tę, która rośnie naprzeciwko ganku. Potrzebowałam tu odrobiny domu.

Dziewczyna wyczytała w głosie ciotki źle skrywany żal.

– Tęskniłaś? – zdziwiła się. – To dlaczego nigdy do nas nie przyjechałaś?

Maria wyraźnie się speszyła. Objęła palcami kubek z herbatą i opuściła głowę. Najwyraźniej trudno jej było rozmawiać na ten temat. Nie była przygotowana na takie pytanie. Wolałaby opowiedzieć o swojej obecnej sytuacji, o życiu w Warszawie, o pracy, o tym, co lubi. Dziewczyna jednak czekała na odpowiedź. Wiedzę o ciotce czerpała z plotek, teraz chciała poznać prawdę.

– Kiedy wyjeżdżałam na studia, ojciec powiedział, że mogę nie wracać, bo on już nie ma córki – wyznała cicho Maria.

– Dziadek w gniewie mówił różne rzeczy, ale złość szybko mu mijała. –

Kamila uśmiechnęła się nieznacznie na wspomnienie dobrotliwego starszego pana, który pod nieobecność rodziców uczył ją, jak zajmować się ogrodem i zwierzętami, a wieczorami opowiadał o dawnych czasach.

– Nie tym razem. Gdy kilka tygodni później przyjechałam do domu, zamknął mi drzwi przed nosem. Zabronił wymawiać moje imię, wyrzucił moje rzeczy i kazał Stefanowi zmienić zamki w drzwiach. A ja mam swoją dumę i postanowiłam, że nie będę mu się narzucać. Chciałam studiować, coś osiągnąć. Niestety nie przyjęto mnie na Uniwersytet Wrocławski, skąd bym miała blisko do domu. Za to dostałam się na studia w Warszawie, z dala od Smolca. A ojciec... Ojciec sobie ubzdurał, że bez jego opieki „stracę kręgosłup moralny”, jak to nazywał.

– Zmarł pięć lat temu.

– Wiem, byłam na pogrzebie.

Kamila jak przez mgłę przypomniała sobie dzień pogrzebu dziadka. Tuż przed ceremonią w kościele wyszła, by poszukać taty. Stał pod krzyżem, trzymając w ramionach ubraną na czarno kobietę. Oboje płakali, co ze względu na okoliczności wydawało się zrozumiałe. Później ta sama kobieta była na cmentarzu. Trzymała się na uboczu. Podeszła do nich dopiero, kiedy niemal wszyscy opuścili już cmentarz. Mama przywitała ją jak najlepszą przyjaciółkę, zaprosiła na obiad. Nie przyszła.

– Dlaczego wtedy nie wróciłaś? – zapytała Kamila.

– To wszystko nie jest takie proste – westchnęła Maria. – Nie chciałam, żeby twoi rodzice pomyśleli, że zamierzałam upomnieć się o spadek. Stefan zaproponował, że mnie spłaci, ale ja nie chciałam niczego po ojcu. Wszystko należało się twoim rodzicom, bo to oni z nim byli. Ach, nieważne zresztą. – Uniosła kubek do ust i skrzywiła się z niezadowoleniem. Nie lubiła herbaty bez cukru. – Czasu nie cofnę, a uwierz, że bardzo bym chciała.

– Wróćmy teraz.

– Co? – Maria uniosła głowę i spojrzała na bratanicę nieprzytomnym wzrokiem.

– Do Smolca. Zamieszkamy razem.

– Kamuś, dziecko, przecież ja tam nie znajdę pracy! Nie mam oszczędności, no, przynajmniej nie tyle, żebyśmy miały z czego żyć.

– Ja też mogę pracować i...

– Ty masz się uczyć – przerwała dziewczynie ostro. – Dopiero by mnie ludzie wzięli na języki! Nie tylko, że stara panna, to jeszcze każe dziecku na siebie zarabiać.

– Ciociu!

– Nie ma mowy! Stefan by mnie z za grobu pokarał, gdybym na to przystała.

Kamila nie spodziewała się po ciotce takiej stanowczości. Potulnie skinęła głową, a żeby ukryć zmieszanie, sama upiła łyk gorzkiej herbaty z miętą i cytryną. Nie była jednak zła, że pohamowano jej zapędy; przeciwnie, istnienie zasad oraz wyznaczenie granic samodzielności przywróciło utracone poczucie bezpieczeństwa.

– A ten dom, ciociu? – zapytała po chwili. – Przecież jego utrzymanie i wynajęcie też kosztuje.

Maria uśmiechnęła się nieznacznie. Zdecydowanie wolała opowiadać o domu w Warszawie niż o zerwaniu kontaktów z rodziną.

– Należał do kobiety równie samotnej jak ja – odparła, podsuwając bratanicy cukiernicę. – Widzisz, życie płata czasem dziwne figle. Kiedy zaczynałam studia, miałam trochę oszczędności, które jednak szybko malały. Musiałam znaleźć jakąś pracę. Zatrudniłam się w Domu Opieki Społecznej. Dbałam o ludzi starszych, przeważnie bardzo chorych. Sprzątałam, robiłam zakupy, gotowałam, często musiałam pomagać im się umyć albo przebrać...

– To chyba nie była przyjemna praca?

– Nie była, ale przynajmniej zarabiałam pieniądze na jedzenie. No i poznałam panią Zofię, przemiłą staruszkę, której amputowano nogę. Nie miała nikogo i zaproponowała, żebym z nią zamieszkała. Skorzystałam z zaproszenia. Podjęłam pracę w kawiarni, bo nie mogłam już patrzeć na ludzkie cierpienie. Najpierw byłam kelnerką, później szefową zmiany, z czasem awansowałam na kierowniczkę. Gdy skończyłam studia, pani Zosia załatwiła mi pracę w szkole. Pracowała kiedyś w kuratorium i miała znajomości. Na dwóch etatach zarabiałam tyle, że mogłam już samodzielnie utrzymać się w Warszawie. Z gościnności pani Zosi korzystałam tylko dlatego, że byłam jej potrzebna. Zaczęła chorować, wymagała stałej opieki. Próbowałam odnaleźć jej rodzinę, ale dzieci nie miała, a rodzeństwo, znacznie starsze, dawno już nie żyło. Pani Zosia też umarła, w szpitalu na zawał serca, a ja poczułam się tak, jakbym straciła matkę po raz drugi... – Umilkła. Wierzchem dłoni otarła łzy spływające po policzkach. Wyczerpało ją opowiedzenie tej historii.

– Przykro mi – szepnęła Kamila. – Na pewno była wspaniąłą osobą.

– Była. I żałuję, że nigdy nie zabrałam jej do Smolca. Na wsi na pewno czułaby się lepiej niż tutaj. Zapisała mi wszystko: dom, oszczędności, ogród. Zadbala też o ciebie, bo gdybym nie miała własnego dachu nad głową, nie wiem, czy mogłabym się tobą zaopiekować. Dokąd bym cię zaprosiła? Do wynajętego pokoju?

– Mamy dom w Smolcu – odparła spokojnie dziewczyna. – Tam byśmy zamieszkały.

– To już nie jest mój dom – odparła z drzeniem w głosie.

– Jest i będzie.

– Ludzie mnie wyklęli, uznali za odmieńca. Bo co to za dziecko, które opuszcza ojca na starość?

– Wyklinali w czasach Boryny, dziś mielią językami z zazdrości, niewiedzy albo zwykłej głupoty. Dziadek nie był sam, a pani Zosia bardzo cię

potrzebowała, ciociu.

– Poza tobą nie mam już nikogo, Kamilko. Jesteś moją jedyną rodziną. Jedyną bliską mi osobą.

– A ty moja, ciociu. – Dziewczyna podeszła do Marii i otoczyła ramionami jej głowę. Obie miały łzy w oczach.

3.

Z pamiętnika Kamili:

28 czerwca

Wczorajszy dzień spędziłam na rozmowach z ciotką i poznawaniu mojego nowego domu. Warszawa to nie Smolec, ale muszę się nauczyć tu żyć. I nie jest to żadna zdrada. Wrócę na wieś, gdy tylko będę mogła. Tam czeka mój ogród, pokoik na pięterku i przyjaciele, których nigdy nie zapomnę. Postanowiłam jednak skończyć z buntem, bo nic mi z niego nie przyjdzie. Za to czuję, że jestem potrzebna ciotce. Polubiłam ją i cieszę się, że okazała się inna, niż myślałam. I jak ja była sama. Teraz mamy siebie.

Zaraz, zaraz. Wszystko po kolei, bo piszę bez ładu i składu.

Ciocia Marysia jest niewysoka (to u nas najwyraźniej rodzinne), miła (choć potrafi być surowa) i uśmiecha się pięknym, ciepłym uśmiechem. Bardzo przypomina mi tatę, chyba dlatego tak szybko ją pokochałam. Pracuje w kawiarni. Uczyła kiedyś historii w podstawówce, ale zrezygnowała. Żałuje tego kroku, chociaż wprost tego nie powiedziała. Ale widziałam, z jakim błyskiem w oczach opowiadała o swojej klasie. Musiała być lubiana przez uczniów; uprzedziła zresztą, że często ją odwiedzają, więc będę musiała znosić ich towarzystwo. Nawet mnie to cieszy; nikogo w Warszawie nie znam, nie mam dokąd pójść ani z kim pogadać, w takiej sytuacji każde towarzystwo będzie mile widziane. Na razie nie narzekam, poznaję ciotkę, nadrabiając wieloletnie zaległości. Trochę mi głupio w imieniu całej rodziny, że nie było nas przy niej, kiedy potrzebowała wsparcia. Jej tutejsze życie, wbrew temu co opowiadali we wsi, wcale nie było usłane różami. Na pewno czuła się bardzo samotna.

Poza tym nie dzieje się nic godnego wzmianki. Spaceruję, rozglądam się. Na szczęście ciocia nie mieszka w centrum Warszawy, bo nie wiem, czy przyzwyczaiłabym się do ciągłego warkotu samochodów. Niedaleko naszego domu jest las. Malutki, niewiele w nim zwierząt, ale lepsze to niż nic. Mogę w nim posłuchać śpiewu ptaków, popatrzeć na wiewiórki i chociaż przez

chwilę zapomnieć o tęsknocie.

Wczoraj znalazłam bardzo miły zakątek – trzy rosnące blisko siebie brzozy, jedna z krzywym pniem, na którym można wygodnie usiąść. Teraz jest tam cudownie zielono. Wspaniałe miejsce do marzeń, zwłaszcza że do złudzenia przypomina mój zakątek przy pniu ściętego drzewa, ten, w którym spotkałam chłopaka o kasztanowych oczach. Ciocia nie jest zachwycona moimi samotnymi wyprawami, bo podobno w lesie nie jest bezpiecznie, ale nie potrafię sobie odmówić tej małej przyjemności.

29 czerwca

Byłam wczoraj w mojej nowej szkole. Jest duża, czysta i jakaś taka odpychająca. Nie ma w niej kwiatów. Puste parapety i korytarze ciągną się w nieskończoność. Budynek jest ładnie odnowiony, ale brakuje mu duszy.

Pani dyrektor też nie zrobiła na mnie pozytywnego wrażenia. Patrzyła jakoś tak... podejrzliwie, jakby spodziewała się, że zaraz ją okłamię. Podczas rozmowy była niezwykle oficjalna, powiedziałabym nawet – niemiła. Stwierdziła, mało grzecznie, że w mojej poprzedniej, prowincjonalnej szkole poziom nauczania jest co najwyżej taki, jak w dobrych warszawskich gimnazjach, więc moje dobre oceny nie znaczą dla niej wiele. Zasugerowała zapisanie mnie do pierwszej klasy! Na szczęście ciocia się nie zgodziła.

Nie polubiłam dyrektorki i postanowiłam w duchu uczyć się tak dobrze, żeby musiała przyznać, choćby tylko przed sobą, że wyśmiewając wiejskie liceum, popełniła błąd. Bo obraziła nie tylko mnie, ale przede wszystkim moich nauczycieli, których miło wspominam.

Od wczoraj jestem uczennicą jednego z najlepszych warszawskich liceów. Powitanie było trudne i upokarzające. Teraz może być już tylko lepiej. Przynajmniej taką mam nadzieję.

4.

Kamila siedziała na ogrodowej ławce w cieniu rozłożystego dębu i spoglądała w niebo, po którym płynęło kilka białych obłoków. Myślami była w domu, w Smolcu; sprawdzała, czy wczorajszy wiatr nie połamał gałązek agrestu, a deszcz nie zniszczył kwiatów. Na pewno trzeba zbudować nową drabinę pod różę i przyciąć forsycję, żeby za bardzo się nie rozrosła...

Czyjeś głosy wyrwały dziewczynę z zamyślenia. Spojrzała w stronę domu.

Przy drzwiach stała ciocia w towarzystwie niewysokiego, masywnie zbudowanego chłopaka.

– Chodź, nie ma czego się bać – powiedziała Maria i położywszy rękę na plecach gościa, zmusiła go do obrotu w stronę ławki, na której siedziała Kamila.

Przekonująco udawał opór, nie miał jednak zamiaru wracać do domu. Jeszcze nie. Chciał bliżej poznać tajemniczą dziewczynę, która niespodziewanie pojawiła się w życiu jego byłej nauczycielki.

Kamila, widząc, że rozmowa z nieznanym jest nieunikniona, odgarnęła włosy z twarzy i poprawiła T-shirt. Zdobyła się nawet na delikatny uśmiech. Nie chciała wyjść na ponuraczkę.

– Na pewno nie przeszkadzam? – zapytał przybyły.

Dziewczyna drgnęła. Znała ten głos. Spojrzenie w twarz gościa przywołało wspomnienie pierwszych chwil na warszawskim dworcu oraz przyjaznego chłopaka, który pomógł jej przezwyciężyć strach i poczucie obcości. Uśmiech zyskał na naturalności.

– Nigdy nie przeszkadzasz – zapewniła Maria. – Właściwie wy się już chyba znacie?

– Tak jakby – odparł, obrzucając dziewczynę uważnym spojrzeniem. Bez lęku w oczach, zmęczenia na twarzy i z rozpuszczonymi luźno włosami wyglądała zdecydowanie ładniej niż wtedy, kiedy widział ją po raz pierwszy. – Cześć, Marek jestem.

– Kamila. – Podała chłopakowi rękę. – Miło, że przyszedłeś. – Nie kłamała. Widok jego dużych, poczciwych oczu sprawił, że na chwilę zapomniała o tęsknocie za domem.

– Chciałem zapytać, jak ci się u nas podoba? Wiem, że pani Marysia nie ma za dużo czasu... Może chciałabyś pozwiedzać?

– Dzięki, może kiedyś.

– Nie słyszę zapału. – Ciocia pokręciła z niezadowoleniem głową. Martwiła się o bratanicę, która albo całymi dniami przesiadywała na ogrodowej ławce, patrząc w niebo, albo chadzała na samotne wyprawy do lasu. Rozumiała smutek po stracie najbliższych, ale wiedziała, że rozpamiętywanie bólu w niczym nie pomoże. – Porozmawiajcie sobie, a ja przyniosę coś do picia.

Wycofała się do domu, żeby wstawić wodę na herbatę. Gdy przez kuchenne okno spojrzała na rozmawiającą parę w ogrodzie, zrozumiała, że odwiedziny

Marka były tym, czego jej bratanica potrzebowała. Chłopak opowiadał o czymś, żywo gestykulując, a Kamila spoglądała na niego z zainteresowaniem, od czasu do czasu kiwając głową. Później sięgnęła po leżący na stoliku aparat. Najwidoczniej chciała pokazać zdjęcia.

„Może chociaż na chwilę przestanie tęsknić za domem” – pomyślała Maria, wyjmując z szafki szklanki. Gdy z tacą wyszła do ogrodu, do jej uszu dobiegł dźwięczny śmiech Kamili.

– I ciocia poszła z wami na węgry? – zapytała dziewczyna z niedowierzaniem w głosie.

– Tak, jeden jedyny raz – przytaknął Marek. – Ale musieliśmy jej solennie obiecać, że nigdy więcej nie uciekniemy z geografii.

– Nie uciekli – dodała Maria, stawiając na stoliku tacę. Z zadowoleniem zarejestrowała, że smutek na twarzy dziewczyny ustąpił miejsca zadowoleniu, a na policzki wypłynął lekki rumieniec.

– Ech... fajnie, że macie takie wspólne wspomnienia. – Kamila opuściła głowę i przez chwilę oglądała paznokcie u rąk. Zrobiło jej się przykro; podczas gdy ona uważała ciotkę za obcą osobę, inni byli obok niej, szanując ją i nazywając „fajną babką”.

– A dlaczego nigdy nie odwiedzałaś pani Marysi? – zapytał niespodziewanie Marek, przelewając czarę goryczy.

Dziewczyna zerwała się z ławki i pobiegła do domu. Fala wstydu zalała jej policzki ciemnym rumieńcem. Cóż miała odpowiedzieć? Że uważała ciotkę za zgorzkniałą starą pannę? Za podłą egoistkę, która ma w nosie rodzinę? Że gdyby nie potrzebowała opieki, nigdy nie przyjechałaby do Warszawy? A może powinna podziękować za to, że kiedy ciotka była pozbawiona kontaktu z najbliższymi, ktoś jednak jej pomógł, odpędzając samotność i doceniając serdeczność? Bo przecież przez te wszystkie lata rozłąki obcy ludzie zastępowali Marii rodzinę.

– Co się stało? – zapytał Marek, spoglądając na drzwi, za którymi zniknęła Kamila. – Co ja takiego powiedziałem?

– Straciła oboje rodziców – szepnęła Maria. – Wszelkie pytania o rodzinę wciąż ją ranią, ale mam nadzieję, że w końcu ból zelżeje i jakoś wszystko się ułoży.

Marek skinął lekko głową. Nie chciał wchodzić z buciorami w czyjeś życie. Od zawsze był ciekawski i lubił wszystko wiedzieć. Dlatego tu dzisiaj przyszedł, żeby poznać lepiej bratanicę swojej byłej nauczycielki. Myślał, że

dziewczyna przyjechała do ciotki na wakacje, a tu się nagle okazało, że wcale nie. I od razu na wstępie zadał pytanie, którego zadawać nie powinien.

„Mógłbym czasem ugryźć się w język” – skarcił się w myślach, postanawiając naprawić głupią wpadkę.

Była sobota. Bezchmurne niebo zapowiadało piękną pogodę, a słońce uśmiechało się do ludzi zmęczonych całotygodniową pracą, zapraszając ich na spacer. Kamila z aparatem w dłoni oraz plecakiem na ramieniu opuściła podwórze. Stała na chwilę, wahając się, w którą stronę pójść, żeby znaleźć coś ciekawego do sfotografowania.

– Cześć! – usłyszała głos. Na chodniku stał Marek, uśmiechając się niepewnie. Miał nadzieję, że nie zauważyła, iż wyszedł zza rogu ogrodzenia, gdzie od kilku minut zastanawiał się, jakimi słowami wymazać wcześniejszy nietakt.

– Cześć – odparła spokojnie. Nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachować. Ostatecznie Marek nie był jej znajomym, tylko cioci, i zapewne przyszedł do Marii. Wypadało więc przywitać się i pójść w swoją stronę.

– Dokąd się wybierasz?

– Na poszukiwanie ciekawych obrazów. Chcę porobić zdjęcia.

– A mógłbym pójść z tobą?

– A znasz jakieś ciekawe miejsca? – zapytała powątpiewająco. Samotne wyprawy przestały być fascynujące, ale nie wypadało zareagować jawną radością na propozycję wspólnej wędrowki.

– Jasne.

Skinęła lekko głową, wyrażając zgodę na towarzystwo.

– Prowadź.

Przez chwilę szli w milczeniu, które wcale im nie ciążyło. Marek zastanawiał się, w jaki sposób zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie mógł zrobić na dziewczynie podczas ostatniego spotkania, a Kamila obserwowała okolicę i mijanych ludzi. Ożywiła się, gdy wkroczyli do lasu.

– Zobacz – szepnęła nagle, unosząc trzymany w pogotowiu aparat. Zwinne, rude zwierzątko szybko wspięło się po pniu, dziewczyna zdążyła jednak zrobić kilka zdjęć.

– Co? – zapytał Marek nieco nieprzytomnie.

– Wiewiórka, wygląda zza liści, o tam. – Wskazała na jedno z drzew. –

A ja uchwyciłam ją w biegu. Chcesz zobaczyć?

– Chcę. – Uważnie obejrzał zrobione przez Kamilę zdjęcia, dziwiąc się, że w ogóle zwróciła uwagę na obecność zwierzęcia. On nic nie zauważył. – Jesteś niezwykła. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty!

Kamila roześmiała się, żeby jakoś ukryć zmieszanie; nie przywykła do słów podziwu. Tomek był oszczędny w komplementach; zdecydowanie wolał, kiedy to nim się zachwycano. Objęła ramieniem najbliższe drzewo, przytuliła policzek do kory.

– Bo ja jestem leśnym duchem – szepnęła tajemniczym głosem. – *Patrzę okiem, słucham uchem. Fruwam z ptakiem, biegam z sarną, chociaż mam kondycję marną. W rannej rosie myję dzióbek, mówią na mnie krasnoludek.*

– Chyba raczej leśny duszek. – Marek uśmiechnął się i spojrzał prosto w błyszczące radością oczy dziewczyny. Wyobraził sobie Kamilę jako eteryczną nimfę, siadającą obok śpiewającego ptaka, unoszącą się nad głową biegnącej sarny i skaczącą z wiewiórką po gałęziach drzew. – Mam wrażenie, że znasz wszystkie tajemnice lasu, ale może zrobię ci niespodziankę. – Skręcił w wąską dróżkę, wspinającą się na niewielki pagórek. – Chodź, tylko uważaj na gałęzie.

Nagle ścieżka wbiegła na polanę i rozwidliła się. Lewa jej odnoga zmierzała w stronę niewielkiego stawu, a prawa prowadziła wprost do małego, drewnianego domu ze spadzistym dachem. Bezchmurne niebo, odbijając się w nieruchomej tafli wody, udawało, że firmament zamieszkał na ziemi. Budynek zaś przycupnął na skraju lasu niby baśniowa chatka, a cień rosnących nieopodal drzew dodawał mu tajemniczości. Wszystko było otoczone zielenią liści i trawy, zapachami przyrody oraz promieniami słońca. Dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia. Nigdy by nie przypuszczała, że ten mały las może kryć taką niespodziankę. Dopiero po chwili przypomniała sobie o trzymanym w dłoni aparacie. Uniosła go i długo ustawiała ostrość, walcząc z drżeniem rąk.

– Ślicznie tutaj – szepnęła, uwieczniając baśniowy obrazek na kilku fotografiach. – Aż pachnie magią.

– Prawda? – Marek pokiwał z zadowoleniem głową. Wolał nie zgłębiać powodów, dla których zależało mu na opinii Kamili, jej uśmiechu, błysku podziwu w oczach.

– A co to za chatka?

– Leśniczówka. Teraz należy do Wojtka. Chodź, może go zastaniemy i...

– Nie, innym razem – przerwała chłopakowi, ponieważ pomyśli, że miałyby dokądś pójść, nie obejrząwszy tak uroczego miejsca, był nie do przyjęcia. Zresztą, nie miała ochoty poznawać żadnego Wojtka. – Ale ty idź, jeśli chcesz – dodała, gdy zobaczyła rozczarowaną minę kolegi.

– Już nie chcę.

5.

Upalne, lipcowe popołudnie. Powietrze stoi w miejscu, słoneczny żar leje się z bezchmurnego nieba, rozgrzewając warszawskie ulice. Asfalt topi się pod naporem gorąca.

Marek opuścił klimatyzowaną halę centrum handlowego i stał z czoła kropelki potu. Dzierżył w dłoniach dwie wypchane po brzegi torby. Nigdy nie lubił robić zakupów, ale choroba mamy wymusiła na nim przejście większości domowych obowiązków. Sporządził więc listę koniecznych produktów (żeby niczego nie zapomnieć) i wybrał się do pobliskich delikatesów. Wiedział, oczywiście, że na bazarku warzywa są świeższe, a wędlina, zakupiona w mięsny naprzeciwko apteki, smaczniejsza, ale nie miał ochoty na bieganie po wielu sklepach. Od pewnego czasu jego ulubionym zajęciem stało się spacerowanie w okolicach domu Marii Górskiej i oczekiwanie na Kamilę. Gdy doszło do spotkania, udawał, że było zupełnie przypadkowe, a kiedy szczęście mu nie dopisało, wracał do domu smutny i zawiedziony. Słoneczny dzień dawał gwarancję, że dziewczyna wybierze się na spacer. By nie przeoczyć momentu jej wyjścia z domu, Marek zrobił zakupy w pośpiechu, a później od razu skierował się w stronę własnego mieszkania. Szedł szybko, ze spuszczoną głową. Nie zauważył idącego z naprzeciwka kolegi.

– Cześć! – znajomy głos zabrzmiał tuż przy uchu, przerywając mu rozmyślenia o Kamili. – Co tam słychać?

Marek uniósł głowę i rozpoznał w intruzie twarz przyjaciela. Nie widzieli się od zakończenia roku szkolnego. Kolega nie odbierał telefonu, a na esemesy odpisywał rzadko.

– O, Wojtek! – stwierdził zdziwionym głosem Marek. – Cześć. Nie zauważyłem cię. Co tu robisz? Myślałem, że mieszkasz w leśniczówce.

– Postanowiłem odwiedzić panią Marysię. No wiesz, sprawdzić, czy nie trzeba jej w czymś pomóc. Byłem przed chwilą w kawiarni, ale powiedzieli mi, że ma dziś wolne. Niebawale, co?

– Widzisz w tym coś dziwnego? – Marek wzruszył ramionami, chcąc ukryć,

że doskonale wie, dlaczego nauczycielka wzięła urlop. – Każdy ma prawo do odpoczynku.

– No ale pani Maria chyba nigdy nie odpoczywa. Pamiętasz, nasze sprawdziany zawsze były poprawione już na drugi dzień. Może się rozchorowała?

– Jest zdrowa.

– To dobrze, pomogę troszkę w ogrodzie. Na pewno trzeba coś przesadzić, przenieść albo chociaż trawę skoszę...

– Nie trzeba. – Marek postawił torby na chodniku i splótł ręce na piersiach. Zamierzał zrobić wszystko, żeby zniechęcić kolegę do wizyty u nauczycielki.

– Czyli wszystko już zrobiłeś? – Wojtek pokiwał z uznaniem głową. – To pozostanie mi rozmowa. I dobrze, bo jest przyjemniejsza od pracy w ogrodzie.

– Pani Maria ma gościa. Przyjechała do niej bratanica...

– Bratanica powiadasz. – Wojtek aż uniósł brwi ze zdziwienia. – A ładna?

Marek popatrzył na kolegę dziwnym wzrokiem. Jeśli chociaż przez chwilę miał nadzieję, że informacja o gościu zrazi go do odwiedzin, to właśnie pozbył się wszystkich złudzeń. Obecność dziewczyny w domu pani Marii stanowiła okoliczność zachęcającą do wizyty, a nie odstraszącą. Wojtek zwyczajnie lubił towarzystwo płci przeciwnej, czuł się w nim dobrze, wręcz komfortowo. Uwielbiał pokazywać, jaki jest szarmancki, męski, dobrze wychowany... Czarował na każdym kroku. Dzięki temu posiadał spore grono wielbicielek – panienek gotowych skoczyć za nim w ogień. Głupie, nawet im do tych pustych główek nie przyszło, że on żadnej nie traktuje poważnie, że wszystko jest rodzajem gry. Marek poczuł złość na samą myśl o tym, iż Kamila mogłaby znaleźć się w grupie fanek Wojtka. Bezwiednie zacisnął pięści.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał, siłąc się na spokój.

– No, co ty, Maras? – zdziwił się kolega. – Nie potrafisz nawet powiedzieć, czy dziewczyna jest ładna?

Nie potrafił. Kamila była sympatyczna, miło się uśmiechała, miała duże, błękitne oczy, lubiła zwierzęta i kwiaty. Było w niej coś niesamowitego, tajemniczego. Trudno jednak określić jej urodę w kategoriach ładna – brzydka. Nosila czarne ubrania, przez co wyglądała blado, smutno, niepozornie, jak szara myszka. Tak też ją Marek kiedyś w myślach nazwał. Dziś wiedział, że to określenie nigdy do dziewczyny nie pasowało. Oceniał jej wygląd zewnętrzny, nie biorąc pod uwagę osobowości. A Kamila miała w sobie coś

niepowtarzalnego, co przyciągało niczym magnes. Kiedy zaczynała opowiadać o kwiatach czy zwierzętach, na jej twarzy pojawiał się rys niezwyklego piękna, a w oczach błyszczały iskierki.

– Tobie się nie spodoba – odparł Marek. Miał ochotę krzykiem zmusić kolegę, żeby nie próbował swoich sztuczek, żeby dał dziewczynie spokój i nie bawił się kimś tak wrażliwym, ale zagryzł wargi. Nie chciał zdradzić swojej fascynacji Kamilą, bo tylko dałby mu powód do kąśliwych uwag. Wojtek potrafił być złośliwy, szczególnie jeśli mówił o oczywistej dla wszystkich nieśmiałości Marka względem dziewcząt czy jego kompleksach związanych z niskim wzrostem i zbyt przysadziłą sylwetką.

– Sprawdź sam. Na razie. – Wojtek podał koledze rękę i nie zwracając uwagi na jego niezadowoloną minę, podążył w stronę domu Marii.

Ciociu, zobacz, ktoś wyrzucił fuksję do kosza na przystanku. – Kamila wkroczyła do kuchni i postawiła na stole doniczkę. – Ludzie chyba nie mają pojęcia, co wyprawiają.

– No wiesz, chyba jednak mają pojęcie – zaprotestował nieznany, męski głos, dobiegający z kąta pomiędzy oknem a szafkami, gdzie stało krzesło. – Przecież to są suche badyły, nic więcej.

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na osobę, która wypowiedziała te bezczelne słowa. W jej oczach zamigotał gniew. Któż śmiał nazwać zdobyczną fuksję suchymi badyłami? Tak, roślina była zaniedbana, ale wciąż żyła i nie zasługiwała na wyrzucenie do śmieci. Na krześle siedział wysoki, dobrze zbudowany chłopak. Ciemne, lekko kręcone włosy opadały na czoło, a spod szerokich brwi spoglądały kasztanowe oczy. Kamila znieruchomiała na chwilę. Gdy kilka lat temu spotkała w lesie tajemniczego nieznajomego o tęczęwkach w takim kolorze, wmawiała sobie, że coś się jej przywidziało, że bujna, dziecięca fantazja spletała jej figła. Teraz jednak nie była już dzieckiem i wyraźnie widziała, że ten obcy chłopak o ironicznym uśmiechu miał kasztanowe oczy. Nie brązowe, nie piwne, tylko właśnie kasztanowe. W żaden inny sposób nie można było określić ich barwy.

– Zakwitnie jeszcze tego lata – oświadczyła zdecydowanie, starając się nie pokazać po sobie zaskoczenia. – I bądź łaskaw nie pleść bzdur, bo o kwiatach wiesz tyle, co kot napłakał albo jeszcze mniej.

– No wiesz, może i tak, ale...

– Hej, spokój! – Maria stanowczym głosem przerwała tę niemiłą wymianę zdań. – Zaraz się podziobiecie jak dwa koguty na grzędzie. Kamila, to jeden z moich byłych uczniów...

– Wojtek. – Chłopak wstał, żeby zaprezentować się w pełnej krasie. Obrzucił dziewczynę badawczym spojrzeniem, rejestrując błysk złości w błękitnych oczach, rumieniec na policzkach, nieład w jasnych włosach oraz nieznaczne drżenie podanej dłoni.

– Kamila – odparła, dumnie unosząc głowę. Pod przykrywką złości chciała ukryć, że chłopak zrobił na niej ogromne wrażenie. – Nie będę wam przeszkadzać, pójdę na dwór przesadzić te... suche badyłe.

Zabrała doniczkę i opuściła kuchnię. Musiała pobyć chwilę sama, a fuksja dostarczyła świetnego pretekstu. Serce waliło w piersi, jakby miało wyskoczyć. Jak to możliwe, że tutaj, w Warszawie, spotkała chłopaka, którego oczy śniły jej się po nocach? Wmawiała sobie, że kasztanowe tęczówki nie istnieją, że je sobie wymyśliła, że należy zapomnieć... A tu nagle co? I żeby Wojtek był chociaż sympatyczny, ale nie. Kamila nigdy wcześniej nie spotkała takiego bezczelnego ignoranta. Nazwał fuksję suchymi badyłami! I ta jego irytująca pewność siebie!

Z pamiętnika Kamili:

17 lipca

Dawno nie pisałam, ale słońko w tym roku tak pięknie świeci, że szkoda czasu na siedzenie nad zeszytem. Nadrobię zaległości jesienią albo jak będzie padał deszcz. Kilka ważnych dla mnie rzeczy muszę jednak zanotować już teraz.

1. Mam nowego przyjaciela, Marka. Pomógł mi zrobić drabinki pod róże i oprowadził po okolicy. Pokazał mi swoje magiczne miejsce z maleńkim stawem i drewnianą chatką rodem z bajki o Jasiu i Małgosi. Zrobiłam kilka zdjęć i na pewno jeszcze tam wrócę.

2. Znaleźliśmy w lesie zajęcze gniazdo. Wybraliśmy się tam kilka dni później i widzieliśmy, jak małe wychodzą z norki. Było ich pięć. Wszystkie szare.

3. Ten punkt jest ostatni, ale tylko dlatego, że chcę być wierna chronologii. Kilka dni temu poznałam Wojtka, byłego ucznia cioci. Właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą, ale bardzo mi się ten chłopak

spodobał. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Owszem, jest przystojny, ale nie wygląd zwrócił moją uwagę. Jego tęczówki mają kolor kasztanów... Niesamowite. Myślałam, że już nigdy nie spotkam osoby, która patrzyłaby na mnie kasztanowymi oczami. Wróciło wspomnienie niespełnionego marzenia i znowu poczułam się jak mała dziewczynka. Poza tym w Wojtku jest coś tajemniczego, niedostępnego, co przyciąga, fascynuje i dziwnie uspokaja. Kiedy siedziałam obok niego w kuchni, czułam, że jestem bezpieczna, że nic mi się nie może stać. Wiem, nie powinnam się tak zachwycać chłopakiem, którego wcale nie znam, ale on przecież tego nie słyszy. Mam też nadzieję, że Tomek nie będzie zazdrosny. Muszę jednak sama przed sobą przyznać, że z Tomkiem dobrze mi się spaceruje, rozmawia, pracuje, bawi, ale nie milczy. Przy Wojtku nie musiałam nic mówić, mogłam tylko siedzieć, pić herbatę i tak zwyczajnie być sobą. Może dlatego, że właściwie nic nas nie łączy, więc o czym mielibyśmy rozmawiać?

4. A właśnie, Tomek! Wczoraj do późna rozmawialiśmy na GG. Całe szczęście, że on jest w Smolcu, ma oko na dom i ogród. Przekazał mi sporą dawkę ploteczek ze wsi oraz pozdrowienia od przyjaciół. Ech... Jakbym chciała być teraz z nimi...

Rozdział II. Jagódka

*Nie konieczność, ale przypadek ma w sobie czar.
Jeśli miłość ma być miłością niezapomnianą,
od pierwszej chwili muszą się ku niej zlatywać przypadki
jak ptaki na ramiona świętego Franciszka z Asyżu.*

Milan Kundera

1.

Dzień był szary, smutny i wietrzny. Przez zasnutę chmurami niebo nie przedzierał się nawet najmniejszy promyk słońca. Kamila podeszła do okna i głośno westchnęła.

„Dobrze, że przynajmniej nie pada – pomyślała. – Tylko co ja będę dziś robić?”

Zerknęła na stojące pod ścianą biurko. Otwarta książka, obok aparat fotograficzny i kilka bezładnie rozrzuconych zdjęć. Nie miała ochoty ani na czytanie, ani na szukanie ciekawych obiektów, ani nawet na wspomnienia. Te ostatnie wciąż bolały i wyciskały łzy z oczu... Obok nogi biurka leżał nieopatrnie zrzucony plan Warszawy. Dziewczyna podniosła go i przekartkowała. Na jednej ze stron widniały dwa zielone punkty, nakreślone ręką cioci. Pierwszy wskazywał szkołę, drugi – miejsce, w którym Maria pracowała.

„Chyba już czas na poważną wyprawę poznawczą” – zdecydowała Kamila. Sięgnęła po telefon. Chciała poprosić Marka, żeby jej towarzyszył podczas spaceru, pokazał liceum i kawiarnię, w której pracowała ciocia, a może jeszcze inne warte uwagi miejsca. Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu. Wiedziała, że kiedyś musi się odważyć na samotną przechadzkę ulicami stolicy. Niech więc to będzie dzisiaj. Ręce zadrżały ze strachu, w piersiach coś skurczyło się boleśnie. Duże miasto budziło lęk, ale jednocześnie miało w sobie coś intrygująco pociągającego.

Włożyła sweter, wzięła plan miasta i przerzuciwszy przez ramię granatowy plecak, wyszła z domu. Postanowiła, że najpierw odwiedzi liceum. Drogę częściowo znała. Należało iść chodnikiem do przystanku, później przejść na

drugą stronę ulicy, tam gdzie był sklep ogólnospożywczy, w którym często robiła zakupy, i dalej prosto... Zaraz, powinna skręcić w prawo. Tylko w którym miejscu? Czy za tym czerwonym blokiem, czy kawałek dalej, za sklepem obuwniczym? A nie, jeszcze nie tutaj. Szkoła jest na Kadrowej, więc na tej samej ulicy, na której stoi ten żółty domek z ogrodem pachnącym floksami. Kamila stanęła przed liceum i odetchnęła z ulgą. Wykonała pierwszą część wyznaczonego na dzisiaj zadania, więc należała jej się chwila wytchnienia. Usiadła na ławce znajdującej się na szkolnym dziedzińcu i spojrzała w zasłonięte roletami okna.

– Mam nadzieję, że będę tu miała wielu przyjaciół – szepnęła. – Co najmniej tyłu, co w Smolcu, jeśli to możliwe...

Na wspomnienie wiejskiego liceum, w którym знаła niemal wszystkich, przynajmniej z widzenia, niechciane łzy napłynęły do oczu. Starła je wierzchem dłoni i zagryzła wargi. Wiedziała, że jeśli zostanie tu jeszcze chwilę, to na dobre utonie we wspomnieniach. Musiała działać, zająć czymś myśli. Otworzyła plan miasta, aby ustalić trasę dalszej wędrowki. Kawiarnia, w której pracowała ciocia, znajdowała się niedaleko szkoły. Marek opowiadał, że po lekcjach często chodzą tam na herbatę i ciastka.

Siatka ulic, uliczek i budynków na mapie wyglądała przyjaźnie, ale w rzeczywistości usiana była wieloma pułapkami. Na przykład drogę niespodziewanie blokowało ogrodzenie albo po skręceniu w prawo wchodziło się na podwórze kamienicy, zamiast na ulicę, jak sugerował plan miasta. Kamila nieraz zagryzała wargi, walcząc z napływającymi do oczu łzami złości i zniecierpliwienia, nieraz chciała wrócić do domu. Wrodzona ambicja nie pozwalała jej jednak na poddanie się. Samozaparcie przyniosło w końcu efekty. Po kilkudziesięciu minutach błędzenia stanęła przed drzwiami kawiarni o wdzięcznej nazwie Jagódka. Uśmiechnęła się i pokiwała z zadowoleniem głową. Właśnie odniosła pierwsze małe zwycięstwo w walce z dużym miastem. Słońce najwidoczniej zapragnęło uczcić tę chwilę, bo nieśmiało wysunęło się zza chmury i dotknęło policzków dziewczyny.

„Teraz należy mi się nagroda” – pomyślała Kamila, wkraczając do kawiarni. Miała nadzieję, że w końcu spróbuje tych wychwalanych przez Marka rurek z kremem. We wnętrzu królowały trzy kolory: zielony, fioletowy i biały. Z zamocowanych pod sufitem głośników płynęła spokojna muzyka. W powietrzu unosił się przyjemny zapach wanilii. Przez duże, niczym niezastłonięte okna zaglądało słońce, wesoło igrając na białych blatach

stolików, rysując esy-floresy na fioletowych ścianach oraz płasząc po podłodze, ułożonej z płytek w różnych odcieniach zieleni. Ustawione w każdym rogu sali kwiaty w donicach dodawały wnętrzu przytulności. Dziewczyna pokiwała z uznaniem głową. Lubiła patrzeć na zadbane i ładnie wyeksponowane rośliny. „Nic dziwnego, że kawiarnia ma tak wielu klientów – pomyślała. – Jest tu miło, cicho i spokojnie”.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – zapytała kelnerka, podchodząc do Kamili. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat, uśmiechała się przyjaźnie, a jej strój (biały T-shirt oraz fioletowy fartuch przewiązany w pasie) sprawiał, że stawała się jakby częścią wnętrza.

– Dzień dobry – odparła dziewczyna. – Szukam Marii Górskiej.

– A, to ty – ucieszyła się kelnerka. – Myślałam, że już nie przyjdiesz. Kierowniczkę nie ma. Ja się tobą zajmę. Jestem Sylwia. Chodź.

Kamila nie bardzo wiedziała, jak powinna zareagować. Czyżby ciocia spodziewała się jej wizyty? Niemożliwe, przecież nikomu nie powiedziała o dzisiejszej wyprawie. Sylwia zaprowadziła ją do niedużego pomieszczenia na zapleczu, pełniącego funkcję szatni, i wręczyła paczkę z ubraniami.

– Przebieraj się, za chwilę będzie tu piekło, mamy rezerwację – zarządziła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

„Pomyliła mnie z kimś – pomyślała Kamila. – Oczekują pewnie nowej pracownicy, a przyszedłam ja”.

Nie było jednak czasu na wyjaśnienia.

– Mamy klientów – zakomunikowała Sylwia. – Kaśka wszystko ci wczoraj wyjaśniła, więc do roboty. I nie denerwuj się tak, szkoda zdrowia.

Wcisnęła do ręki Kamili notes i wypchnęła ją na salę ze stolikami. Miejsce przy jednym z nich zajął właśnie wysoki, bardzo przystojny mężczyzna. Podniósł rękę.

Chciała wyjaśnić, że nie wie, co ma robić, że to pomyłka, że chciała tylko porozmawiać z ciocią. Niestety, Sylwia zniknęła, a gość się niecierpliwił. Cóż było robić...

Kamila wzięła głęboki oddech i podeszła do stolika, aby przyjąć zamówienie.

– Kawę ze śmietanką i dwie kremówki poproszę – powiedział klient i nie zwracając uwagi na minę świeżo upieczonej kelnerki, pochylił głowę nad trzymaną w dłoniach gazetą.

Dziewczyna przyjęła zamówienie, a po chwili postawiła przed mężczyzną

kawę oraz talerzyk z ciastkami.

– Czy życzy pan sobie coś jeszcze? – zapytała drżącym z przejęcia głosem. Był to w końcu pierwszy kawiarniany gość, którego obsłużyła.

– Nie, na razie dziękuję – odparł, nie odrywając wzroku od czytanej gazety.

Kamila ruszyła zatem odebrać zamówienia od kolejnych gości. Zrezygnowała z prób wytłumaczenia, że przyszła tylko odwiedzić ciocię. Posłusznie wykonywała polecenia, niestrudzenie biegała pomiędzy stolikami, podawała kawę, herbatę, soki, napoje, ciastka, kanapki... To nic, że nogi bolały, a ręce drętwiały od ciężaru tacy.

– Dwie kremówki, cola i sok pomarańczowy na piątkę! – wołała. – Rachunek dla dwójki!

– Sok dla ciebie – powiedziała Sylwia, obdarzając Kamilę uśmiechem. – Usiądź, odpocznij chwilę.

Dziewczyna powiodła wzrokiem po kawiarnianej sali. Goście wyglądali na zadowolonych z obsługi i skupili się na pałaszowaniu zamówionych łakoci oraz prywatnych rozmowach. W kąciku za filarem siedziała para zakochanych. Patrzyli sobie w oczy i zdawali się nie widzieć świata poza sobą. Nawet topniejące w pucharkach lody nie były w stanie przyciągnąć ich uwagi. Kamila westchnęła, unosząc do ust szklankę z sokiem pomarańczowym. Zatęskniła za ukochanym zagajnikiem, domem, Tomkiem...

– Tamto życie minęło – szepnęła i wypła kilka łyków, ciesząc się, że sok wzbogacono kilkoma kostkami lodu. W tej samej chwili usłyszała znajomy głos:

– A jak ta nowa kelnerka? – pytała Maria. – Myślisz, że się nadaje?

– Bardzo pojętna dziewczyna – odpowiedziała Sylwia. – Spóźniła się, co prawda, dwie godziny, ale radzi sobie świetnie. Przeszła dziś prawdziwą próbę ogniową, bo Marta znowu nawaliła...

– O, a co się stało? Po ostatniej wpadce zapewniała, że to się już nigdy więcej nie powtórzy.

– Nie przyszła i już. Nawet nie zadzwoniła. Nic nie wiem. A ogródek znowu był zamknięty, bo we trzy nie dawałyśmy rady. Uważam, że jest pani dla niej za dobra. Trzeba poszukać kogoś na jej miejsce i tyle.

– Masz rację. Dłużej takiego zachowania tolerować nie będziemy. Gdyby ta nowa dziś nie przyszła, nie wiem, jak byś sobie poradziła. Chyba pani Kazia musiałaby założyć fartuszek. Tylko czy jej kręgosłup by to wytrzymał?

– Wątpię.

– Ja też. Idź teraz na salę, a tę nową przyślij do mnie. Nawet nie miałam kiedy z nią porozmawiać.

Stukot obcasów i skrzypnięcie drzwi poinformowały Kamilę, że Sylwia niebawem pojawi się obok. Faktycznie.

– Zastąpię cię – powiedziała kelnerka, kładąc rękę na ramieniu dziewczyny. – Właśnie przyjechała kierowniczka i chce z tobą pogadać.

Kamila skinęła lekko głową, uśmiechnęła się i poszła na spotkanie z ciotką.

„Ale będzie śmiesznie – pomyślała, wkraczając do kuchni. – Ciocia wcale się mnie nie spodziewa”.

– Kamila? – Maria zdumiała się na widok bratanicy. – A skąd ty się tu wzięłaś? Dlaczego chodzisz w fartuszkach? Przecież dzisiaj miała przyjść nowa kelnerka...

Dziewczyna opowiedziała o wyprawie do liceum i chęci odwiedzenia Jagódki. Nie ukrywała, że pomyłka Sylwii wprowadziła ją w zakłopotanie, ale też nikogo o nic nie obwinięła. Ostatecznie i tak nie miała żadnych innych planów. Pomogła, a to przecież najważniejsze. Po chwili obie się zaśmiały.

– Hej, co tam tak wesoło? – mruknęła Sylwia. Kierowniczka nader rzadko okazywała radość. Czasem jej usta zdobił delikatny, jakby nieśmiały uśmiech, niekiedy cichutko chichotała. Ale żeby głośny wybuch śmiechu? – Kawa z mlekiem na trójkę i rachunek dla zakochanych.

– Już, już – odparła Maria, nie przestając się uśmiechać. Wprawnymi ruchami wystawiła rachunek, przygotowała kawę i podała tacę przez okienko w drzwiach. Najwyraźniej praca w kuchni nie była dla niej nowością. –

Kamila – rzekła po chwili poważnym już głosem – ta sytuacja nie powinna mieć miejsca, ale... bardzo dobrze, że tu jesteś. Muszę cię prosić o pomoc. Mamy jeszcze jedną rezerwację, a nie chcę ściągać kelnerki z urlopu. Przepraszam, naprawdę głupio wyszło...

– Nic się nie stało. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – W domu nie mam nic do roboty, a tu przynajmniej na coś się przydam.

Była zmęczona, ale tę informację przemilczała. Poza tym praca w kawiarni bardzo jej się spodobała. Lubiła przebywać między ludźmi, a tutaj miała ich całą galerię, począwszy od młodzieży szkolnej, poprzez rodziców z małymi dziećmi, a na samotnych ludziach w różnym wieku skończywszy. Ci ostatni przeważnie chronili się przed samotnością w zaciszu przytulnego lokalu – zamawiali coś do picia, ewentualnie ciastko, i siedząc przy stolikach, czytali lub obserwowali otoczenie.

Po wyjściu ostatniego klienta należało jeszcze posprzątać. Uzbrojona w ścierkę i płyn do czyszczenia, Kamila próbowała zeszkrobać ze stolika gumę do żucia. Nie szło jej najlepiej, zmęczone ręce bolały, a nogi same ugiwały się w kolanach.

– Zostaw, kochanie. – Czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu dziewczyny. – Miałyście ciężki dzień. Idź się przebrać, poradzę sobie ze sprzątnięciem.

– Ale... kim pani jest?

Obok stała starsza kobieta, odziana w szary fartuch.

– No przecież nie duchem – odparła, uśmiechając się ciepło, czym zaskarbiła sobie sympatię Kamili. – Idź, zmęczona jesteś.

Dziewczyna skinęła lekko głową. Nie miała siły na grzeczne formułki, towarzyszące zawieraniu znajomości. Powłócząc nogami, ruszyła do szatni. Tam opadła ciężko na jedno z krzeseł i ukryła twarz w dłoniach.

– Widzę, że padłaś? – Sylwia szturchnęła koleżankę w ramię. – Chodź, kierowniczką chce z nami jeszcze pogadać. To chyba coś ważnego.

Kamila dała się zaprowadzić do niewielkiego biura i usadzić na krześle.

– Wiem, że jesteście zmęczone – powiedziała Maria, podnosząc głowę znad sterty dokumentów. – Musimy jednak wyjaśnić jeszcze jedną sprawę. Sylwia, dlaczego ubrałaś moją bratanicę w fartuszek i kazałaś jej obsługiwać gości?

– Bratanicę? – zdziwiła się dziewczyna. – Myślałam, że to nowa kelnerka, którą pani na dzisiaj umówiła.

– Tamta widocznie się rozmyśliła. Nie możecie gonić do pracy każdego, kto o mnie zapyta. To przecież mógłby być ktoś... no, nie wiem, powiedzmy z Sanepidu albo nowy dostawca lodów, albo...

– Ale przecież nic się nie stało – Kamila przerwała ciotce. – Bardzo dobrze, że tak wyszło. Chciałabym tu pracować.

– Masz teraz wakacje. Musisz odpoczywać. We wrześniu zaczyna się szkoła.

– To są najdłuższe wakacje w moim życiu. Jestem wypoczęta jak nigdy dotąd.

– Mogłaby pracować na pół etatu – zaproponowała Sylwia, widząc, że dziewczynie naprawdę zależy.

Maria westchnęła i potarła dłonią czoło. Zastanawiała się nad odpowiedzią. Miała dość współpracy z przypadkowymi osobami, które nie wiedziały, czym jest odpowiedzialność. Nowym kelnerkom za każdym razem

trzeba było wszystko tłumaczyć, co gorsza często porzucały pracę bez uprzedzenia. Niewiele z nich przetrzymało tydzień próbny. Młode dziewczęta wolały same zajadać lody w kawiarni, niż biegać pomiędzy stolikami i obsługiwać gości. Chcąc zarobić parę groszy na kosmetyki i modne ciuchy, często przeceniały swoje możliwości. Życie nie zmusiło ich jeszcze do samodzielnego dbania o finanse. Kamila zaś była uczciwa i sumienna. Skoro po dzisiejszej harówce wyrażała chęć do pracy, to znaczy, że nie miała zamiaru się wycofać. Poza tym w kawiarni codziennie przebywałyby pomiędzy ludźmi, a to zdecydowanie lepsze niż bezsensowne siedzenie w domu i pielęgnowanie bólu po stracie rodziców. Ten argument przeważył.

– Dobrze – rzekła Maria. – Na pół etatu od poniedziałku do piątku. I tylko do końca wakacji.

Dzięki pracy w kawiarni Kamila nabrała dystansu. Zrozumiała, że pomimo zmian oraz tragedii życie toczy się dalej. Konieczność wstawania co rano, zadbania o wygląd, a potem skupienia się na obowiązkach mobilizowała dziewczynę.

A w Jagódce miała co robić. Musiała nie tylko obsługiwać gości, ale też przygotowywać zamówienia i wystawiać rachunki. W kuchenne tajniki wprowadziła ją pani Kazia, ta sama, która pierwszego dnia zaproponowała pomoc przy sprzątanii. Kamila znalazła w niej doskonałą nauczycielkę, która zawsze miała czas, żeby wysłuchać, doradzić i wesprzeć. Pani Kazia potrafiła stworzyć istne dzieło sztuki na paterze z ciastami i owocami, a ozdabiane przez nią talerze z deserami wzbudzały podziw najbardziej wymagających klientów. Najważniejsze jednak, że łakocie smakowały jeszcze lepiej, niż wyglądały. I chyba dzięki temu kawiarnia cieszyła się uznaniem wśród gości.

Właśnie od pani Kazi Kamila uczyła się robienia atrakcyjnych dla oka kanapek, ozdabiania deserów, nakładania lodów oraz parzenia kawy. Wszystko należało wykonywać szybko i sprawnie – goście nie lubili długo czekać. Dziewczyna popełniała wiele błędów, nieraz się skaleczyła albo coś stłukła. Kiedyś zamiast szarlotki nałożyła klientowi sernik. Innym razem lody waniliowe pomyliła z cytrynowymi. Życzliwe koleżanki z pracy cierpliwie tłumaczyły gościom pomyłki i obywało się bez zwrotów – ostatecznie młodej i sympatycznej kelnerce można wiele wybaczyć.

– Masz niesamowite szczęście – powiedziała kiedyś Sylwia, obserwując,

jak klient, który dostał zieloną herbatę zamiast czarnej, popijał ją w najlepsze, czytając z zainteresowaniem gazetę.

A Kamila każdego dnia lepiej poznawała życie kawiarni. Stopniowo popełniała coraz mniej błędów, pracowała szybciej, wypróbowywała własne pomysły na ozdabianie talerzyków. Najbardziej jednak lubiła pracę na sali, przy obsłudze klientów. Uwielbiała obserwować zachowanie i sposób bycia innych ludzi. Niemal codziennie przynosiła do pracy aparat. Uwieczniła kilka naprawdę ładnych obrazów: spracowane dłonie starszego małżeństwa, splecione na kawiarnianym stoliku, zamyślane spojrzenie zielonookiej dziewczyny, małego chłopca w chwili, kiedy tata go podrzucił, wywołując salwę najradośniejszego ze śmiechów. Nawet w tak prozaicznym miejscu jak kawiarnia w dużym mieście można zaobserwować wiele pięknych, a nawet wzruszających momentów.

Uwagę Kamili zwrócił pewien mężczyzna. Przychodził do kawiarni niemal codziennie, siadał przy stoliku pod oknem, zamawiał kawę oraz dwie kremówki i zatapiał się w lekturze przyniesionej książki. W monotonii takiego zachowania nie było nic fascynującego, a jednak zaintrygowało Kamilę. Postanowiła nieco urozmaicić życie tajemniczemu mężczyźnie.

– Niestety, nie mamy kremówek – odpowiedziała po usłyszeniu tradycyjnego zamówienia. – Polecam sernik. Pani Kazia upiekła dziś rano aż dwie blachy. Jest znakomity. Tylko moja mama robiła lepszy.

– Jak to nie ma kremówek? – zapytał klient głosem zdziwionym i jakby trochę zagniewanym.

Po plecach Kamili przeszedł nieprzyjemny dreszcz. Jak zawsze, kiedy przyłapano ją na kłamstwie; kremówki były, całe pudełko. Właśnie dziś rano przyjechała świeża dostawa. Oj, gdyby ciocia dowiedziała się o żartach bratanicy, Kamila miałaby kłopoty! Teraz jednak nie mogła się już wycofać.

– No nie ma – brnęła w kłamstwo, mając nadzieję, że nikt inny nie zamówi teraz kremówki. Nie mogła przecież okłamywać wszystkich klientów. – Nie przywieźli z hurtowni. Rozumie pan, jest lato, sezon urlopowy...

– A kawa jest?

– Oczywiście. Jaką pan sobie życzy?

– A jaką pani lubi?

– Ja nie piję kawy.

– A czego by się pani dzisiaj napiła?

– Bardzo lubię herbatę z cytryną.

– W takim razie dwie herbaty z cytryną i dwa kawałki sernika pani Kazi poproszę.

Chwilę później Kamila postawiła przed mężczyzną talerzyk z ciastem i szklanki napełnione herbatą. Była skrepowana. Ostatecznie dla własnej rozrywki posunęła się do kłamstwa; źle się z tym czuła. Klient gościnnie wskazał miejsce naprzeciwko siebie.

– Chyba mi pani nie odmówi? – zapytał, dostrzegając zdziwienie i zakłopotanie na twarzy młodej kelnerki. – Zapraszam na herbatę i ciasto. Muszę dostać jakąś rekompensatę za brak kremówek.

– Jestem w pracy – odparła niepewnie Kamila. – I nie powinnam...

– Wiem przecież, ale nowych gości na razie nie ma. Chyba nie stanie się nic wielkiego, jeżeli poświęci mi pani pięć minut. Proszę tylko przynieść dla siebie talerzyk i łyżeczkę.

Dziewczyna przyniosła dodatkowe nakrycie i usiadła naprzeciwko nieznanego. Ręce jej drżały. Jak powinna się zachować? Zaczepiła człowieka, o którym nic nie wiedziała. I właściwie dlaczego? Co ją upoważniało do podobnego zachowania?

Mężczyzna, psując misternie zrobioną dekorację, przełożył na czysty talerzyk kawałek sernika.

– Jak pani na imię? – zapytał, wsypując cukier do swojej herbaty.

– Kamila.

– Pięknie. Kamila, Kamilla... A ja jestem Piotr. Piotruś Pan. Tak nazywają mnie koledzy z pracy, bo kiedyś reżyserowałem przedstawienie pod takim tytułem. Mówmy sobie po imieniu, dobrze?

– Nie wiem, czy tak wypada – szepnęła nieśmiało. – Ja tu pracuję, a pan jest naszym klientem.

– Oczywiście, że wypada, skoro proszę. Nie martw się, nikomu nie powiem. – Przesłał jej uśmiech. – Wyjaśnij mi, proszę, jak to możliwe, że dotychczas nie zwróciłem uwagi na twoje piękne, błękitne oczęta?

– Może po prostu nie są aż tak piękne – odpowiedziała, skupiając wzrok na szklance z herbatą. Musiała jakoś ukryć zakłopotanie.

– Nie bądź aż taka skromna. Cóż to w ogóle za zwyczaj? Jeśli ktoś ci mówi coś miłego, to nie należy zaprzeczać, tylko ładnie podziękować.

– Przepraszam, pójdę już. – Wstała, przewracając krzesło. Do skrepowania dołączyło dziwne zaniepokojenie. Nie przywykła do komplementów i nie potrafiła na nie reagować.

– No już, nie gniewaj się! – Piotr położył dłoń na drżącej ręce Kamili. – Usiądź, zjedz ciastko, a ja nie będę już kłapał dziobem. Dobrze?

Skinęła głową, ponownie zajmując miejsce naprzeciw dziwnego mężczyzny. W duchu jednak postanowiła, że nigdy więcej nie będzie próbowała urozmaicać nikomu życia. Była kelnerką i do jej obowiązków należało obsługiwanie gości, a nie zabawianie ich rozmową i rozbijanie monotonii.

– Dziękuję za herbatę – powiedziała, wysączywszy ze szklanki ostatnią kroplę. – Muszę wracać do pracy.

– Jasne, jasne – odparł Piotr, uśmiechając się przyjaźnie. – Ale to raczej ja dziękuję za miłe towarzystwo. Aż dziwne, że wcześniej cię nie zauważyłem. Takich oczu się nie zapomina.

– Ale...

– No już! – Uśmiechnął się łobuzersko. – I smaku takiego sernika też się nie zapomina. Podaj mi proszę rachunek, dziewczę o pięknych oczach, i nie rób takiej miny, bo jeszcze ktoś pomyśli, że proponuję ci coś niemoralnego.

Zachowanie Piotra uległo diametralnej zmianie. Po wejściu do kawiarni nie zamawiał machinalnie kremówek i kawy, ale pytał, co dobrego upiekła pani Kazia oraz co poleciałaby mu Kamila. Przy każdej bytności w kawiarni zamieniał z nią chociaż kilka słów. Chętnie opowiadał o swojej pracy, sztuce, którą właśnie reżyserował, problemach z aktorami, dylematach, pomysłach... Był serdeczny, chociaż traktował dziewczynę nieco żartobliwie, jak młodszą siostrę, i pozwalał sobie na drobne złośliwości. Uparcie komentował zakłopotanie Kamili, w które wprawiały ją komplementy, uważając, że fałszywa skromność jest gorsza od narcyzmu. Nie wyrażał się też zbyt pochlebnie o „dzisiejszych chłopcach”, którzy zamiast rozpieszczać koleżanki pochwałami i odpowiednim traktowaniem, tylko kombinują, w jaki sposób wykorzystać ich wiedzę, pracę i niewinność.

Koleżanki z pracy nazywały go wielbicielem Kamili. Dziewczyna rumieniła się wtedy i znacząco pukała w czoło. Pomimo całej swojej sympatii dla Piotra, nie mogła go sobie wyobrazić w roli adoratora. Zawsze był trochę szorstki, zdystansowany, choć przyjazny. Był wspianiałym kompanem do rozmowy, a z dziewczyną łączyło go wspólne hobby: uwielbiał obserwować ludzi.

– Lubisz poezję, dziewczę o pięknych oczach? – zapytał kiedyś.

– Bardzo – odparła Kamila, uśmiechając się lekko.

– A mogłabyś mi coś, hm... wyrecytować?

– Ale... tutaj? Teraz? – zdziwiła się.

– A cóż w tym złego? – Wzruszył ramionami i spojrzał na grupę młodzieży przy sąsiednim stoliku. – Miejsce jak każde inne. Chyba że się wstydzisz, dziewczę o pięknych oczach?

Ironiczny ton Piotra podziałał jak ostroga i dodał dziewczynie animuszu. Znowu się droczył. Kamila postanowiła, że tym razem nie da się speszyć. Dumnie uniosła głowę.

– A co chciałbyś usłyszeć? – zapytała z nutą buty w głosie.

– Sama wybierz. Niech to będzie coś... pasującego do ciebie.

Pochyliła głowę, szukając w pamięci odpowiedniego utworu. Chciała wybrać coś niebanalnego, ambitnego, żeby Piotr nie pomyślał, że ma do czynienia z prowincjuszką, która nie zna się na poezji. Wyprostowała się na krześle, chrząknęła i przyciszonym głosem wyrecytowała dwie pierwsze zwrotki:

Jak się nie nudzić? gdy oto nad globem

Milion gwiazd cichych się świeci.

A każda innym jaśnieje sposobem,

A wszystko stoi – i leci...

I ziemia stoi – i wieków otchłanie

I wszyscy żywi w tej chwili,

Z których i jednej kostki nie zostanie,

Choć będą ludzie, jak byli...¹ (...)

Umilkła, wyczekująco spoglądając w twarz rozmówcy. Malował się na niej podziw. Po ironii oraz poczuciu wyższości nie pozostał nawet ślad.

– Ambitny repertuar, dziewczę o pięknych oczach – powiedział w końcu Piotr, kiwając z zadowoleniem głową. – Myślałem, że powiesz wierszyk o miłości albo przyjaźni, a ty sięgnęłaś po literaturę z najwyższej półki.

– Norwida nazywają trudnym poetą, ale jak się go zrozumie...

– Ty rozumiesz, nawet za dobrze, dziewczę o pięknych oczach. Takie

wiersze są dla ciebie za smutne. Jesteś młoda, powinnaś mieć w sobie radość.

Kamila wzruszyła ramionami. Nie chciała drążyć tego tematu. Od śmierci rodziców smutek wiernie jej towarzyszył i chyba jeszcze nie dojrzała, by się z nim rozstać. Nie miała też ochoty o nim opowiadać. Na szczęście do kawiarni przybyli nowi goście; dziewczyna wróciła więc do obowiązków, ciesząc się, że uniknęła trudnej rozmowy.

Piotr jeszcze przez kilka minut wodził za Kamilą wzrokiem i kiwając w zamyśleniu głową, szeptał coś pod nosem.

Piotr był człowiekiem nieco dziwacznym, ale nie stanowił wdzięcznego obiektu do fotografowania. Jego twarz rzadko wyrażała emocje, nie ubierał się oryginalnie i nie zwracał na siebie uwagi. Bywał skupiony na lekturze albo ironicznie uśmiechnięty podczas rozmowy, niekiedy zaniepokojony, ale uczucia skrzętnie skrywał pod maską obojętności i dystansu do świata. Kamila musiała zatem poszukać oblicza, które ciekawiej prezentowałoby się przed obiektywem.

Pewnego deszczowego wieczoru, wodząc spojrzeniem po wypełnionej gośćmi sali, niespodziewanie jej wzrok przykuła twarz naznaczona bólem i strachem. Sięgnęła po aparat; jedno ujęcie, drugie i jeszcze z profilu. Ciemne, lekko falujące włosy miękko opadały na wysokie czoło, lekko zadarty nos, mocno zaciśnięte powieki i zagryzione niemal do krwi wargi...

Chłopak poruszył się niespodziewanie, otworzył oczy i spojrzał wprost na Kamilę. Kasztanowy wzrok wbił się w zaskoczoną dziewczynę. Dopiero teraz rozpoznała Wojtkę. Czego on się tak bał? Szybko wsunęła aparat pod fartuszek i chwyciła ścierkę, udając, że wyciera stolik.

Wojtek często zaglądał do Jagódki. Na widok Kamili uśmiechał się przyjaźnie, nigdy jednak jej nie zagadnął. Nie wspomniał ani słowem o feralnym wieczorze, kiedy przyłapał dziewczynę na robieniu mu zdjęć. Zupełnie jakby nie było sprawy. Zwykle przychodził do kawiarni smutny, zamyślony; wyraźnie coś go trapiło. I choć przeważnie towarzyszyli mu znajomi, rzadko ożywiał się podczas rozmowy, a goszczący na jego twarzy uśmiech był zgaszony i jakby nieco sztuczny. Kamila nieraz miała ochotę podejść do Wojtkę, zagadnąć, może nawet pocieszyć, ale wciąż brakowało jej odwagi.

Tego dnia wybrała się do pracy z mocnym postanowieniem: jeśli chłopak

się pojawi, spróbuje rozproszyć jego smutek. Przyszedł po południu i zajął miejsce przy jednym z ogródkowych stolików. Kamila nie dała rady podejść do niego od razu; miała dyżur w kuchni, a w kawiarni panował duży ruch i nie mogła zostawić pani Kazi samej. Dopiero gdy goście zostali obsłużeni, wzięła głęboki oddech i wyszła do ogródka. Pewnym krokiem zbliżyła się do Wojtka. Wiedziała, że jeśli chociaż na chwilę się zatrzyma, znowu zabraknie jej odwagi. Dotarłszy do jego stolika, szybko się zorientowała, że wcale nie oczekiwał wsparcia. Trzymał za rękę jakąś dziewczynę, szeptał coś, spoglądając jej w oczy i uśmiechając się łagodnie.

– Dziękuję, niczego nie potrzebujemy – powiedział na widok Kamili.

Nie odpowiedziała. Niemal biegiem opuściła ogródek. Ręce jej drżały, policzki piekły, skronie pulsowały... Weszła do kuchni i oparła czoło o zimną ścianę.

– Źle się czujesz? – zapytała troskliwie pani Kazia. – Usiądź, odpocznij chwilę.

– Nie, nic mi nie jest – mruknęła. – Zaraz przejdzie.

Nie przeszło. Kamila sama nie wiedziała, dlaczego widok Wojtka w towarzystwie innej dziewczyny tak na nią podziałał. Przecież ledwie się znali i właściwie niespecjalnie lubili. A jednak... Kilkakrotnie złapała się na tym, że porównuje siebie z Tamtą, i z przykrością stwierdzała, że wypada nieciekawie, jak szara mysz przy barwnym ptaku. Towarzyszka Wojtka była wysoka, szczupła, ale nie chuda; wcięcie w tali idealnie komponowało się z krągłością bioder i piersi. Długie paznokcie zostały pomalowane na złoty kolor, modnie przycięte włosy opadały na plecy. Króciutka spódnica oraz wysokie obcasy podkreślały długość zgrabnych nóg, zaś skąpa bluzka więcej odsłaniała, niż zasłaniała. A Kamila? Nie lubiła przyciągać wzroku strojem, wolała krótkie paznokcie, bo nie przeszkadzały, i unikała makijażu, który miał skłonność do rozmazywania się i spływania. Czuła się dobrze w swojej skórze. Zazwyczaj...

– Tomkowi się podobam – powiedziała półgłosem, odgarniając z czoła uporczywie opadające włosy.

Podbudowała się, ale jakiś dziwny, niezrozumiały żal pozostał.

2.

Dzień był upalny. Lato rozgrzało ulice niemal do czerwoności, kazało słońcu przeglądać się w szybach i wylegiwać na dachach, roznosiło po świecie iście

piekielny żar, wywołując tęsknotę za deszczem i chłodem.

– Nareszcie koniec – szepnęła Kamila, wchodząc do szatni. Była zmęczona kilkugodzinną pracą, marzyła o prysznicu i słodkiej beczynności. Nie miała nawet siły się przebrać.

– Kamuś, na jedynce siedzą klienci, którzy chcą z tobą porozmawiać! – zawołała Sylwia, uchylając drzwi szatni. – Ogarnij się, bo wyglądasz jak siedem nieszczęść.

„Pewnie Piotr” – pomyślała dziewczyna. Westchnęła i powłócząc nogami, poczłapała do niedużej, służbowej łazienki. Umyła twarz zimną wodą, co trochę zmniejszyło wrażenie gorąca i pozwoliło wykrzesać z siebie energię, konieczną do zmiany służbowego ubrania na spodenki i koszulkę na ramiączkach. Teraz wystarczyło przeczesać włosy, zarzucić plecak na ramię i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku opuścić miejsce pracy.

Wyszła na salę i poszukała wzrokiem Piotra. Przy wskazanym przez koleżankę stoliku siedzieli jednak Marek i Wojtek. Kamila najchętniej udałaby, że ich nie zauważyła; nie miała ochoty na towarzystwo Wojtka. Marek uniósł jednak rękę w geście powitania, uśmiechnął się po swojemu – całą twarzą, szeroko i szczerze. Nie mogła go zignorować.

– Skończyłam pracę i idę do domu – powiedziała, usiłując zapanować nad drżeniem głosu.

– Siadaj z nami – poprosił Wojtek. – Dom nie ucieknie. Zamówiłem dla ciebie lody.

Kamila spojrzała w kasztanowe oczy chłopaka. Były smutne, jak zwykle, ale tym razem nie dała się im oczarować.

– Dziękuję, nie skorzystam – odmówiła grzecznie.

– No coś ty? – zdziwił się Marek. – Przyszliśmy, żeby z tobą pogadać, a ty nas wystawiasz?

Wojtek wstał, odsunął krzesło dla Kamili i spojrzał na nią wyczekująco. Nie wypadało odmówić. Zajęła miejsce przy stoliku i skupiła wzrok na twarzy Marka. Wyglądał na wzburzonego. Widać faktycznie bardzo mu zależało na rozmowie, skoro odmowę przyjął tak emocjonalnie.

– Coś się stało? – zapytała.

– No wyobraź sobie, że zamiast niebieskiego materiału przysłali nam różowy i nie wiemy, co z tym zrobić – poskarżył się, rozkładając bezradnie ręce. – Jak my będziemy wyglądać w różowych kamizelkach?

– Jakich kamizelkach? Nic nie rozumiem.

– Ależ ty tłumaczysz – mruknął niechętnie Wojtek. – Mama Marasa zgodziła się uszyć nam kamizelki. Wiesz, takie cienkie, żebyśmy mogli je założyć na mecz.

– No przecież mówię! – wtrącił Marek.

– Musiała zajść jakaś pomyłka przy zamawianiu materiału – kontynuował niezrażony Wojtek – i zamiast czarnego oraz niebieskiego, przysłali czarny i różowy.

– To zwróćcie do sklepu, niech wymienią – poradziła Kamila i obdarzyła uśmiechem Sylwię, która właśnie postawiła przed nią pucharek z lodami. – Pomyłkę na pewno można jakoś wyjaśnić.

– Problem w tym, że nie mamy czasu na podmianki – tłumaczył Wojtek. – Mecz jest za dwa tygodnie, kamizelki też trzeba uszyć i...

– Mama powiedziała, że jutro zaczyna szycie, a my zostaliśmy z tą różową szmatą – znowu wtrącił się Marek. – Jeszcze trupie czaszki i będziemy emo jak z obrazka.

– To niech kamizelki będą czarne, a różowy materiał komuś oddajcie albo zwróćcie do sklepu.

– Nie, czarnego jest za mało i słabo rzuca się w oczy... To już lepiej z różem.

– Macie go przy sobie? – Włożyła do ust odrobinę lodów cytrynowych i rozkoszowała się ich chłodem. Od razu świat stał się mniej parny, a problemy łatwiejsze do rozwiązania. – Może wcale nie jest tak źle?

– Jest źle. – Marek wydobył z plecaka dwie paczki. Z jednej wystawał kawałek dzianiny, którą uznał za różową. – Sama zobacz.

Kamila odłożyła łyżeczkę i przysunęła do siebie pakunek z pechowym materiałem. Pociągnęła za wystający fragment, aby stwierdzić, że dzianina jest raczej bordowa niż różowa, a koledzy zwyczajnie przesadzają.

„Typowo męskie podejście do kolorów” – pomyślała, wzdychając. Wyjęła z torebki kalendarz i narysowała projekt.

– Zobaczcie – powiedziała, odwracając notes w stronę chłopaków. Starала się zwracać do Marka, ale zupełne ignorowanie Wojtka byłoby niegrzeczne. –

Trzeba z tego zrobić szachownicę: z jednej strony czarny, z drugiej bordowy, a na plecach odwrotnie. Do tego czarne oblamówki. Wtedy kolor bordowy czy, jak wolicie, różowy nie będzie się tak rzucał w oczy. Materiału na pewno wystarczy.

– Ale one miały być rozpinane, a nie przez głowę – mruknął niechętnie

Marek. – I w paski, a nie w...

– A mnie się podoba – stwierdził Wojtek. – Pomysł jest trochę nowatorski, ale wszyscy pomyślą, że tak miało być.

– Zawsze mieliśmy czarne z niebieskimi paskami.

– To teraz będziemy mieli inne.

Marek przez chwilę oglądał narysowany przez dziewczynę projekt, porównując go z materiałami.

– Niech wam będzie – powiedział w końcu i zapakował wszystko do plecaka. – Chociaż i tak będziemy wyglądać obciachowo.

Kamila wróciła do pałaszowania roztopiających się lodów. Pomogła, jak umiała, nic więcej nie mogła zrobić.

– Uratowałam nas – stwierdził Wojtek, obdarzając dziewczynę pełnym wdzięczności spojrzeniem. – A już się bałem, że wszyscy będą się z nas śmiać. Dzięki.

– Nie ma za co – powiedziała Kamila, nie podnosząc wzroku znad pucharka.

– Mam nadzieję, że przyjdiesz na mecz?

– Jakoś mnie to nie pociąga.

– No wiesz? Musisz przecież zobaczyć, jak ogrywamy tych z piątki! A Maras w akcji będzie dodatkową atrakcją.

– Wojtek! – oburzył się chłopak.

– On udaje skromnego, ale jak stanie na bramce, to jest nie do pokonania, i tak śmiesznie trzęsie mu się tłuszczyczek na brzuchu, gdy...

– Teraz to już przesadziłeś! – Marek wstał tak energicznie, że aż przewrócił krzesło. Zrzucił torbę na ramię i opuścił kawiarnię.

– Obraził się – stwierdził Wojtek, podnosząc krzesło. – Cały Maras! Delikatny jak panienska. No wiesz, on ma fioła na swoim punkcie i...

– Myślałam, że przyjaciół się nie obgaduje.

Uniosła głowę i spojrzała w kasztanowe oczy. Błyszczały w nich iskiereki gniewu. Najwyraźniej chłopak nie lubił, kiedy zwracano mu uwagę. Nikt nie lubi, ale trzeba mieć dość pokory, żeby spojrzeć na siebie krytycznie. On jej nie miał.

– Coś ci się nie podoba? – zapytał głosem, w którym dźwięczała wrogość.
– Nie masz pojęcia o tym, co jest między mną a Marasem.

– Ale wiem, co znaczy słowo „przyjaźń”.

– Będziesz mnie teraz oceniać?

– Ani mi to w głowie – odparła spokojnie, wyjmując z torebki portfel. – Właściwie też już wychodzę. – Położyła na stoliku banknot. – To za lody. Miłego popołudnia.

– Zabierz tę kasę – warknął przez zaciśnięte zęby, z trudem panując nad złością.

– Nie. Dla mnie jesteś obcym człowiekiem. Byłeś tu nieraz i nigdy nie miałeś dość taktu, żeby się przywitać. Nie widzę powodu, żebyś...

– Wystarczy tych wymówek – przerwał ostro Wojtek. – Zamawiałem lody i zapłacę za nie, a ty na drugi raz nie siadaj przy jednym stoliku z obcymi ludźmi.

Kamila zarumieniła się ze wstydu i złości. Zagryzła wargi, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy, a w duchu postanowiła, że nigdy więcej się do chłopaka nie odezwie. Niech sobie ten warszawski lalusz nie myśli, że jej na nim zależy! Bez słowa opuściła kawiarnię.

Wojtek zgrzytnął zębami. Nigdy w życiu nie spotkał tak dumnej i zawziętej dziewczyny. Miała rację. Widywał ją tutaj, ale wstydził się zagadnąć. Zresztą po co? Nie przepadał za towarzystwem takich skromnych pań. Z drugiej strony Kamila pomogła im, była miła i bystra. I miała śliczne oczy. I ładny tembr głosu... I dobrze się z nią rozmawiało...

Westchnął ciężko, przyznając w duchu, że w pełni zasłużył na krytykę. Przeholował z kozaczeniem, a gdy się zorientował, zabrakło mu odwagi, żeby przeprosić, więc brnął w chamstwo, ośmieszając się do reszty.

– Teraz mam za swoje.

O której jutro zaczynasz pracę, dziewczę o pięknych oczach? – zapytał następnego dnia Piotr.

– O czternastej – odpowiedziała Kamila, ustawiając przed nim filiżankę z parującą kawą.

– To się świetnie składa. Od ósmej mamy próbę w teatrze. Chciałbym, żebyś na nią przyszła, a później zapraszam cię na obiad do...

– Nie znam Warszawy.

– Jak nie znasz, to poznasz. W czym problem?

– Dla mnie problem.

– Tak, już! – Uśmiechnął się kpiąco. – Bo tramwaj cię pożre, a autobus przewiezie na Marsa. Stracha masz, dziewczę o pięknych oczach, a świat

należy do odważnych.

Znowu próbował wejść Kamili na ambicję, ale dzisiaj nie bardzo mu się to udawało.

– Po co miałabym przychodzić na tę próbę? – Wzruszyła ramionami. Oczywiście, że była ciekawa, jak wygląda życie teatru „od kuchni”, ale Piotr nie musiał o tym wiedzieć. Po ostatniej rozmowie z Wojtkiem nie ufała ludziom, wszędzie wietrzyła podstęp. – To jakaś pułapka?

– Dziewczyno, co za pomysły ci do głowy przychodzą? – Piotr aż odłożył łyżeczkę, którą mieszał w filizance, i uważnie spojrzał Kamili w oczy. – Jaka pułapka? Jestem uczciwym człowiekiem. Nie zapraszam cię do swojego domu, tylko do teatru, gdzie pracuję. Naprawdę zachowuję się jak typ, który wykorzystuje naiwne panienki?

Był tak oburzony osądzeniem o nieczyste zamiary, że Kamili zrobiło się przykro.

– Przepraszam – bąknęła, patrząc w podłogę. – Ostatnio dostałam porządną nauczkę i teraz jestem ostrożna.

– Ktoś cię skrzywdził?

– Nie. Tylko pokazał, że idiotka ze mnie.

– Widziałaś kiedyś próbę teatralną?

– Nie.

– Najwyższy czas to zmienić – powiedział stanowczo Piotr. Położył na stoliku wizytówkę. – Tu masz adres i do zobaczenia jutro o ósmej. A teraz już idź, dziewczę o pięknych oczach, bo chcę w spokoju poczytać gazetę.

Kamila bardzo długo zastanawiała się, czy powinna przyjąć zaproszenie Piotra. Z jednej strony na myśl o wyprawie do nieznanego miasta paraliżował ją strach, z drugiej zaś bardzo chciała zobaczyć, jak wygląda praca w teatrze. Zdawała sobie sprawę, że kiedyś będzie musiała pokonać lęk przed Warszawą. Poza tym nie zniosłaby ironicznych uwag Piotra na temat irracjonalnych obaw i braku pewności siebie. Wypytała więc ciocię, jak dojechać do Teatru Rozmaitości, i nazajutrz wsiadła do autobusu z mocnym postanowieniem schowania emocji do kieszeni.

Tuż przed dziewiątą stanęła naprzeciwko oszklonych drzwi teatru. Niespodziewanie poczuła nieznaną, ale bardzo miłą zapach. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu jego źródła. Nie dostrzegła jednak niczego

niezwykłego – szara, warszawska ulica, warkot samochodów oraz zabiegani ludzie.

„Najwyraźniej taka jest woń tajemnicy” – pomyślała, otwierając szklane drzwi. Wkroczyła do wąskiego, ponurego korytarza i powiodła dookoła wzrokiem. Po lewej stronie znajdowało się okienko kasy, po prawej pomieszczenie, z którego właśnie wyjrzał starszy mężczyzna.

– Słucham, pani do kogo? – zapytał niskim, nieco zachrypniętym głosem.

Kamile opuściła odwagę. Przez chwilę rozważała możliwość ucieczki, ale powstrzymała ją wizja drwiącego Piotra. Na pewno by jej nie darował kpin, dowiedziawszy się, że umknęła przed portierem, bo chyba taką funkcję pełnił ów straszny pan.

– Dzień dobry – przywitała się, pamiętając, że zrobienie dobrego wrażenia na rozmówcy to połowa sukcesu. – Nazywam się Kamila Górka. Jestem umówiona z Piotrem Komorowskim.

– A tak, reżyser mówił, że kogoś oczekuje. Proszę poczekać, powiadomię go, że pani przyszła. – Wszedł do kanciapki. Przez chwilę z kimś rozmawiał przez telefon. Kamila słyszała głos, ale nie rozumiała słów, a nie odważyła się podejść bliżej. – Już po panią schodzą – powiedział po chwili, wychylając się na korytarz. – Proszę poczekać.

Dziewczyna usiadła na małej ławce. Czowała się nieswojo w obcym miejscu. Zaczęła żałować, że tu przyszła. Zapragnęła jak najszybciej opuścić budynek, wrócić do domu, opielić róże, wziąć prysznic... Na to było już jednak za późno.

– To właśnie ta pani – usłyszała głos portiera.

Gdy uniosła głowę, ujrzała młodą, sympatycznie wyglądającą kobietę.

– Cześć, Urszula jestem.

– Kamila. – Uścisnęła podaną sobie dłoń, zastanawiając się, jakie jeszcze niespodzianki zgotował dla niej reżyser i dlaczego sam nie przyszedł, żeby się z nią przywitać.

– Rozumiem, że jesteś umówiona z Piotrem? – zapytała Urszula, nie zwracając uwagi na zakłopotanie dziewczyny. – Chodź, zaprowadzę cię na scenę. Urzęduje tam od godziny.

Kamila skinęła głową i powędrowała za swoją przewodniczką. Nie bardzo wiedziała, czy powinna obserwować korytarz, czy raczej kobietę. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby ktoś chodził tak lekko, cicho, a zarazem szybko. Biała sukienka w drobne kwiatki powiewała za Urszulą, dając złudzenie

skrzydeł unoszących ją tuż nad schodami. Ludzie pracujący w teatrze nie są tacy jak inni. Już portier miał w sobie coś niezwykłego, jednocześnie strasznego i tajemniczego, a Urszula była istnym wcieleniem nimfy albo leśnego duszka. W połączeniu z dziwactwami Piotra świat teatru jawił jej się jako świat indywidualności. Kobieta przystanąła przed niedużymi, żółtymi drzwiami, kładąc palec na ustach. Gdy upewniła się, że Kamila nie zada nagle jakiegoś pytania, nacisnęła kłamkę. Do pomieszczenia wsunęła jedynie głowę, chcąc wy badać sytuację.

– Piotr, masz gościa – zawołała po chwili. Ktoś musiał jej odpowiedzieć, bo mruknęła potakująco, po czym odwróciła się do Kamili. – Wejdz, tylko cichutko na razie, bo mają tam piekło. Powodzenia.

Cóż owo „powodzenia” miało niby oznaczać? Chciała o to zapytać, ale nie zdążyła, ponieważ została niemal wepchnięta do dużego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Zamrugęła. Gdy wzrok oswoił się z półmrokiem, dostrzegła kilka ludzkich sylwetek podrygujących w dziwnym tańcu. Wrażenie było niesamowite – nie tylko ze względu na układ, ale również z uwagi na brak muzyki. Kłasnęcie sprawiło, że tancerze znieruchomieli.

– Nie, tak być nie może! – Kamila rozpoznała głos Piotra. – Radek, daj więcej światła i muzykę z głośników, bo na sucho ucieka rytm. Ludzie, z kim ja pracuję?

Nagły strumień światła oślepił Kamilę. Zmrużyła oczy, a gdy je ponownie otworzyła, uświadomiła sobie, że stoi na scenie teatralnej. Na szczęście nikt nie zwrócił na nią uwagi. Cofnęła się trochę, skryła za filarem i powiodła dookoła wzrokiem. Otaczały ją trzy ściany, czwartą stanowiła niejako otwarta przestrzeń, za którą znajdowały się rzędy foteli. Dziewczyna widziała oczywiście tylko te oświetlone reflektorem. Scenę wieńczył wysoki sufit, wyposażony w szereg lamp i nieznanych Kamili urządzeń. Z głośników płynęła skoczna muzyka, a pięć osób, krocąc po wyrysowanych na podłodze strzałkach, ćwiczyło układ taneczny. Piotr spacerował pomiędzy nimi, czasem przerywał, coś poprawiając albo zmieniając.

– Teraz jest dobrze – powiedział w końcu. – Jeszcze raz, wszystko od początku. Tylko skupcie się, bo mamy opóźnienie. – Zeskoczył ze sceny i zniknął w mroku widowni. – Zaczynamy.

Tym razem nikt nie przerywał układu. Reżyser odezwał się dopiero wtedy, gdy muzyka umilkła, a tancerze znieruchomieli.

– Na razie wystarczy. Przypominam o przymiarce kostiumów. Widzimy się

jutro o dziewiątej. – Zgrabnie wskoczył na scenę i zwrócił się w stronę Kamili. – Witam, dziewczę o pięknych oczach. Myślałem, że już nie przyjdiesz, bo to takie typowo kobiece: stchórzyć. Ale okazałaś się dzielna, i za to cię lubię.

– Powinnaś się teraz obrazić? – zapytała niepewnie.

– Nie powinnaś sobie tym zaprzętać głowy. Usiądź, proszę. – Podprowadził ją do bujanego fotela z wikliny. – Za chwilę pojawi się tu zabiegający o twoją rękę kawaler. Masz do wykonania bardzo proste zadanie: musisz go spławić. Życie jest brutalne. Kochasz innego. Podejrzewam, że niejednemu już dałaś odprawę, więc wiesz, jak to zrobić, i obejdziesz się bez moich instrukcji. Tutaj jest tekst, ale prosiłbym cię, żebyś się do niego nie ograniczała. Gesty i mimika też są ważne.

Wręczył dziewczynie kilka zadrukowanych kartek i zniknął z pola widzenia, zanim zdążyła zaprotestować. Co on sobie właściwie wyobrażał? Zaprosił ją, żeby obejrzała próbę. A później, bez zapowiedzi, każe samej coś odgrywać? I jak się do niej odzywał! Och, ta ironia zmieszana z uprzejmością! Jakież to irytujące – bo nawet obrazić się za coś takiego nie można. Zresztą Piotr nie wyglądał na osobę, która zawracałaby sobie głowę cudzymi fochami. Zawsze mówił, co myślał. Chyba właśnie dlatego tak go lubiła. Szanowała ludzi szczerych i dobrze się czuła w ich towarzystwie, wiedząc, że nie mają jej pięknymi słówkami.

W złośliwościach Piotra nie było przecież nic obraźliwego. Chciał pokazać Kamili swoją pracę, jednocześnie proponując przeżycie wspaniałej przygody. Ani Tomek, ani koleżanki ze Smolca, ani nawet tamtejsi nauczyciele nie mieli okazji przebywać na scenie teatralnej. Koniecznie trzeba im opowiedzieć, jaka jest duża i tajemnicza. Fascynująca wydawała się również możliwość udawania aktorki. Kamila trochę się bała, ale był to strach motywujący. Usiadła wygodnie w wiklinowym fotelu. Reflektor oświetlił plik kartek, który trzymała w dłoni. Ach tak, należało się zapoznać z tekstem. Bardzo ciekawe, co też Piotr dla niej przygotował. Przebiegła wzrokiem po literach. Znała ten utwór, ale nie potrafiła sobie przypomnieć skąd. Nagle usłyszała czyjeś kroki. Uniosła głowę, napotykając spojrzenie nieznanego chłopaka. Uniósł rękę w powitalnym geście. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale właśnie w tej chwili do ich uszu dobiegł głos Piotra:

– Skupcie się! Chcę widzieć, jak grają emocje. Zaczynaj, Artur! Tylko żebyśmy was słyszeli!

Chłopak, nazwany Arturem, pewnym krokiem podszedł do fotela, na którym siedziała Kamila. Ukłonił się i wcisnął na głowę kapelusz z szerokim rondem. Dziewczyna zrozumiała, że nie będzie żadnego przedstawiania się ani powitalnych grzeczności. Może to lepiej, nigdy nie lubiła tych ceregieli. Zmobilizowała całą swoją odwagę, wszystkie siły i dumnie wyprostowała się w fotelu. Widownię, z której odezwał się Piotr, skrywała ciemność. Któż mógł tam być? Dziewczyna wolała o tym nie myśleć. Teraz musiała zrobić wszystko, aby nie zobaczyć na twarzy reżysera ironicznego uśmiechu. Postanowiła, że wykona powierzone jej zadanie najlepiej, jak potrafi.

Miała odrzucić kawalera. Proszę bardzo! Odwróciła głowę, udając znudzenie. Zakręciła na palcu kosmyk włosów.

Chłopak spróbował zajrzeć dziewczynie w oczy, zakasłał, westchnął. Robił wszystko, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Ona jednak pozostała nieugięta. Ziewnęła nawet, demonstracyjnie zasłaniając usta.

– *O królowo wszechpiękności!* – przemówił Artur.

Ornamencie człowieczeństwa!

Powiedz: „W ogień skocz, Papkinie” –

A twój Papkin w ogniu zginie.

Dziewczyna uśmiechnęła się ironicznie i odpowiedziała z nutą lekceważenia w głosie:

– *Nie tak srogie me żądanie!*

Klejnot rycerskiego stanu

Pastwą ognia nie zostanie.

(...)

Posłuszeństwa, wytrwałości

I śmiałości żądam próby.

Chłopak złożył głęboki ukłon. Uśmiechając się, dumnie wypiął pierś i rzekł pewnym głosem:

– *W każdej znajdę powód chluby.*

Kamila potarła ręką czoło, wstała, przeszła się po scenie. Wyglądała tak, jakby szykowała bardzo trudne zadanie. W końcu przystanęła naprzeciwko kawalera. Był od niej sporo wyższy, więc uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

– *Posłuszeństwa chcąc dać miarę*

Milczec będziesz sześć miesięcy.

Mówiła powoli, wyraźnie, chcąc być dobrze zrozumianą.

– *Nic nie gadać?* – zdziwił się Artur.

Dziewczyna zaśmiała się cicho. Opuściła głowę. Teraz spoglądała w dal, ponad ramieniem Artura.

– *Tak – nic więcej* – odparła spokojnie.

Wytrwałości zaś dam wiarę,

Gdy o chlebie i o wodzie...

Artur złapał się najpierw za głowę, strącając kapelusza, później za brzuch.

– *Tylko, przebóg, niezbyt długo* – zawołał błagalnym głosem.

– *Rok i dni sześć* – odpowiedziała, uśmiechając się okrutnie.

– *Jestem w grobie...* – jęknął chłopak. Zwinął się w kłębek, symulując ból żołądka. Po chwili jednak stanął prosto, wykonał głęboki ukłon i podniósłszy kapelusz, wsadził go na głowę. – *Ale zawsze twoim sługą.*

Kamila spojrzała badawczo na swego rozmówcę.

– *Zaś śmiałości w tym sposobie*

Da mi dowód, kto dać zechce:

W oddalonej stąd krainie

Jadowity potwór słynie,

Najmężniejszym trwogą bywa,

Krokodylem się nazywa.

Niech go schwyci i przystawi,

Oko moje nim zabawi;

Bom ciekawa jest nad miarę

Widzieć żywą tę poczwarę – rzekła wyniośle.

Usiadła na bujanym fotelu, pobawiła się trzymanymi w dłoniach kartkami, udała, że je czyta, a lektura pochłania ją bez reszty. Po chwili jednak podniosła wzrok.

– *To jest wolą niewzruszoną* – powiedziała tonem znudzonej damy.

A kto spełni, co ja każę,

Ten powie przed ołtarze,

*Tego tylko będę żoną.*²

Artur zdjął kapelusz i pokłonił się nisko. Głośne kłaśnięcie przypomniało im, że mieli widzów.

– Super, bardzo mi się podobało! – zawołał z oddali Piotr. – Artur, pozwól do mnie na moment, musimy pogadać.

Kamila została sama. Usiadła wygodnie i po raz kolejny skupiła się na

wypowiedzianym przed chwilą tekście. Skąd go znała? Zaraz, spokojnie. Papkin, Klara... Ależ oczywiście! To przecież bohaterowie *Zemsty* Aleksandra Fredry! Jak to możliwe, że od razu się nie zorientowała?

Jakiś mężczyzna podszedł niepostrzeżenie do Kamili.

– Gratuluję – powiedział. – Ma pani wrodzony talent i świetną dykcję.

Dziewczyna drgnęła, wyrwana z zamyślenia, i wstała energicznie.

– Dziękuję panu.

– Widzę, że poznałaś już mojego szefa i nauczyciela – stwierdził zadowolonym głosem Piotr, wyłaniając się z mroku.

„Jak on to robi, że nigdy nie słyhać jego kroków?” – zastanawiała się dziewczyna, miętosząc w dłoniach zadrukowane kartki.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Karol Rudnicki, kierownik teatru.

– Kamila Górka.

– Miło mi panią poznać.

Mężczyzna uściskał rękę dziewczyny i oddalił się w głąb sceny.

– Masz szczęście, dziewczę o pięknych oczach – szepnął Piotr, uśmiechając się. – Karol rzadko się odzywa, jeśli nie musi. Jest nieco mrukliwy, ale to znakomity aktor i świetny reżyser. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Prawdziwy pasjonat teatru.

– Chodźmy już stąd – poprosiła Kamila, zapominając, że miała być dzielna.

– Ja... nie czuję się najlepiej.

– Oczywiście. – Reżyser najwyraźniej postanowił darować sobie ironiczne uwagi. – Zapraszam cię na obiad.

Rozdział III. W nowej szkole

*Samotność jest jak ogród,
w którym dusza usycha, a kwiaty przestają pachnieć.*

Marc Levey

1.

Z pamiętnika Kamili:

1 września

Dziś było rozpoczęcie roku szkolnego. Obawiałam się tłumu obcych ludzi i długich mów powitalnych, ale wszystko zostało załatwione szybko i bez zbędnych ceremonii. Kilkanaście minut i po sprawie. Zwyczajnie uczniowie spotkali się w klasach z wychowawcami, którzy rozdali im skserowane plany lekcji. Pani dyrektor przywitała wszystkich przez radiowęzeł, co miało jeden wielki plus: nie musiałam jej oglądać.

Przyznam, że nieco rozczarowałam się tym pierwszym dniem w szkole. Miałam nadzieję, że poznam jakąś sympatyczną dziewczynę, z którą z czasem może się zaprzyjaźnię. Tymczasem w klasie mam tylko pięć koleżanek i żadna nie przypadła mi do gustu. Jedną zapytałam, czy mogę usiąść obok niej w ławce. Odpowiedziała, że nie lubi tłoku. Po takiej odprawie już nawet nie próbowałam się do kogokolwiek odzywać.

Jedyną moją pociechą była obecność Marka. Ach, właśnie! Marek i Wojtek są ze mną w klasie. Bardzo się z tego cieszę, bo przy nich czuję się mniej obco. Nawet moja niechęć do Wojtka nieco zmalała, chociaż trzymam dystans, rozmowy ograniczam do minimum i staram się nie wchodzić mu w drogę. Chyba nigdy nie zapomnę, jak mnie potraktował w Jagódce. On jest dziwny, a ja straciłam ochotę na poznawanie owej dziwności.

Dzień był pogodny. Wczesnopopołudniowe słońce opramieniało blaskiem szkolne boisko, płaśtało z wiatrem pośród gałęzi drzew, pieściło ciepłym żółto-zielone liście, przywołując wspomnienia wakacyjnej beztroski.

Nagle drzwi szkoły, wiodące na boisko, otworzyły się, wypuszczając grupę

uczniów. Już sama ich obecność świadczyła, że czas letniego odpoczynku dobiegł końca. Wrzawa, połączona z przedmeczowym zamieszaniem, skutecznie zburzyła spokój przyrody. Kamila znalazła ustronne miejsce w cieniu brzozy i usiadła na trawie, opierając głowę o pień drzewa. Najchętniej wróciłaby do domu, ale miała jeszcze lekcje, a nie chciała, aby nauczyciele na dzień dobry uznali ją za niesumienną. Nieprzytomnym wzrokiem spoglądała więc przed siebie, udając, że z uwagą obserwuje mecz. W rzeczywistości jednak była myślami w Smolcu, na małym, nieco zaniedbanym boisku, i zastanawiała się, czy jej chłopak wraz z kolegami też dzisiaj grają w piłkę. Niestety Tomek od kilku dni nie odbierał jej telefonów. Dziś rano napisał krótkiego esemesa, donosząc, że u niego wszystko dobrze, tylko ma mało czasu.

Kamila zamknęła oczy, chcąc odgrodzić się od panującego dookoła zamieszania. Przeniosła się myślami do rodzinnego domu, planując, co po lecie należy zrobić w ogrodzie. Przycinała pędy róż, podsypywała nawozem drzewka owocowe, sadiła tulipany... Morfeusz troskliwie utulił ją w ramionach, dając poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Dopiero zwiększone natężenie hałasu sprawiło, że drgnęła nerwowo. Rozmasowując zdrętwiały kark, rozejrzała się dookoła. Potrzebowała chwili, żeby wrócić do rzeczywistości. Wstała, przewiesiła plecak przez ramię, próbując zorientować się, co wywołało harmider. Najwyraźniej mecz dobiegł końca, a radość chłopców w bordowo-czarnych kamizelkach jednoznacznie wskazywała, kto wygrał. Kamila zrobiła kilka kroków w stronę boiska i poszukała wzrokiem nauczycielki, z którą jej klasa powinna mieć teraz lekcję.

– Pani profesor, czy wracamy jeszcze do szkoły? – zapytała.

– Nie, możecie już iść – odpowiedziała znudzonym głosem nauczycielka. Najwyraźniej nie była fanką piłki nożnej.

– To do widzenia! – powiedziała Kamila, nie kryjąc ulgi, i skierowała się w stronę szatni. Kątem oka dostrzegła jeszcze rozpromienioną twarz Wojtka, górującą ponad tłumkiem otaczających go wielbicielek.

„Gwiazdor pełną gębą” – pomyślała z niechęcią.

Zdjęła z szatniowego haczyka kurtkę i włożyła ją do plecaka. Zerknęła jeszcze w wiszące na ścianie lustro, żeby poprawić rozwiane przez wiatr włosy, i opuściła szkołę. Szła niespiesznym krokiem, ciesząc się urokiem słonecznego wrześnieowego popołudnia. Lubiła tę porę roku, taką ciepłą, pełną

barw i blasków...

– Kamila! – krzyknął ktoś niepodziwianie. Początkowo myślała, że się przesłyszała. Bo któż mógłby ją wołać? – Kamila, zaczekaj!

Przystanęła i obejrzała się niepewnie; nadal nie była przekonana, że chodzi właśnie o nią. Zobaczyła nadbiegającego od strony szkoły Wojtka. Zdążył się już przebrać w czysty podkoszulek i dzinsy.

– Dlaczego już idziesz? – zapytał, zatrzymując się naprzeciwko dziewczyny.

– Nie mam tam nic do roboty. – Wzruszyła ramionami. – Nie przepadam za tłumem i ścisaniem.

– No wiesz?! – Wojtek wyraźnie się oburzył. – Idziemy do Jagódki napić się czegoś. Chodź z nami.

– Nie chcę.

– Ale dlaczego? Czemu się alienujesz?

– Widocznie lubię – mruknęła pod nosem, nie zamierzając się skarżyć. Bo nie tyle ona się alienowała, co zwyczajnie została odepchnięta, i nie miała ochoty nikomu narzucać swojej obecności.

– Przepraszam za tę kłótnię w kawiarni. Wiem, że nic mnie nie usprawiedliwia i...

– Ależ ja się nie gniewam – przerwała mu w pół słowa. – Trudno mieć do kogoś żal o mówienie prawdy.

– Nie chcę się kłócić. Wiem, że postąpiłem jak prostak. Już taki jestem, nie lubię krytyki.

– Jasne! – Uśmiechnęła się ironicznie. – Nikt nie lubi. Wolisz gromadkę pańienek, wgapionych w ciebie jak w obraz. Wybacz, ale nie należę i nigdy nie będę należeć do klubu twoich wielbicielek.

– I bardzo dobrze – powiedział Wojtek bez złości. Był spokojny i opanowany, co Kamili nawet zaimponowało. – To znaczy, że masz więcej oleju w głowie niż one wszystkie.

– O? – zdziwiła się.

– Widzisz, wcale nie jestem taki zepsuty, jak ci się wydaje. To jak będzie? Zgoda?

Zastanawiała się chwilę. Co jej przyjdzie z dąsów? Nic.

– Zgoda – odparła Kamila, ściskając podaną rękę.

Wojtek przytrzymał jej dłoń odrobinę dłużej, niż wymagała tego konieczność. W odpowiedzi na pytające spojrzenie dziewczyny, pochylił się

i pocałował ją w rękę. Twarz Kamili zapłonęła rumieńcem, serce забиło mocniej.

„Dziwny ten Wojtek – pomyślała. – Kilka dni temu zachował się jak gbur. Teraz zgrywa dżentelmena. Jaki jest naprawdę?”

– To jak, idziesz z nami do Jagódki?

– Nie mam nastroju – powiedziała przeproszającym tonem. – Naprawdę nie lubię tłumów.

– To odprowadzę cię do domu.

– Nie musisz.

– Ale chcę.

Dziewczyna skinęła lekko głową. Było jej miło, że Wojtek zrezygnował dla niej ze spędzenia popołudnia z przyjaciółmi. Nie spodziewała się tego.

2.

Z pamiętnika Kamili:

15 września

Z przykrością muszę stwierdzić, że dyrektorka nie myliła się, sugerując, iż mogę mieć problemy z nauką w warszawskim liceum. Tutaj poziom nauczania jest faktycznie wyższy niż w Smolcu. Najtrudniej nadrobić zaległości w przedmiotach ścisłych. Matematyka to dla mnie prawdziwa zhora. Nigdy nie byłam asem, ale teraz grozi mi matematyczna katastrofa. Niektórych rzeczy zwyczajnie jeszcze nie przerabiałam w poprzedniej szkole. Nawet samodzielne rozwiązywanie zadań domowych sprawia mi trudność. Zawsze spisuję od Marka. Gdyby nie on, miałabym już pewnie z pięć pał w dzienniku. Wstyd mi, że nie potrafię sobie poradzić z zagadnieniami oczywistymi dla pozostałych uczniów. Zaczynam panikować.

Moją drugą zhorą jest fizyka. Na szczęście nie tylko moją. Widać to już taki przedmiot, że rozumieją go tylko wybrani.

No i jeszcze coś, a raczej ktoś, nie daje mi spokoju. Wojtek. Zawsze, kiedy pożyczam od Marka zeszyt, żeby spisać matkę, patrzy na mnie z takim wyrzutem, jakbym popełniała przestępstwo. On też ma problemy z przedmiotami ścisłymi. Stara się jednak pracować samodzielnie. Rozwiązuje zadania, sprawdza, poprawia błędy, prosi nauczycielkę, żeby wytłumaczyła mu coś na przerwie. Ale mnie brak jego śmiałości; nie wiem też, czy tutejsi nauczyciele byliby wyrozumiali dla takiej prowincjuszki jak ja. Wojtek należy do samorządu szkolnego, jest dobrym uczniem i świetnym

piłkarzem. Wszyscy, łącznie z panią dyrektorką, darzą go sympatią. A ja? Kim jestem w tej szkole? W ławce siedzę sama, na przerwie nie mam do kogo ust otworzyć. No, przesadziłam, jest Marek. Nie chcę mu się jednak narzucać, bo to trochę nie wypada. Zасыwam się więc zwykle w jakimś kącie i czytam. Zupełnie nie potrafię się porozumieć z koleżankami; one są kompletnie inne ode mnie. Wystrojone jak damy, zainteresowane tylko tym, kto z kim chodzi i jak poderwać nowego chłopaka. A ja nienawidzę plotkarstwa, snucia intryg i głupich śmiechów z niczego.

Nie mam głowy do matematyki, fizyki i chemii, ale zawsze byłam dobra z przedmiotów humanistycznych. W warszawskiej szkole bardziej szczegółowo omówiono pewne zagadnienia z historii. Kanon lektur obowiązkowych na polskim również jest znacznie szerszy, ale to akurat żaden kłopot. Historię interesuję się od dziecka, a książki pochłaniam, od kiedy nauczyłam się czytać, szybko więc nadrobię zaległości.

Muszę sobie jakoś poradzić. Muszę udowodnić pani dyrektorki, że prowincjuszka też coś potrafi.

5 października

Na przyszły tydzień zapowiedziano sprawdzian z matmy. Nadchodzi więc mój sądny dzień. Nie wiem, jak to przeżyję. Nic nie umiem. Ściągać też. Wyjdę na kompletne zero matematyczne. Jestem tak zdenerwowana, że boli mnie brzuch na samą myśl o równaniach. Co ja teraz zrobię?

Najgorszy jednak będzie wstyd. Co powiem cioci, kiedy zostanie wezwana do szkoły? Przecież ona myśli, że jestem świetną uczennicą. Podczas rozmowy z dyrektorką podkreślała, jak to zmarły brat wielokrotnie pisał jej w listach, że córka jest zdolna i pomaga słabszym kolegom w nauce, więc nie ma powodu do cofania mnie do pierwszej klasy. Ech...

Zadźwięczał dzwonek. Drzwi klas kolejno się otwierały i na korytarze wychodzili znudzeni nauką uczniowie. Wśród nich również Kamila. Chwiejnym krokiem podeszła do okna i otworzywszy je, wyjrzała na szkolne podwórze. Ostatnie liście już opadły z drzew, wiatr bawił się nagimi gałęziami, a krople deszczu moczyły szare płytki chodnika. Wilgotne powietrze musnęło jej blade policzki, chłód wdarł się pod cienki sweter. Dziewczyna zadrzała z zimna. Westchnęła ciężko i zamknęwszy okno, usiadła na stojącej

opodal ławce. Wyjęła z plecaka zeszyt od matematyki i otworzyła na pierwszej stronie. Próbowwała czytać, ale nie potrafiła się skupić.

„Zaraz sprawdzian z matmy, a ja nic nie umiem – pomyślała, ogarniając wzrokiem korytarz. Jakby szukała ratunku, który nie nadchodził. – Ale beznadzieja”.

Gdy dzwonek zadźwięczał po raz drugi, Kamila z trzaskiem zamknęła zeszyt. Niepotrzebnie go wyjmowała. Podeszła do drzwi najbliższej klasy. Kolana miała jak z waty, wydawało jej się, że za chwilę upadnie, robiąc z siebie pośmiewisko. A tego przecież nie chciała, chociaż utrata przytomności na pewno zwolniłaby ją z obowiązku pisania sprawdzianu.

„Niech stanie się coś, co wybawi mnie z tarapatów” – zaklinała rzeczywistość. Bez skutku. Nauczycielka właśnie wpuszczała uczniów do klasy, pokrzykując na maruderów, żeby się pospieszyli.

Kamila zajęła miejsce w trzeciej ławce pod oknem, oparła łokcie na blacie, ukrywając twarz w dłoniach. Chciała zniknąć. Błede dotąd policzki zaczęły piec niczym ogień, a serce waliło w zastraszającym tempie.

– Proszę wyjąć kartki – powiedziała nauczycielka.

W tym momencie dziewczynie zrobiło się niedobrze. Wstała i zasłaniając ręką usta, wybiegła z klasy. Na szczęście toaleta znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Kamila wyrzuciła z siebie stres i napięcie, narastające w ciągu ostatnich godzin, i odetchnęła z ulgą. Ciężący w żołądku strach ustąpił. Odkręciła kran, przemyła twarz. Chłód wody sprawił, że poczuła się lepiej. Powinna wrócić do klasy, nie miała jednak ochoty na tłumaczenia, a tym bardziej na pisanie sprawdzianu. Pogodziła się już z myślą, że go nie zaliczyła. Zeszła do szatni i ustawiła na kłódce do boksu czterocyfrowy kod; potem usiadła na ławce, ukrywając głowę pomiędzy kurtkami. Jednak nie udało jej się udowodnić dyrektorce, że prowincjuszka też coś potrafi. Żal złapał ją za gardło, łyzy zapiekły pod powiekami; nie mogła ich powstrzymać.

Płakała tak głośno, że nawet nie usłyszała, gdy ktoś do niej podszedł.

– Jezu, co ci się stało?

Drgnęła, unosząc głowę. W drzwiach boksu stał Wojtek. Patrzył na nią karzącym wzrokiem. Ton jego głosu i wyraz twarzy sprawiły, że zebrała się w sobie. Zagryzła wargi, żeby powstrzymać łyzy, otarła twarz wierzchem dłoni.

– Nic mi nie jest – mruknęła. – To zaraz przejdzie.

– Nie chciałaś pisać sprawdzianu? – zapytał surowo. – Wiesz przecież, że ucieczka nie rozwiąże problemu. Wcześniej czy później i tak będziesz musiała

się tego nauczyć.

Kamila znowu poczuła niechciane łzy. By nie robić przedstawienia w szkolnej szatni, z Wojtkiem w roli krytycznej widowni, zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni.

– Wiem, wiem o tym – odparła, tłumiąc szloch. – Idź już sobie pisać ten przeklęty sprawdzian. Zostaw mnie samą.

– Zawiodłem się na tobie – powiedział chłopak przyciszonym głosem, po czym odwróciwszy się na pięcie, zniknął w półmroku szatniowego korytarza.

Jego słowa jeszcze bardziej zdenerwowały Kamilę. Nieposłuszne łzy wymknęły się spod powiek i popłynęły po policzkach.

– Ja też się na sobie zawiodłam – powiedziała półgłosem. Chciała się jakoś usprawiedliwić, chociaż przed sobą. Myślała, że da radę z nauką w warszawskim liceum, że opanuje nawet tę cholerną matkę. I z czasem pewnie by się jej udało, ale nie tak od razu. – Jak mam rozwiązywać te przeklęte równania, skoro nawet nie wiem, od czego zacząć, bo jeszcze tego nie przerabialiśmy?

Czyjeś ramię objęło drgające od szlochu plecy dziewczyny, a ona wtuliła się w życzliwe objęcia, jak małe dziecko szukające schronienia. Spokojny rytm serca i oddechu nieznanego samarytanina udzieliły się Kamili. Łzy obeschły. Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała w twarz... Wojtka.

Siedział obok na ławce. Odsunął się i zabrał rękę, kiedy tylko dziewczyna oderwała skroń od jego piersi.

– Nie trzeba tak płakać – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie. – Wszystko będzie dobrze. Pomogę ci. Nie martw się już.

– Wojtek? – nie mogła uwierzyć. Spodziewała się zobaczyć któregoś z nauczycieli. Myślała, że kolega zwyczajnie doniósł wychowawczyni, że Kamila uciekła ze sprawdzianu. – Skąd się tu wzięłeś? Poszedłeś przecież do klasy...

– No, jak widzisz, nie poszedłem. Słyszałem, co mówiłaś. Dlaczego nigdy nie wspomniałaś, że masz zaległości? Przecież jakoś byśmy ci pomogli.

– Czy kogoś to interesuje?

– Nauczycielkę na przykład.

– Powiedziałyby pewnie, że mogła się tego spodziewać po kimś, kto chodził do prowincjonalnej szkółki. Przerabiałam to już z panią dyrektorem.

– Zawsze możesz przyjść do mnie. Ja nigdy tak nie powiem. I pomogę ci we wszystkim. Rozumiesz? – mówił spokojnym, pewnym głosem, patrząc

dziewczyni prosto w oczy.

Skinęła lekko głową.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek, wieszcząc koniec lekcji.

– Przyniosę nasze rzeczy z klasy – powiedział Wojtek, wstając energicznie.
– Zaczekaj tu na mnie.

Kamila została w szatni sama. Przygładziła włosy, wytarła nos, spróbowała się uśmiechnąć. Wypadło średnio, ale dobre chęci też się liczą.

Wojtek wrócił po kilku minutach, wyraźnie zadowolony. Podał dziewczynie torbę i sięgnął po kurtkę.

– Załatwione – oświadczył. – Dzisiaj o siedemnastej przyjdzie do ciebie Maras i wytłumaczy ci matkę. Nie rozumiem, dlaczego nie poprosiłaś go sama ani czemu on nie wpadł na to, że potrzebujesz pomocy.

– Ma swoje sprawy, nie chcę mu się narzucać.

– I co, lepiej spisywać lekcje? Daj spokój, to głupota. Maras jest najlepszy w klasie. Mnie też nieraz pomagał. No, uszy do góry, wszystko będzie dobrze. Idziemy teraz na spacer, musisz się odprężyć.

Kamila przywołała na usta uśmiech (tym razem całkiem niezłe jej się to udało). Czarne myśli zniknęły jak ręką odjął. Chwilę później w towarzystwie kolegi opuściła szkolne progi.

– Wojtek, czy ty nie będziesz miał przeze mnie problemów? – zapytała.

– A dlaczego miałbym mieć? – zdziwił się.

– Co ze sprawdzianem? Nie mogłeś go pisać, skoro siedziałeś ze mną w szatni...

– Nie martw się. Załatwiłem wszystko. Napiszemy test w przyszłym tygodniu, jak już się wszystkiego nauczysz.

– Dziękuję – szepnęła Kamila. Świadomość, że nie będzie pisała sprawdzianu sama, dodała jej otuchy.

Jakże piękny potrafi być dzień, kiedy widmo testu z matematyki zostało jakoś oswojone. Nawet słońce wychyliło się zza chmur, napełniając serce optymizmem.

Długi spacer po parku i dowcipy opowiadane przez Wojtkę wprowadziły dziewczynę w świetny nastrój.

– Pięknie dzisiaj – powiedziała z uśmiechem od ucha do ucha.

– Masz rację – przyznał chłopak. – Niestety musimy już wracać. No wiesz, robi się chłodno i... matma czeka.

Nawet wizja nauki nie była w stanie zepsuć Kamili humoru. Przestała się

zamartwiać, wiedząc, że nie jest już ze swoim problemem sama.

– Wracajmy – powiedziała pogodnie.

Skręcili z parkowej alejki na chodnik i szybkim krokiem skierowali się ku domowi. Mało rozmawiali, woleli podziwiać jesienny krajobraz, malowany ciepłymi barwami i łagodnymi promieniami październikowego słońca.

Wojtek schylał się co jakiś czas, by podnieść żółty lub czerwony liść. Każdy dokładnie oglądał. Brzydkie, pomarszczone lub zeschnięte wyrzucał. Z pozostałych ułożył bukiet i wręczył go Kamili, gdy znaleźli się przed furką jej domu.

– To na przeprosiny – powiedział.

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie. Nigdy jeszcze nie dostała tak oryginalnego bukietu. Tomek często przynosił jej zerwane na polu czy łące kwiaty. Nieraz ogołocił ogród mamy albo sąsiadki, aby obdarować Kamilę pierwszymi tulipanami czy pachnącymi różami, ale jego wiązanki bardziej przypominały wiecheć niż gustowną i ze smakiem dobraną kompozycję. Pewnie nawet nie potrafiłby jej zrobić.

– Dziękuję – szepnęła Kamila, rumieniąc się. – I... nie masz za co przeproszać.

– Zrobiłem ci przykrość. Bardzo niesprawiedliwie cię oceniłem. Płakałaś i...

– Nic złego się przecież nie stało. Pomogłeś mi wybrnąć z naprawdę trudnej sytuacji.

– No wiesz, jestem gospodarzem klasy, to mój obowiązek. Weź jeszcze ten kasztan. To na szczęście i poprawę humoru. Lubię, kiedy się śmiejesz.

Kamila opuściła głowę, kryjąc rozczarowanie. Myślała, że Wojtek pomógł jej dlatego, że ją lubi. Błąd! Zrobił to z obowiązku.

Chciała cisnąć kasztanem za odchodzącym chłopakiem, rozmyśliła się jednak. Schowała go do kieszeni, żeby przypominał, że ludzie rzadko są tacy, jak się wydaje.

3.

Pukanie deszczu w okno wyrwało Kamilę ze snu. Przetarła oczy i, przesyta chłodnym dreszczem, naciągnęła kołdrę na głowę. Dżdżysty, szary poranek nie nastrajał optymistycznie. Dziewczyna nie miała ochoty wychodzić z ciepłego łóżka, a tym bardziej iść do szkoły. Z natury była nieśmiała i trudno nawiązywała znajomości, a koledzy z klasy nie ułatwiali jej zadania. Wręcz

przeciwnie, robili wszystko, aby czuła się obco.

„Jakby to było miło znaleźć chociaż jedną przyjaciółkę, która czekałaby na mnie pod drzwiami szkoły i zawsze miała coś ciekawego do powiedzenia” – pomyślała Kamila. Zateęskniła za domem, przyjaciółmi ze Smolca, znanymi od lat, za Tomkiem. Zaprażyła usłyszeć jego głos. Sięgnęła po komórkę i wybrała numer.

– Halo?

– Cześć, to ja.

– Kama? – zdziwił się Tomek. – Wiesz, która godzina?

– Szósta.

– Właśnie! Spać nie możesz?

Sentymentalny nastrój ustąpił miejsca niechęci i złości. Nawet nie odpowiedziała, zwyczajnie przerwała połączenie. Z trudem powstrzymując napływające do oczu łzy, zakryła głowę kołdrą. Wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie takiej odprawy, nie od Tomka. Zaciśnęła powieki, próbując zasnąć. Z odrętwienia wyrwał ją stojący na nocnej szafce budzik, który głośnym „pik, pik” obwieścił, że czas wstawać.

Pierwszą lekcją tego dnia była matematyka. Marek dołożył wszelkich starań, żeby Kamila nadrobiła zaległości, ale umysłu typowo humanistycznego nie da się przekształcić w ścisły. Dlatego dziewczyna nie kryła radości, gdy dowiedziała się, że profesor Jabłońska zachorowała i matematyki nie będzie.

Na zastępstwo przyszedł młody nauczyciel, z którym klasa II d nie miała wcześniej zajęć. Nie podjął się poprowadzenia lekcji matematyki, ponieważ, jak sam stwierdził, jest to przedmiot zbyt skomplikowany dla takiego laika jak on. Pozwolił uczniom zdecydować, jak spędzą wolną lekcję. zaproponował wykład z historii Polski albo gry słowne. Oczywiście wybrano zabawę. W klasie zapanował gwar i bałagan, charakterystyczny dla swobodnych lekcji. Kamila nie miała ochoty włączać się w zabawę, zresztą nikt tego nie oczekiwał. Pochyliła głowę nad pamiętnikiem, wylewając na kartkę żal do Tomka oraz ogólne jesienne zniechęcenie. Przyniosło jej to ulgę. Gdy zadzwieczał dzwonek, uśmiechnąwszy się do zalanej deszczem szyby, z trzaskiem zamknęła zeszyt. Odsunęła krzesło i energicznym krokiem opuściła klasę. Doskonale wiedziała, że Tomek był śpiochem. Nic dziwnego, że nie tryskał radością, kiedy obudziła go z samego rana. Na pewno jeszcze dziś

zadzwoń, żeby przeprosić.

Tymczasem do ławki, przy której siedziała Kamila, podszedł jeden z chłopców, Maciek. Jego zainteresowanie wzbudził leżący na blacie zeszyt w żółtej okładce. Początkowo tylko przerzucał kartki, obojętnym spojrzeniem przebiegając po literach. Po chwili jednak zagłębił się w lekturze, a na jego usta wypłynął ironiczny uśmiech.

– On wziął zeszyt Kamili – powiedział Marek, szturchając Wojtka w bok. – Chyba nie powinien go przeglądać, bo...

– To zwróć mu uwagę – poradził Wojtek, nie odrywając wzroku od czytanej książki.

– Hej! Przecież dobrze wiesz, że Maciek mi tego zeszytu nie odda. Tylko zrobi się wielka afera. A ja mam dziwne przeczucie, że on nie powinien tego czytać. Zobacz, jak się uśmiecha!

– Przeczucia to twoja specjalność. – Wojtek wykrzywił usta w kpiącym grymasie. – Czy wydaje ci się, że w taki sposób obronisz swoją kobietę przed bandziorami?

– Kamila nie jest... – Marek uderzył pięścią w stolik. – Co to za brednie w ogóle, co?! Zrobisz coś czy nie?

Drwiący uśmiech na twarzy przyjaciela jeszcze bardziej rozżłościł Marka, ale najważniejsze było to, że Wojtek wstał i podszedłszy do Maćka, złapał go za ramię.

– Ciekawe? – zapytał, udając zainteresowanie. – A właścicielka zeszytu wie, że go wzięłeś?

– To nie twoja sprawa – burknął Maciek. – Zresztą sam poczytaj. Znajdziesz tu bardzo interesujące rzeczy. O, zobacz, tutaj napisała coś o tobie...

Wojtek wyjął pamiętnik z dłoni Maćka i odłożył go na ławkę, chociaż był bardzo ciekaw, co Kamila o nim myśli.

– Mama cię nie uczyła, że nie wolno brać cudzych rzeczy? – zapytał.

– Czego się czepiasz? – zdziwił się Maciek. – To przecież tylko pamiętnik jakiejś wsiowej sierotki, którą ciotka wzięła do siebie z łaski, bo inaczej wylądowałaby w bidulu, marząc o swoim Tomeczku, który...

Chłopak zamierzał dodać coś jeszcze, ale Wojtek mu nie pozwolił. Pogardliwy ton i drwiący uśmiech Maćka sprawiły, że ogarnęła go furia. Uderzył kolegę w twarz prawą ręką, a lewą chwycił za bluzę na piersiach.

– Nikt nie będzie obrażał kobiet w mojej obecności – wycedził przez

zaciśnięte zęby. – Nie waż się nigdy więcej wypowiadać na tematy, o których nie masz bladego pojęcia. Zrozumiano?

– Co się stało? – Kamila podeszła do swojej ławki. – Dlaczego się bijecie? Co to ma znaczyć?

Wojtek natychmiast puścił bluzę kolegi, wyprostował się i odchrząknął, groźnie spoglądając na Maćka.

– Wszystko w porządku – powiedział, siłąc się na spokój. – To była tylko dynamiczna wymiana poglądów. – Położył nacisk na trzy ostatnie słowa.

Maciek milczał; fuknął tylko ze złością i odmaszerował na swoje miejsce w drugim końcu klasy.

– Dzięki, stary – szepnął Marek, gdy Wojtek usiadł obok niego. – Dobra robota. Pokazałeś temu dupkowi, gdzie jego miejsce.

– Osioł jesteś – mruknął niechętnie Wojtek. – W taki sposób nigdy jej nie zdobędziesz.

– Co? – zdziwił się.

– Widzę przecież, jak na nią patrzysz.

– Ale...

– Nie wypieraj się. Fajna dziewczyna, nie masz powodu do wstydu. Tylko... jest słaba i delikatna, musisz zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa. W przeciwnym razie nic nie osiągniesz.

– Wojtek, no! – Marek był wzburzony i zażenowany; przyjaciel bezbłędnie go rozszyfrował, co gorsza mówił o jego uczuciach do Kamili z taką... swobodą, wręcz z nonszalancją!

Kamila stanęła w drzwiach szatni, uniemożliwiając Wojtkowi opuszczenie boksu. Oparła dłonie na biodrach, uniosła głowę i spojrzała chłopakowi w oczy. Kasztanowy kolor tęczówek ponownie przywołał wspomnienie tajemniczego spotkania w lesie. Odsunęła je szybko. Musiała być stanowcza, a sentymentalizm zdecydowanie temu nie służył.

– Powiesz mi, co miała znaczyć ta akcja z Maćkiem? – zapytała groźnym tonem.

– Przecież już ci wyjaśniłem – odparł spokojnie.

– Nie lubię kłamców.

– Ja też nie. Idziesz do domu?

– Nie zmieniaj tematu – warknęła. – Czego szukaliście w moich rzeczach?

– Zginęło ci coś?

– Tak, telefon.

– I myślisz, że ja go wziąłem? – Oczy Wojtka zapłonęły gniewem, ale głos wciąż był spokojny. Jeszcze nigdy nie posądzono go o kradzież. Kamila zdecydowanie za dużo sobie pozwalała. – A niby po co mi taki rupieć? Doprawdy uważasz, że posiadasz coś, czego mógłbym chcieć? Jesteś śmieszna. – Odsunął dziewczynę na bok i opuścił szatnię.

Kamila zagryzła wargi, powstrzymując łzy. Zaginięcie telefonu oznaczało brak kontaktu z Tomkiem. Teraz jednak bardziej zabolęły ją słowa i ton Wojtka. Może niepotrzebnie postawiła sprawę na ostrzu noża, ale zniknięcie komórki na pewno miało związek z bójką przy jej ławce. Na wolnej lekcji pisała przecież esemesa do Tomka, a później nie widziała już telefonu.

Drżącymi rękami założyła kurtkę, wzięła plecak i niespiesznym krokiem podążyła do Jagódki. Nie miała ochoty wracać do pustego domu, a ciocia zapowiedziała, że zostanie w kawiarni do późna.

Uśmiechnęła się dopiero wtedy, gdy przy jednym ze stolików zobaczyła Piotra.

– Witaj, dziewczę o pięknych oczach – powiedział, wskazując jej krzesło obok siebie. – A dlaczego nie odbierasz telefonu?

– Bo ktoś mi go buchnął – mruknęła niechętnie.

– Takiego grata?

– Tak, takiego grata – powiedziała głośniej, niż należało. – Zresztą jakie to ma znaczenie?

– Spokojnie, to tylko telefon. Po co się złościysz? Dziewczętom z twarzami aniołów nie wypada krzyczeć.

– Mam w nosie, co mi wypada, a co nie.

– Na chandrę najlepsza czekolada i dobre wiadomości. Sernik z bitą śmietaną i gorącą czekoladę dla pani poproszę, a dla mnie jeszcze jedną kawę – rzucił w stronę kelnerki. – Przyszedłem do ciebie z pewną propozycją. Ale najpierw powiedz, jak ci się podobało w teatrze.

– Przeżyłam wspaniałą przygodę – odparła Kamila, z miejsca zapominając o niemiłym incydencie w szkole. – Przez chwilę czułam się jak gwiazda.

– I byłaś gwiazdą, dziewczę o pięknych oczach. Nie mówiłem ci o tym wcześniej, bo bałem się, że sprawa nie wypali. Wzięłaś udział w castingu i bardzo się spodobałaś dyrektorowi teatru. Chciałbym, żebyś zagrała w moim spektaklu. Co ty na to?

Kamila patrzyła niedowierzająco na Piotra. O czym on właściwie mówił? Jaki casting? Rola w spektaklu? To chyba jakiś żart!

– Piotrze, widzę, że kpisz sobie ze mnie w sposób jawny i bezceremonialny. A ja uważałam cię za sympatycznego człowieka.

– Nie jestem aż tak okrutny. Proponuję ci rolę Klary w *Zemście*. Walczyło o nią ponad dwadzieścia dziewcząt, a dyrektor wybrał ciebie. Uważam, że słusznie. Jesteś najzdolniejsza.

– Ty mówisz poważnie? Dzięki, Sylwus. – Uśmiechnęła się do kelnerki, która postawiła przed nią talerzyk z ciastkiem i kubek z gorącą czekoladą.

– Jak najbardziej poważnie, dziewczę o pięknych oczach. – Wsywał cukier do filiżanki. – To jak będzie?

– No nie wiem – zawahała się. – Myślisz, że dam radę?

– Myślę, że tak.

Kamila jadła sernik, zastanawiając się. Nie potrafiła samodzielnie podjąć tak trudnej decyzji. W końcu przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Będziesz musiał porozmawiać na ten temat z moją ciocią – oświadczyła, odkładając łyżeczkę.

– Z ciocią, mówisz? – Piotr zmieszał się nieco. – A właściwie dlaczego nie z szanowną mamusią albo tatusiem?

– Bo nie żyją.

Piotr chrząknął i żeby ukryć zmieszanie, skupił wzrok na pustej już filiżance.

– Przepraszam – powiedział lekko zachrypniętym głosem. Nie czuł się najlepiej w roli osoby dotykającej bolesnych ran. – Dobrze, umów mnie, proszę, ze swoją ciocią. Bardzo chętnie z nią rozmawiam. Czego się nie robi dla sztuki.

– Zaczekaj chwilę.

Kamila zebrała brudne naczynia i obdarzywszy przyjaciela uśmiechem, podążyła do kuchni, żeby zapytać, czy Maria jest u siebie.

Tymczasem Piotr, oparłszy łokcie o blat stolika, przetarł twarz dłońmi. Od dziecka miał alergię na ciotki. Nie znosił kobiet, które nosiły to miano. Sam miał kiedyś trzy ciotki. Były stare, zgryźliwe, marudne i nie dało się z nimi rozmawiać.

– Piotrze, to jest moja ciocia – usłyszał głos Kamili.

Reżyser wstał, próbując uprzejmie się uśmiechnąć.

– Nazywam się Maria Górską – przedstawiła się stojąca obok Kamili

szczupła, niewysoka kobieta o ciemnych włosach, zgrabnej sylwetce i sympatycznym wyrazie twarzy.

– Piotr Komorowski. – Mężczyzna ujął podaną sobie rękę i musnął ją wargami. – Jest mi niezmiernie miło panią poznać, ale chyba zaszło jakieś nieporozumienie. Kamila mówiła, że powinienem porozmawiać z jej ciotką, a pani nią być nie może. Sądząc z podobieństwa rysów twarzy oraz urokliwego spojrzenia, mam zapewne do czynienia z siostrą wyżej wymienionej osobki.

– Bardzo pan uprzejmy, ale o żadnej pomyłce nie ma mowy. Jestem ciotką Kamili i jej prawną opiekunką. – Mówiła bezosobowym głosem, ale na jej policzkach zakwitł nieśmiały rumieniec, a w oczach błysnęły wesołe iskierki.

– Usiądźmy może i spokojnie porozmawiajmy – zaproponował Piotr.

– Tak, byłabym panu wdzięczna, gdybyśmy od razu przeszli do meritum sprawy – powiedziała Maria rzeczowym tonem, zajmując miejsce za stolikiem. – Czy któraś z moich kelnerek pana obraziła? A może chce pan złożyć reklamację?

– Skądże znowu! – Piotr usiadł na swoim krześle i poszukał wzrokiem Kamili. Miał nadzieję, że przyjdzie mu z pomocą. Ona jednak stała z boku, tylko przysłuchując się rozmowie. – To jest naprawdę bardzo miła kawiarenka. Przyszedłem tu w zupełnie innej sprawie.

– Słucham pana.

– Jestem reżyserem. Pracuję w Teatrze Rozmaitości, a Kamila kilka tygodni temu wzięła udział w przesłuchaniu do roli Klary. Uznaliśmy, że to bardzo uzdolniona dziewczyna. Chciałem jej zaproponować, właściwie już zaproponowałem, rolę w spektaklu, który wkrótce zacznę reżyserować. Czy nie ma pani nic przeciwko temu?

– W spektaklu? Przecież ona ma szkołę!

– To nie powinno stanowić problemu. Angażowaliśmy już uczennice. Próby będą się odbywać w dogodnych dla Kamili godzinach, dwa, góra trzy razy w tygodniu.

– Rozumiem, że sprawa zatrudnienia zostanie załatwiona w sposób formalny?

– Oczywiście! Pracuję w państwowym teatrze. Nie angażujemy ludzi na czarno. Podpiszemy umowę i Kamila będzie dostawała wynagrodzenie.

– W takim razie nie widzę żadnych przeciwwskazań – powiedziała Maria. – Kamuś, a co ty tak stoisz? Co o tym myślisz?

– Cóż, chciałabym spróbować... – odparła. Już miała usiąść obok ciotki, kiedy w drzwiach kawiarni ujrzała Wojtkę. – Przepraszam na chwilę.

Podeszła do kolegi, który właśnie zajął miejsce przy stoliku za filarem i wydobył z plecaka książkę. Wiedziała, że postąpiła głupio, posądzając chłopaka o kradzież. Chciała mu wszystko wyjaśnić.

– Tosty z serem i gorącą herbatę poproszę.

– Wojtek – szepnęła nieśmiało. – Ja...

– Podasz mi to, o co proszę? – zapytał ostrym głosem, rzucając koleżance zagniewane spojrzenie i wykonując gwałtowny ruch ręką, jakby opędzał się od muchy. Mogła nawet odnieść wrażenie, że chciał ją uderzyć. Poniewczasie zorientował się w niestosowności swojego gestu. Nim zdążył załagodzić sytuację, dziewczyna odwróciła się na pięcie i niemal biegiem pokonała odległość dzielącą ją od drzwi kawiarni.

Piotr tymczasem przyglądał się badawczo siedzącej naprzeciwko Marii.

„Bardzo sympatyczna ta ciocia Kamili – pomyślał. – I ładna. Nigdy w życiu nie spotkałem kobiety o tak subtelnym rysach twarzy, a wszak wiele kobiet w życiu poznałem”.

– Muszę się pani przyznać, że jestem mile zaskoczony naszą rozmową – powiedział. – Spodziewałem się trudnej przeprawy i planowałem już nawet ucieczkę.

– A to dlaczego? – zdziwiła się Maria.

– Widzi pani, wszystkie ciotki, z którymi dotąd rozmawiałem, były stare, zrędlive i ponure. Nigdy nie potrafiłem przekonać ich do swoich racji. A pani spokojnie mnie wysłuchała, zrozumiała i nie odeszła z kwitkiem.

– Bo ma pan dużą siłę perswazji. – Wesołe iskierki w oczach Marii sprawiły, że Piotr również się uśmiechnął. – Miło się z panem rozmawia, ale muszę wracać do pracy.

– Spotkamy się zatem jutro w sekretariacie teatru w celu podpisania umowy?

– Tak, chcę wszystkiego dopilnować. Do widzenia.

– Mila?

Kamila siedziała na ławce, należącej do ogródka Jagódki. W czas jesiennych chłódów nikt tam już nie zaglądał. Wyniesiono stoliki i krzesła, zostały tylko dwie wmurowane w chodnik ławki.

– Mila!

Nawet się nie poruszyła. Bo przecież nie tak miała na imię, nie ją wołano. Poza tym właśnie usiadła w wygodnej pozycji, z kolanami pod brodą i rękami ukrytymi pomiędzy udami a brzuchem.

– Mila...

Ktoś pokonał dwa stopnie, prowadzące z chodnika do kawiarnianego ogródka i stanął obok skulonej z zimna dziewczyny. Przestraszyła się. Było już za późno na ucieczkę. Uniosła tylko głowę, żeby sprawdzić, kim jest napastnik. Niemal jęknęła, kiedy ujrzała demonicznie bladą w blasku latarni twarz Wojtka.

– Co tu robisz? – zapytał chłopak.

– Czekam – odparła, szczękając zębami.

– Na co czekasz? Okryj się tym. – Szeleszczący materiał otulił plecy i ramiona dziewczyny. – Co się stało?

– Nic.

– Właśnie widzę. Gdzie masz kurtkę?

– W kawiarni.

– Idziemy po nią.

– Zostaw mnie.

Wojtek przykucnął naprzeciwko dziewczyny i szczelniej owinął ją swoją kurtką.

– Ja pójdę, a ty tutaj zaczekasz – powiedział łagodnie. Zupełnie jakby tłumaczył coś dziecku. – Dobrze?

Skinęła lekko głową. Dopiero teraz, kiedy zaczynało jej się robić ciepłej, poczuła, jak bardzo zmarzła. Dlaczego dzisiaj było tak okropnie zimno? I dlaczego na każdym kroku musiała się natykać na Wojtka? Przecież to właśnie przed nim uciekła. Czekała, aż wyjdzie z Jagódki, żeby wrócić po swoje rzeczy. Nie przewidziała, że chłopak ją tutaj wypatrzy.

– Szlag by to trafił – mruknęła, stawiając na ziemi zdrętwiałe stopy. Palce miała sztywne z zimna. Okryła się kurtką chłopaka, zasłaniając pół twarzy. Chciwie wdychała zapach jego wody toaletowej, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że ten aromat ją rozgrzewa.

– Już jestem. – Wojtek położył na ławce plecak Kamili i odebrał jej swoją kurtkę. – Tę załóż. – Pomógł jej się ubrać, zapiął suwak aż pod brodę, opatulił szyję apaszką i nasunął kaptur na głowę. – Idziemy – zarządził, biorąc dziewczynę za łokieć. – A co do telefonu... Nie wziąłem go.

– Wiem, przepraszam. – Szybki marsz sprawił, że Kamil zrobiło się cieplej i jej głos przestał drżeć. – Głupio wyszło i...

– Nie myśl już o tym – przerwał jej tłumaczenia. – Jeśli chcesz, jutro pójdziemy do sklepu i kupimy nowy.

– Nie jesteś na mnie zły?

– No trochę jestem – odparł spokojnie. – Bo kto to słyszał, żeby siedzieć bez kurtki w taki ziąb? A teraz do domu – powiedział stanowczo, gdyż właśnie przystanęli przed furką. – Pijesz gorącą herbatę z miodem i cytryną, a potem do łóżka. Chyba że chcesz mnie naprawdę rozzłościć.

Doskonale wiedział, że dziewczyna opuściła kawiarnię po tym, jak na nią warknął. Był wściekły, że posądziła go o kradzież; jakby tego było mało, miał problemy w domu. Złość eksplodowała w najmniej odpowiednim momencie. Niepotrzebnie. Kamila w niczym nie zawiniła. Trzeba jej wszystko wyjaśnić, ale teraz najważniejsze, żeby się nie rozchorowała. Na rozmowę mają czas.

Rozdział IV. Święta w Warszawie

*Pociecha jest niczym bliska, przyjazna twarz.
To obecność kogoś, kto rozumie twoje łzy,
przysłuchuje się twojemu utrudzonemu sercu,
w smutku i nieszczęściu pozostaje przy tobie
i pomaga dojrzeć parę gwiazd.*

Phil Bosmans

1.

Płatki śniegu sypały się leniwie z nawisłych chmur i bezszelestnie opadały na warszawskie ulice, okrywając je białą pierzyną. Idąca do szkoły Kamila pozwalała im przyklejać się do rękawiczek. Zawsze lubiła obserwować kształty śnieżynek.

„Dziwne... – pomyślała. – W Smolcu nawet śniegowe gwiazdki wyglądały inaczej niż tutaj. Te, które oglądałam z rodzicami, były wyraźne, skrzyły się pięknie, a ja wierzyłam, że na ziemię spadają prawdziwe gwiazdki z nieba. Warszawskie płatki śniegu są jakieś rozmyte, wodniste, niekształtne. Może dlatego, że nikt ich nie podziwia, i topią się ze smutku...”

W szkole nikt się nie przejął tak doniosłym wydarzeniem jak pojawienie się pierwszego tej zimy śniegu. Wszyscy byli zajęci sprawą mikołajek, które przypadały nazajutrz. Uczniowie głośno opowiadali o tym, co kupili swoim sympatiom, jakich prezentów sami oczekują, oraz obmyślali argumenty, które skutecznie przekonałyby nauczycieli do luźniejszych lekcji.

Kamila nie brała udziału w tych rozmowach. Nie miała nic do powiedzenia. Uważała, że nadmiar słów pozbawia mikołajki magii. Bo cóż to za niespodzianka, gdy z góry wiadomo, co będzie czekało w bucie czy pod poduszką? Żadna. Zresztą i tak zawsze większą radość sprawiało jej dawanie. I dlatego kilka dni temu kupiła cioci małą, ale gustowną broszkę z brązowożłoty, przezroczystych kamyków. Kiedy zobaczyła ją na wystawie, pomyślała, że będzie ślicznie wyglądać przy żakiecie albo płaszczu, ładnie komponując się z zielenią oczu Marii. Tomkowi nic nie kupiła – bo jak dostarczyłaby prezent na czas? Owszem, mogła skorzystać z usług poczty, tylko

wtedy nie miałyby wpływu na dzień doręczenia przesyłki. Zresztą kto to słyszał, żeby mikołajkowe upominki przynosił listonosz? No chyba że przebrałby się za świętego Mikołaja...

Kamila i jej chłopak mieli swój sposób wręczania podarunków. Zwykle niepostrzeżenie wsuwali je sobie do kieszeni kurtek. Nie były to drogie rzeczy. Lizak i karteczka z życzeniami, kolorowy, pomysłowo zapakowany długopis, figurka ceramiczna, maskotka, zrobiony na drutach szalik. Drobiazgi, ale jakże miłe. W Warszawie ludzie myśleli inaczej. Wszystko musiało przedstawiać materialną wartość. Pamięć o drugiej osobie mierzyło się pieniędzmi.

Tego dnia również w teatrze panowało ogromne zamieszanie. Zamiast próby odbyła się przymiarka kostiumów. Piotr oglądał każdego z aktorów w jego scenicznym ubraniu i dawał krawcowej wskazówki. Kamila czuła się jak manekin. Obracano ją na wszystkie strony, podpinano szpilkami fałdy materiału, powiększano dekolty, wydłużano spódnicę. Nie zapytano nawet, czy spodobał jej się strój Klary. Reżyser uparł się, że suknia ma być jasnoniebieska i nie zważał na protesty dziewczyny, która wolałaby założyć coś ciemniejszego.

– Młode panienki nie powinny nosić czarnych ciuchów – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Na ulicy możesz sobie chodzić, w czym chcesz, ale tutaj decyduje ja.

W teatrze Piotr zmieniał się w despotę i rzadko słuchał argumentów innych osób. Czasem zgadzał się ze zdaniem asystenta, czasem brał pod uwagę sugestie scenarzysty, ale przeważnie kierował się własnym instynktem.

Kamila z westchnieniem ulgi powitała chwilę, w której mogła w końcu zamknąć się w swoim pokoju i pochylić głowę nad książką.

Następnego dnia obudziła się bardzo wcześnie. Obok poduszki leżała zapakowana w kolorowy papier niespodzianka.

„Zupełnie jak w domu” – pomyślała i wytarła spływającą po policzku łzę. Niecierpliwie odpakowała podarunek. Dostała szarą czapkę z pomponem, najmodniejszy fason. Dokładnie taką, jakie nosiły jej koleżanki z klasy. Od dawna o podobnej marzyła, ale nie miała czasu wybrać się na zakupy.

Energicznym ruchem odrzuciła kołdrę i pospieszyła do kuchni, żeby podziękować cioci za wspaniałe upominek. Maria wyszła już jednak do pracy. Na stole stał talerz z kanapkami.

Kamila nie lubiła samotnych poranków, poprzedzających samotną wyprawę do szkoły. Jakoś nie mogła się do nich przyzwyczaić. Czym prędzej

zjadła śniadanie i wybiegła z domu. Dzień był szary i mglisty, ale, o dziwo, ludzie częściej się uśmiechali.

W szkole również rozbrzmiewał radosny gwar, związany z wręczaniem prezentów. Tylko jedna osoba stała z boku, przy oknie i bezmyślnie spoglądała za szybę: Marek. Kamilę od razu zaniepokoiło coś w jego postawie. Przecież zawsze był uśmiechnięty, serdeczny, otoczony kolegami, którzy chcieli pożyczyć zeszyt od matmy albo posłuchać zabawnej historyjki. Dziś samotnie wyglądał przez szkolne okno i zdawał się nikogo nie dostrzegać.

– Cześć – powiedziała Kamila, kładąc rękę na ramieniu kolegi. – Co ty taki ponury? Chyba nie chcesz się upodobnić do świata za oknem?

– Nie jestem ponury, tylko smutny – mruknął chłopak. – Mnie już chyba nikt nie potrzebuje.

– Co ty mówisz? Przecież połowa klasy bez twojej pomocy miałaby problemy z matmą i chemią, o fizyce już nawet nie wspomnę.

– Potrzebuję mojej wiedzy, a nie mnie. Gdyby Wojtek był dobry z matematyki, nikt by mnie nie zauważał. No chyba żeby się ze mnie pośmiać. Zobacz, jaki jestem tłuściutki! – Wziął w dwa palce fałdki na brzuchu. – A jak biegnę, to wszystko mi się trzęsie.

– Co cię napadło? – zdziwiła się Kamila.

– Kiedy to prawda!

– Marek, natychmiast mi powiedz, co się stało.

– Mam dzisiaj urodziny – wyznał. – Nikt o tym nie pamięta. Wszyscy zawsze świętują mikołajki, a o mnie zapominają.

– Oj, nie rozczulaj się tak. Ja o tobie pamiętam i przyszłam dziś wcześniej, żeby ci złożyć życzenia. Oby spełniły się wszystkie twoje marzenia, żebyś zawsze był szczęśliwy, uśmiechnięty i żeby w twoim życiu nigdy nie zabrakło prawdziwych przyjaciół. Proszę, to dla ciebie.

Podarła koledze czekoladę z nadzieniem toffi, którą kupiła w drodze do szkoły. Miała jej zastąpić drugie śniadanie. Trudno, będzie musiała się zadowolić jabłkiem. Oczywiście nie pamiętała o urodzinach Marka. Właściwie nie miała pojęcia, że je świętował szóstego grudnia. Skłamała, żeby mu poprawić humor.

– Dziękuję – powiedział chłopak, cmokając Kamilę w policzek. – Dobrze, że jesteś.

W tej chwili zadźwięczał dzwonek, wybawiając dziewczynę z dalszego brnięcia w kłamstwa.

2.

Dni mijały szybko, a właściwie zlewały się z zapadającymi wcześniej wieczorami, tworząc monotonną, wypełnioną pracą szarość codzienności. W szkole nauczyciele zapowiadali sprawdziany i odpytywali niemal na każdej lekcji. W teatrze również panowała nerwowa atmosfera. Premierę *Zemsty* zaplanowano na dwudziestego szóstego grudnia, a Piotr wciąż coś zmieniał w strojach i układzie scen. Niemal bez przerwy straszył aktorów próbą generalną, do której ponoć byli kompletnie nieprzygotowani. Tylko kolorowe lampki, zdobiące sklepowe wystawy, przypominały, że zbliża się czas Bożego Narodzenia, czas miłości i nadziei.

Tego popołudnia aktorzy pracowali nad sceną zaślubin Klary i Wacława.

– Źle, znowu nie tak! – wołał Piotr zniecierpliwionym głosem. – Skupcie się i przestańcie partaczyć mi sztukę!

Sceniczny Wacław, jako że na nim skoncentrowało się żądło reżyserskiego niezadowolenia, nie wytrzymał w końcu ciężaru krytyki.

– Gramy to już tyle razy, że wszystko mi się zaczyna mylić – oświadczył, nie kryjąc rozdrażnienia.

– Masz rację – odparł Piotr. – Tyle razy powtarzamy to samo, a ty wciąż nie nauczyłeś się kilku prostych zdań. Dlatego wszyscy muszą ćwiczyć w nieskończoność, a chętnie poszliby do domu. Jeszcze raz proszę. Tylko tym razem bezbłędnie.

Reżyser był złośliwy. Zachowywał się tak, jakby miał pretensje do całego świata o to, że musi pracować z ludźmi słabymi i popełniającymi błędy.

Kamila nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Piotr ma jakiś problem.

– Znajdziesz dla mnie chwilę? – zapytała nieśmiało, gdy skończyli próbę.

– Oczywiście, dziewczę o pięknych oczach – odpowiedział. – Zapraszam cię na herbatę do Jagódki. Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

W przytulnej kawiarnianej sali reżyser wyraźnie się ożywił. Zamówił herbatę, ciasto, zagadnął do kelnerki, opowiedział kilka dowcipów. Kamila podejrzewała jednak, że mężczyzna próbuje ją zagadać, pokryć problem uśmiechem i błyskotliwą retoryką. Wykorzystała chwilę, gdy włożył do ust kawałek ciasta i zamilkł na chwilę.

– Zachowywałaś się dzisiaj okropnie – powiedziała. – Czy my naprawdę gramy tak beznadziejnie?

– Chwilami jesteście wręcz fantastyczni – odparł Piotr, popijając ciastko

herbatą. – Myślę, że nasza sztuka odniesie wielki sukces. A wiesz...

Chciał zmienić temat, ale dziewczyna mu na to nie pozwoliła.

– To dlaczego wciąż jesteś niezadowolony i krzyczysz?

– Nie ma to nic wspólnego z waszą grą. Po prostu nie lubię tej przedświątecznej gorączki. Wszyscy kupują prezenty, na sklepowych wystawach mrugają kolorowe lampki... Nienawidzę świąt!

– Ale dlaczego? – dopytywała się.

Ona zawsze z niecierpliwością czekała na Wigilię. Lubiła śpiewać kolędy, ubierać choinkę, wychodzić na podwórze i wypatrywać pierwszej gwiazdki, a tuż przed północą ubierać się na pasterkę. Tegoroczne święta nie będą dla niej tak radosne jak zawsze. Spędzi je bez rodziców, z daleka od przyjaciół, w wielkiej, obcej Warszawie. Cieszyła się jednak, że będzie z cicią, że podzieli się opłatkiem, że zaśpiewają kolędę... Jak można nie lubić Bożego Narodzenia?

– Nieważne – mruknął Piotr.

– Dlaczego? Jak można nie lubić świąt?

– Widzisz – szepnął Piotr – moje święta co roku wyglądają identycznie. Nakrywam stół dla dwóch osób, z nadzieją, że przybłąka się jakiś samotny wędrowiec. Później patrzę w okno, czekając na pierwszą gwiazdkę. Gdy już ją wypatrzę, sam ze sobą przełamuję się opłatkiem, życząc sobie, żebym w przyszłym roku już nie był sam. I co roku jestem. Stary kawaler, bez przydziału na szczęście. Moim domem jest teatr, rodziną – aktorzy.

– Czas to zmienić – oświadczyła stanowczo Kamila. – Nie będziesz sam w te święta. Przyjdiesz do nas.

– Przepraszam, ale nie mogę...

– Możesz, możesz – zapewniła. – Nikt nie powinien samotnie spędzać Wigilii. Ja ci na to nie pozwolę.

Wzruszony Piotr nie odpowiedział. Zdobył się jedynie na uściśnięcie drobnej ręki dziewczyny.

Kamila siedziała w swoim pokoju, bezmyślnie patrząc w mrok za oknem. Była na siebie wściekła. Jak mogła postąpić tak nieodpowiedzialnie i zaprosić Piotra na kolację wigilijną bez konsultacji z cicią? Sama przecież była gościem. Co innego w Smolcu. Tam mogła przyjmować, kogo chciała. Tam był jej dom. A tutaj? Maria mogła nie życzyć sobie obcych na świątecznej kolacji.

Z drugiej strony nie chciała, żeby Piotr był sam w Boże Narodzenie. Nie miała innego wyjścia. Musiała powiedzieć o wszystkim ciotce i liczyć się z jej niezadowoleniem.

– Możemy porozmawiać? – zapytała niepewnie, wsuwając głowę do pokoju ciotki.

– Oczywiście, wejdz. – Maria odłożyła na bok czytaną książkę. – Siadaj. – Poklepała wersalkę. – Co się stało?

– Jestem nieodpowiedzialna i dziecinna – bąknęła cichutko Kamila.

– Tego bym raczej o tobie nie powiedziała. O co chodzi?

Kamila wzięła głęboki oddech.

– Zaprosiłam Piotra na Wigilię – wyznała, patrząc w dywan. – Wiem, że to dla ciebie obcy człowiek, ale mój przyjaciel i... nie chcę, żeby był sam.

– To nazywasz zachowaniem nieodpowiedzialnym i dziecinnym? – zdziwiła się Maria. – Uważam, że postąpiłaś w jedyny właściwy sposób.

– Nie jesteś zła?

– Tu jest twój dom. Możesz zapraszać, kogo chcesz. Jasne?

– Dziękuję.

3.

Pod koniec grudnia poczta miała sporo obowiązków. Listonosz zamiast rachunków roznosił świąteczne kartki. W domu Kamili był niemal codziennym gościem. Dziewczyna dostawała barwne pocztówki z bożonarodzeniowymi życzeniami, ciepłe listy i wzruszające drobiazgi od przyjaciół ze Smolca. Przyszły nawet oficjalne pozdrowienia od dyrekcji i nauczycieli z jej dawnego liceum.

Zapomniał tylko Tomek. Nie odbierał telefonu, nie odpisywał na maile, miał wyłączony komunikator. Kamila zaczęła się już martwić, że stało się coś złego. Ale nie. Zadzwoiła do Basi, koleżanki z klasy, i o wszystko wypytała. Tomek miał się świetnie...

A Kamila wciąż czekała. Zbladła, schudła, nie miała apetytu. Nie utraciła jednak nadziei. Aż do dwudziestego czwartego grudnia.

„Nie przysłał mi nawet życzeń świątecznych – pomyślała, rozkładając czerwone serwetki na białym obrusie. – Jemu już chyba nie zależy. A obiecywał, że w Boże Narodzenie się spotkamy. Miał przyjechać i co?”. Wyszarpnęła serwetkę z opakowania tak mocno, że folia pękła, a cała zawartość wylądowała na podłodze.

– Szlag by to...!

– Kamuś, co z tobą? – zdziwiła się Maria. Nigdy nie widziała bratanicy tak zdenerwowanej.

– Nic. Choinka ubrana, stół nakryty. Pójdę pod prysznic.

Wyjęła z szafy biały, wełniany golf, kupiony specjalnie na tę okazję (wybrała czarny, ale ciocia bardzo nalegała na biały) oraz czarną spódnicę do kolan, lekko rozkloszowaną (również nabytą z myślą o świątach). W łazience wzięła gorącą kąpiel, która nieco ukoїła skołatane serce. Kiedy już ubrana poprawiała lampki na choince, w przedpokoju zadzwonił domofon.

„Tomek” – pomyślała z nadzieją Kamila, przyglądając wilgotne jeszcze włosy. Wyjęła z szuflady białą kopertę i położyła obok prezentu dla cioci.

– Dzień dobry – usłyszała głos Marka w przedpokoju. – Zbłąkany uczeń przyszedł złożyć świąteczne życzenia.

– Miło, że o mnie pamiętasz – odparła ciocia. – Tylko czy ty przypadkiem nie jesteś teraz potrzebny w domu?

– Jak mógłbym nie przyjść w tak ważnym dniu? W domu bym tylko przeszkadzał. Mama zajęła kuchnię i łazienkę równocześnie. Jak wychodziłem, nakazała mi wrócić przed osiemną.

– Zapraszamy do saloniku. Wigilijnych gości nie sadza się w kuchni, przy stole pozbawionym białego obrusa.

– Ale ja bardzo lubię tę pani kuchnię. Spędziłem w niej wiele miłych chwil.

– Dziś będziesz musiał polubić salon, bo do kuchni cię nie wpuszczę. Idź, a ja nastawię wodę na herbatę.

– Cześć – rzucił chłopak, wchodząc do salonu.

– Cześć – powiedziała Kamila, przełykając rozczarowanie. – Nie spodziewałam się ciebie. Zawsze tak ciocię w Wigilię odwiedzasz? – Chciała usłyszeć, że nie, że przyszedł tu specjalnie dla niej. Ale niestety musiała przełknąć kolejną gorzką pigułkę.

– Tak. My bardzo panią Marię lubimy.

Okręciła się na pięcie i podeszła do okna. Tonąca w szarości ulica nie nastrajała optymistycznie.

– A ja byłam tak daleko – szepnęła. – I nie myślałam o niej, nawet nie wiedziałam, że istnieje...

– Coś jesteś w smętnym nastroju. Chodź tutaj. – Wziął ją za rękę i odwrócił twarzą do siebie. – Hej, oczy ci się spociły. No, już! Wiem, że nie

jest łatwo, ale dzisiaj się nie smuć. Najlepszego. – Dopiero teraz zauważyła, że miał w rękę opłatek. – Dużo siły i żebyś w końcu wypatrzyła tego, którego tak wyglądasz.

– Nikogo nie wyglądam – prychnęła, odgarniając włosy z twarzy, a wraz z nimi odsuwając myśli błędzące wokół Tomka. – Tu mam przyjaciół. Dziękuję, że jesteś, Marku. I... spełnienia marzeń.

Pocałował ją w policzek, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

– Co z tobą? – zapytał Marek, nie bardzo wiedząc, czym tłumaczyć sobie zachowanie Kamili. – Tęsknisz?

– Paskudnie. – Uniosła głowę i przywołała na twarz uśmiech. – Ale już lepiej.

– Mam coś dla ciebie. – Wydobył z przewieszanej przez ramię torby kolorową, papierową torebkę. – Proszę.

Lekko drżącymi dłońmi rozpakowała upominek. Obróciła w palcach granatowego słonia z uniesioną w górę trąbą.

– Kamila – odczytała żółty napis na brzuchu figurki.

– Sam go zrobiłem. Z modeliny.

– Śliczny, dziękuję! – Szybkie cmoknięcie w policzek wyraziło wdzięczność nie tylko za podarunek, ale też za pamięć. – Ja również mam coś dla ciebie. – Wzięła spod choinki białą, długą kopertę i podała Markowi. – Nie zrobiłam tego własnoręcznie, ale mam nadzieję, że będziesz zadowolony.

– A co to jest? – zdziwił się, obracając podarunek w dłoniach. – Łapówka? Nie przyjmuję zapłaty za przyjaźń.

– Przestań się wygłupiać! To podwójne zaproszenie na premierę *Zemsty*. Mówiłeś, że chciałbyś zobaczyć mnie na scenie. Teraz masz już bilety. A ja będę się lepiej czuła, wiedząc, że siedzisz na widowni. Przyjdiesz?

– Przyjdę.

Było tradycyjnie i sympatycznie. Opłatek, dwanaście potraw, zapach smażonej ryby, kolędy, prezenty i niewymuszona rozmowa. Potem Piotr podziękował za kolację, ucałował dłoń Marii, Kamilę cmoknął w czoło i wyszedł. Została po nim dziwna pustka...

Kamila usiadła w fotelu, podciągnęła kolana pod brodę i objęła nogi ramionami. Dopiero teraz naprawdę zatęskniła za domem, za przyjaciółmi ze Smolca, którzy po wigilijnej kolacji zwykli składać sobie wizyty. Marzyła,

żeby nagle rozległ się dźwięk domofonu. W jego słuchawce chciała usłyszeć głos mamy lub taty: „Wróciliśmy z dalekiej podróży. Czy znajdzie się dla nas miejsce przy stole?”. Wtedy te święta mogłyby okazać się naprawdę szczęśliwe. Byliby rodzice i ciocia, i Piotr, i...

W przedpokoju zadzwieczał domofon. Dziewczyna znieruchomiała na chwilę. Kto mógłby przyjść o tej porze? Tomek? Miał przecież adres. Może chciał zrobić Kamili niespodziankę? Tak! To na pewno on!

W przedpokoju odezwał się męski głos. Nie należał do Tomka.

– Wojtek – mruknęła niechętnie dziewczyna, żałując, że nie zaszyła się w swoim pokoju. Nie miała ochoty na pogaduszki, a już na pewno nie z Wojtkiem. Zresztą przyszedł do cioci, więc nie będzie im przeszkadzać. Przemknęła na palcach do kuchni, zamknęła drzwi i sięgnęła po leżącą na stole gazetę. Słyszała rozmowę cioci z chłopakiem, najpierw dobiegającą z przedpokoju, później z salonu. Dobrze, zaraz sobie pójdzie...

– Cześć – powiedział Wojtek, wchodząc do kuchni. W dłoniach trzymał duży, wiklinowy koszyk.

– Cześć. – Kamila wstała i zmusiła się do uśmiechu. – Herbaty?

– Za chwilę. Teraz... mam sprawę. Widzisz, spotkałem przed domem pana w czerwonym płaszczu i z długą, siwą brodą. Prosił, żebym ci przekazał ten koszyk.

– Ale ten pan już dzisiaj u nas był – odparła, przyjmując żartobliwy ton Wojtka. – Dlaczego wtedy nie zostawił swojego pakunku?

– Widocznie zapomniał. Tak czasem bywa w starszym wieku. – Postawił koszyk na stole. – Nie sprawdzisz, co tam jest? Bo ja jestem bardzo ciekawy.

Przeniosła wzrok z koszyka na zadowolonego z siebie chłopaka, i z powrotem. Ciekawość zwyciężyła. Zdjęła kocyk. Z wnętrza pakunku spojrzała na nią para wielkich ciemnych oczu... Należały do białego szczeniaka. Ręce same sięgnęły po puchatą kulkę.

– Jaki słodki – szepnęła, tuląc malca. Opamiętanie przyszło po dłuższej chwili. – Wojtek, ja nie mogę go zatrzymać. Ciocia na pewno się nie zgodzi. – Odłożyła szczeniaczka do koszyka. – Poza tym pekińczyki sporo kosztują i...

– Pani Maria już się zgodziła, a ten pekińczyk nic nie kosztował. Moja Sonia się oszczeniła. Wszystkie pieski sprzedałem, a tę suczkę zostawiłem dla ciebie, żebyś miała przyjaciółkę.

– Może i tego powinienes sprzedać...

– Miła, dlaczego ty się na mnie gniewasz?

– Nie gniewam się.

– Przecież widzę. Chodzi o to, że sprawiłem ci przykrość w Jagódce?

– Zrobię herbatę – wykręciła się od odpowiedzi. Nie mogła się przecież przyznać, że ją przestraszył.

– Nie chcę herbaty. – Chwycił dziewczynę za łokieć. – Spójrz na mnie – poprosił. Uniosła głowę i utkwiała wzrok w kasztanowych tęczęwkach. – Bałaś się, że cię uderzę, tak?

Nie potrafiła skłamać, kiedy patrzył jej prosto w oczy.

– Wojtek, ja... nie wiem, co myśleć...

Otoczył Kamilę ramionami. Przytulił. Była drobna i krucha. Bardzo łatwo mógł ją skrzywdzić. Dopiero teraz w pełni zdał sobie z tego sprawę. Ukrył twarz w jej pachnących rumiankiem włosach.

– Przepraszam – szepnął. – To się nie powtórzy. Obiecuję.

Piśnięcie z koszyka radykalnie zmieniło nastrój.

– Co, maluszku? – zapytała Kamila, zwracając twarz w stronę szczeniaka. Nie odsunęła się jednak od Wojtka. Dobrze jej było w jego ramionach. Bezpiecznie i ciepło.

– Też chce się przytulić – stwierdził chłopak. – Chyba nie wyrzucisz na mróz bezbronnego psiaka?

– Figa.

– Co?

– Wabi się Figa.

Rozgrzewające się pod kołdrą palce stóp przyjemnie szczypały. Policzki wciąż były zimne od mrozu i mokre od łez, które wciąż wypływały spod przymkniętych powiek. Kamila starła je stanowczym ruchem nadgarstka. Wciąż rozpamiętywała wydarzenia ostatnich godzin.

Ciocia nie chciała iść na pasterkę. Od kilku dni była przeziębiona i nie czuła się najlepiej. Kamila poszła z Wojtkiem. I poślizgnęła się. Ach, te buty na obcasach! Niepotrzebnie uległa namowom Marii, żeby je kupić, bo pięknie podkreślały kształt łydek. Tak, były śliczne i ciepłe, ale miały gładką podeszwę. Zbyt dziarskim krokiem wędrowała po chodniku. Obcas trafił na zamrożoną kałużę. Upadłaby, gdyby Wojtek jej nie przytrzymał.

– Uważaj, bo złamiesz nogę – powiedział, wkładając sobie jej rękę pod ramię. – Będę cię asekurował, bo tu straszna ślizgawica.

U jego boku czuła się pewnie. A kiedy poprawił jej szalik pod szyją i poprosił, żeby założyła rękawiczki, uległa złudzeniu chwili i pozwoliła, żeby skrzętnie skrywane pragnienia wkroczyły w rzeczywistość.

– Tomek... – szepnęła, ufnie opierając głowę na ramieniu chłopaka.

– Co, Mila?

Tomek nigdy nie zdrabniał jej imienia w taki sposób. Uniosła głowę.

– Ja...

– Oprzyj się. – Dotknął wargami jej czoła. – Wszystko jest dobrze.

I po prostu objął ją ramieniem.

Przez cały czas był przy Kamili. Na pasterce i w drodze powrotnej. Ani słowem nie wspomniał o pomyłce. O nic nie pytał. Właściwie niewiele mówił. Zwyczajnie był, łagodząc skutki tęsknoty. A Tomek nie zadzwonił.

Dziewczyna już nawet nie wiedziała, czy płacze z żalu, czy raczej ze wzruszenia. A łzy wciąż płynęły.

Rozdział V. Problemy małe i duże

*Właśnie wtedy, kiedy pomyślałeś
(...) że jesteś okrutnie mały,
niepotrzebny jak kominiek na niby w stołowym pokoju,
(...) lekki jak dwadzieścia groszy reszty
(...) Właśnie wtedy wybrał ciebie ktoś
większy niż ty sam,
który stworzył świat tak dobry,
że niedoskonały
i ciebie tak niedoskonałego,
że dobrego.*

Jan Twardowski

1.

Dzień był mroźny, ale słoneczny. Promienie odbijały się od śniegu na gałęziach, mrugając barwnymi iskierkami. Kamila szła niespiesznym krokiem, podziwiając zimowy wdzięk popołudnia i ciesząc się spokojniejszą chwilą. Ostatnio nie miała na nic czasu. Życie toczyło się pomiędzy szkołą, teatrem a łóżkiem. Już nawet nie czytała przed snem; była zbyt zmęczona. Dzisiaj przynajmniej w teatrze miała wolne. Mogła więc sobie pozwolić na spacer po parku i wizytę w księgarni. Gdy przechodziła obok stacji, usłyszała sygnał karetki pogotowia. Niedaleko torów zebrała się spora grupa ludzi. Krzyczeli, gestykulowali... Podeszła bliżej, żeby sprawdzić, co się wydarzyło.

– Rzucił się pod pociąg – opowiadała jedna pani. – Ten chłopak jest niezrównoważony! Dobrze, że maszynista go zauważył i zdążył wyhamować.

– A jaki hałas był! – zawołała druga. – W życiu się tak nie przestraszyłam!

– A taki porządny chłopiec... Kwadrans wcześniej kwiatki u mnie kupował. Nawet „dzień dobry” i „do widzenia” powiedział. A teraz leży w kałuży krwi.

– O Boże! Co tym młodym teraz w głowach siedzi?

Kamila podeszła bliżej. Tak blisko, jak się dało, bez narażania się na interwencję policjantów. Przy leżącym na śniegu chłopaku ukląkł lekarz.

Chwilę później rannego położono na noszach. Karetka odjechała na sygnale. Policjanci spisali zeznania świadków, zrobili kilka zdjęć, wsiedli do radiowozu i odjechali. Bez sygnału. Tłum ciekawskich również zajął się swoimi sprawami.

Tylko Kamila wciąż stała kilka metrów od torowiska, wpatrując się w krwawą plamę na śniegu, gdzie leżał niedoszły samobójca. Był nim... Wojtek. Ta wiadomość docierała do dziewczyny powoli, opornie. Oczywiście, takie rzeczy się zdarzają. Kamila nigdy jednak nie przypuszczała, że mogą się przytrafić komuś znajomemu. Dopiero po dłuższej chwili podniosła z ziemi torbę, która wypadła z jej drżących rąk, i zbliżyła się do miejsca, gdzie jeszcze niedawno leżał Wojtek. Znalazła bukiet żółtych róż w przezroczystej folii, kalendarz, telefon i czarną, wełnianą czapkę. Zabrała rzeczy kolegi, nie chcąc, by dostały się w niepowołane ręce. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić.

To kompletna bzdura – zawyrokowała Maria, gdy bratanica opowiedziała jej, co zaszło na stacji. – Wojtek nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

– Słyszałam, co ludzie mówili – odparła Kamila. – Chociaż mnie też się to wydaje dziwne.

– Ludzie zawsze szukają sensacji. Jesz?

Dziewczyna pokręciła głową. Nie była głodna. Nawet nie tknęła kolacji, chociaż uwielbiała zapiekankę ziemniaczaną. Wciąż słyszała syrenę pogotowia, wciąż widziała ślady krwi na śniegu, wciąż biła się z myślami.

– Nawet nie wiem, dokąd go zawieźli i w jakim jest stanie – szepnęła.

– W końcu zaczynasz normalnie myśleć, Kamuś.

Maria schowała do lodówki nietkniętą zapiekankę i wyszła do pokoju. Kamila odruchowo sięgnęła po leżącą na szafce książkę. Przesuwała wzrokiem po literach, ale nie potrafiła złożyć ich w słowa. W końcu odłożyła książkę i opuściła kuchnię. W przedpokoju zderzyła się z cicią.

– Leży w Międzyzlesiu na ortopedii – powiedziała Maria. – Ubieraj się, pojedziemy tam.

Lekarz nie chciał im udzielić żadnych informacji, ponieważ nie należały do najbliższej rodziny. Powiedziano im tylko, że nie ma bezpośredniego zagrożenia życia i że Wojtek właśnie jest operowany. Wizyta w szpitalu uspokoiła jednak Kamilę na tyle, że mogła wrócić do domu i zasnąć. Śnił jej się samobójca leżący w kałuży krwi, a potem wkładany do czarnego worka.

Nie układali go na noszach. Bo po co... A najgorsze było to, że miał wiele twarzy. Sen-scenarzysta wyjął z wyobraźni dziewczyny oblicza bliskich jej osób i kazał im umierać przy wtórze demonicznego śmiechu ulicznych plotkarek.

Jedź po szkole do Wojtka – poprosiła Maria, słodząc kawę. – Ja nie mogę, muszę zrobić remanent, podpisać faktury, no i mam jeszcze spotkanie z nowym dostawcą soków.

– Ale po co? – zdziwiła się Kamila. Powoli jadła śniadanie. Była śpiąca i dziwnie przestraszona. Co prawda nie wierzyła, że koszmary mogą niespodziewanie stać się rzeczywistością, ale nie potrafiła otrząsnąć się z sennych wizji. Nie miała ochoty ani wychodzić na mróz, ani tym bardziej jechać do szpitala nieogrzany autobusem. Najchętniej zaszyłaby się w pokoju z książką.

– Jak to po co? Sprawdź, jak się czuje. Wypytaj o wszystko. Może czegoś potrzebuje.

– Ale jako kto mam tam jechać? Znowu nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Nie lubię szpitali.

– Nikt nie lubi. Chorzy też nie. Ale Wojtka chyba trochę lubisz, co?

Fala gorąca wypłynęła na policzki dziewczyny. Wciąż się wstydziła tego, że pomyliła Wojtka z Tomkiem, że zdradziła się ze swoją tęsknotą. Chłopak postąpił bardzo taktownie; nie skomentował jej zachowania, nikomu o niczym nie powiedział, milczał, jakby nic się nie stało. W wieczór wigilijny połączyła ich dziwna więź, objawiająca się spojrzeniami, krzyżującymi się w trakcie lekcji, mimowolnymi uśmiechami, serdecznością gestów. I była jeszcze Figa – najwspanialszy prezent, jaki Kamila mogła sobie wyobrazić. Lubiała Wojtka. Pewnie dlatego wypadek tak ją przeraził.

– Dobrze, pojedę.

Zapach szpitalnego korytarza przywołał wspomnienie śmierci dziadka, poprzedzonej długą chorobą i hospitalizacją. Kamila zatrzymała się przed wskazanymi przez pielęgniarkę drzwiami, przegnała wspomnienia, uspokoiła oddech.

W sali znajdowały się dwa łóżka, ale tylko jedno było zajęte. W leżącym

na nim pacjencie dziewczyna z trudem rozpoznała Wojtka. Błede policzki, sińce pod oczami, plaster na czole, zabandażowana ręka i noga w gipsie. Kiepsko wyglądał.

Podeszła cichutko. Położyła na szafce jabłko, kawałek sernika i czekoladę.

– Dziękuję – powiedział Wojtek, nie otwierając oczu. – Nie jestem głodny.

– Cześć. – Kamila uśmiechnęła się nieśmiało. – Nie śpisz?

Otworzył oczy i wykonał gwałtowny ruch tułowiem, jakby chciał się podnieść. Próba nie powiodła się i opadł z jękiem na poduszkę.

– Co ty tutaj, do cholery, robisz? – zapytał nieprzyjemnym tonem. – Twój widok nie sprawia mi przyjemności.

– A mnie twój sprawia – odpowiedziała spokojnie, walcząc z chęcią ucieczki. Dziwny był ten Wojtek, raz troskliwy, raz odpychający. – Choć muszę przyznać, że widywałam cię w lepszej formie. Jak się czujesz?

– To nie twoja sprawa! Po coś tu przylazła?

– Ciocia mnie prosiła, bo się o ciebie martwi. Ja też. Widzę jednak, że niepotrzebnie. Nie wiem, co z twoją nogą, ale język na pewno nie uległ uszkodzeniu. Wszystkiego dobrego. Trzymaj się.

Drżała. Zachowanie chłopaka wyprowadziło ją z równowagi. Poczwała, że jeśli jeszcze chwilę zostanie w jego towarzystwie, nawymyśla mu od tchórzy i egoistów. Odwróciła się na pięcie i skierowała w stronę drzwi.

– Miła! – zawołał Wojtek. – Przepraszam.

Znieruchomiała z dłonią na klamce. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała co. Nie ma sprawy, nic się nie stało? Ale przecież właśnie się stało! Przyszła tu w dobrej intencji, a Wojtek potraktował ją jak natrętną muchę. Znowu, tylko tym razem nie miał siły, by machnąć ręką.

– No, podejdz do mnie – nalegał. – Nie obrazaj się. Głupio wyszło, ale... Cholera, nie chcę, żebyś widziała mnie w takim żalonym stanie!

– To pójdę.

– Tego też nie chcę. Chodź, proszę.

Uległa, chociaż wciąż była zła na Wojtka. Usiadła na okrągłym stołku obok łóżka i ujęła dłoń chłopaka.

– Więc jak się czujesz? – zapytała.

– Wszystko mnie boli. Dawno tak nie oberwałem.

– Nie oberwałeś? Wiesz co, jeśli masz zamiar kłamać, wypierać się, to lepiej nic nie mów.

– Mila, co ty?

– Skoczyłeś pod ten pociąg. Byłam tam, słyszałam, co mówili.

– Oszalałaś?! – Znowu się poderwał, wyszarpując rękę z uścisku. Jęknął. Musiało zboleć.

– Leż, bo zrobisz sobie krzywdę.

– Jak mam leżeć, skoro uważasz mnie za wariata? – Oddychał szybko, głośno.

– Spokojnie. – Znowu wzięła go za rękę. – Przepraszam. Zawołać pielęgniarkę? Boli?

– Dwóch do mnie podeszło. Chcieli portfel i telefon. Nie chciałem im dać. Szarpaliśmy się. Cholera, dałbym im radę, ale mieli nóż. Tak, skoczyłem, ale...

– Ciii... Nie denerwuj się.

– Wołałem skoczyć, niż dostać kosę pod żebra. I wcale nie pod pociąg. Wierzysz mi?

– Wierzę. No już, spokojnie.

Nadal oddychał szybko. Najwidoczniej wspomnienie tamtego wydarzenia wciąż go dręczyło.

Kamila gładziła rękę chłopaka, zastanawiając się, co powinna teraz powiedzieć. Niepotrzebnie postawiła sprawę tak ostro. Mogła załatwić to delikatniej albo odczekać kilka dni, aż wspomnienia zblakną.

– Bałem się – powiedział po dłuższej chwili Wojtek. – Musiałem coś zrobić.

– Rozumiem. Wierzę ci. – Wydobyła z torebki kalendarz i telefon. – Znalazłam w śniegu.

– Dziękuję. Pytałem o to policjanta, ale nic nie znaleźli. Naprawdę pomyślałaś, że mógłbym skoczyć pod pociąg?

– Wojtek, musisz odpoczywać. – Zmieniła temat. – Już lepiej pójdę, bo się niepotrzebnie denerwujesz.

– Odwiedzisz mnie jeszcze? – zapytał niepewnym głosem, zaciskając palce na dłoni dziewczyny.

– Dzisiaj mnie wyprosiłeś.

– Bo mnie zaskoczyłaś. Przyjdiesz?

– Przyjdę

Uniósł jej rękę do ust i musnął pocałunkiem.

– To do zobaczenia.

Wyszła. Chłopak odetchnął głośno i wreszcie uwolnił długo tłumione łyzy. Nie chciał ich, ale przyniosły ulgę. Wspomnienie wczorajszego popołudnia wciąż było żywe i wywoływało gwałtowne emocje. Przez całą noc zastanawiał się, czy mógł jakoś uniknąć skoku na tory. Poza dobrowolnym oddaniem telefonu i pieniędzy oczywiście. Nie widział innego rozwiązania. Zrobił to, co nakazywał rozsądek. Wolałby jednak, żeby Kamila zobaczyła w nim zwycięzcę, a nie tchórza, który ucieczką ratuje się z opresji. Posądzenie o próbę samobójstwa bolało bardziej niż złamana noga. Niesmak po takim podejrzeniu, i to właśnie ze strony Kamili, był gorszy niż gorczy porażki w walce z ulicznymi cwaniakami.

– Coś ty ze mną zrobiła? – zapytał półgłosem. – I jeszcze ten przekłety Maras obok ciebie. Szlag by to trafił.

2.

I dwa tygodnie odpoczynku – powiedział Marek, zakładając kurtkę w szkolnej szatni. – Wyjeżdżasz gdzieś?

– Wiesz przecież, że gram w teatrze – odparła Kamila, zakładając przed lustrem czapkę. – Pracujemy w pierwszym tygodniu ferii od środy do soboty, ale później mam kilka dni wolnego, to może wyrwiemy się z cicią do Smolca. Jak się uda. A ty?

– W poniedziałek jadę na obóz narciarski. Od dawna o tym marzyłem. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tylko uważaj, żebyś sobie czegoś nie złamał.

– Może nie będzie tak źle. – Stał za dziewczyną i spojrzął w lustro. Ładnie wyglądała w tej szarej czapce. Tak dziewczęco, uroczo. A zwilżone błyszcznikiem usta przyciągały wzrok i budziły... Przełknął ślinę. – Co robisz dziś po południu?

– Nic ciekawego. – Ustąpiła Markowi miejsca przy lustrze i zdjęła z haczyka kurtkę. – Do teatru nie idę, może poczytam do poduszki, położę się wcześniej. To męczące wracać do domu tuż przed północą, a wstawać o szóstej.

– Mam lepszy pomysł. Chodźmy do kina. Powinnaś bywać między ludźmi, a nie tylko występować przed nimi, moja droga. Obiecuję, że na dwudziestą pierwszą będziesz w domu. Jeszcze zdążysz się wyspać.

– No nie wiem...

– Ale ja wiem. Wpadnę po ciebie o szesnastej. Cześć!

Mrugnął do niej, uniósł rękę na pożegnanie i wyszedł z szatni. Kamila nie zdążyła nawet zapytać o tytuł filmu. Dobrze. Chodziło właśnie o element zaskoczenia. Gdyby pozwolił jej analizować sprawę, na pewno by odmówiła.

Sobota rano. Śniadanie dwie godziny później niż zwykle. Wszystko można zrozumieć – że to szpital, a nie ośrodek wczasowy, że panie w kuchni ciężko pracują za marne grosze, że weekend każdy wolały spędzić w domu, a nie w pracy – ale przecież chorzy to też ludzie i mają prawo zjeść o ludzkiej godzinie.

„Dobrze, że mama zostawiła mi wczoraj paczkę biszkoptów – pomyślał Wojtek. – Inaczej umarłbym z głodu”.

Leżał oparty o poduszkę, chrupał ciastka, popijając wodą wprost z butelki, i starał się, dla odmiany, nie umrzeć z nudów. Właśnie w takiej sytuacji zastał go Marek. Wszedł do sali szpitalnej uśmiechnięty, zadowolony z życia.

– Cześć, stary! – rzucił, promieniejąc od progu niczym nowa świetlówka. – Jak się dziś czujesz?

– A dziękuję bardzo! Właśnie wróciłem ze spaceru po plaży. Za chwilę mam siłownię, później wezmę prysznic, szybki obiad, masaż relaksacyjny, wykonany przez błękitnooką blondynkę...

– Marzy ci się, co? Przyniosłem kilka książek. Przy czytaniu czas szybciej płynie.

– Pogadałbyś ze mną lepiej, bo tkwię tu sam jak palec. Nie mam nawet telewizora, a na korytarz się nie wytoczę.

– Przestań, w telewizji i tak nie ma nic ciekawego. Ja wczoraj byłem w kinie.

– Sam? – zdziwił się Wojtek.

– Nie, no co ty, z Kamila. Ona nie zna Warszawy, to nigdzie nie chodzi...

– A ty jej wszystko pokazałeś? Widzę, że sprawa nabiera rumieńców. Najpierw kino, potem kawiarnia, kwiaty i tańce do rana. W końcu karnawał...

– Hej, o co ci znowu chodzi? – Marek zmierzył przyjaciela wściekłym spojrzeniem. Bo jakim prawem z niego drwił?

Na to pytanie Wojtek nie chciał odpowiedzieć, bo musiałby przyznać, że był zwyczajnie zazdrosny.

Prawdziwe uczucia skrył pod ironicznym uśmiechem.

– O to, że nie chcesz się przyznać, że ona ci się podoba, że kręci cię ta jej

niewiedza prowincjuski – cedził przez zęby – że lubisz występować w roli światowca, przewodnika, bohatera.

– Wybacz, ale to nie twoja sprawa. Czego się czepiasz? Nigdy nie ukrywałem, że lubię Kamilę. Zazdrosny jesteś czy co? Przecież ona nie jest w twoim typie.

– Zgadza się. Jak dla mnie, jej uroda jest zbyt zaściankowa, banalna. Widzę jednak, że tobie się podoba, więc nie rozumiem, na co czekasz.

– A to już nie twoja sprawa.

– Masz słuszność – szepnął, choć miał ochotę krzyknąć, że właśnie jego sprawa, bo jeśli Marek w końcu się nie określi, to on mu Kamilę sprzątnie sprzed nosa, że nie będzie czekał w nieskończoność. Tylko podobnych świństw nie robi się kumplowi, a ten nieudolnie zabierający się za podrywanie głupek był jego przyjacielem. – I wiesz co, lepiej już sobie idź. Zmęczony jestem. Cześć.

Odwrócił głowę, zamknął oczy, udając, że marzy o przedpołudniowej drzemce. Marek wzruszył ramionami i opuścił salę. Nie potrafił zrozumieć zachowania kolegi. Zupełnie jakby wieloletnia przyjaźń nagle przestała istnieć.

Tymczasem Wojtek zacisnął dłonie na poręczach łóżka i mocno zagryzł wargi. Był wściekły. Na Marka, że potrafił tak lekko mówić o swojej sympatii do Kamili. Na siebie, że nie miał na to dość odwagi. Na Kamilę, że stanęła pomiędzy przyjaciółmi i, nic nie robiąc, wszystko zepsuła. A przecież nie była żadnym cudem. Ba, nawet nie dotrzymywała obietnic! Powiedziała przecież, że go odwiedzi, i co? Nic. Minął już tydzień, a ona nawet nie raczyła zadzwonić. Można tłumaczyć jej zachowanie brakiem czasu. Faktycznie dużo na siebie wzięła. Szkoła, nadrabianie zaległości w nauce, praca. Na kino jednak znalazła wolną chwilę. A do kolegi w szpitalu nie zajrzała. Najwidoczniej własna rozrywka była dla niej ważniejsza. On nie kazałby jej tak długo czekać; gdyby obiecał, przyszedłby następnego dnia. Gdyby wiedział, że dziewczyna czeka, przychodziłby codziennie, choćby po to, żeby się uśmiechnęła. Śliczny miała uśmiech. Taki niewinny i ciepły...

Wojtek zgrzytnął zębami. O, niech ta cała Kamila wreszcie się pojawi! Już on jej nagada. I nie będzie słuchał żadnych wyjaśnień. Tak się po prostu nie robi!

Z pamiętnika Kamili:

11 lutego

Dawno nie pisałam. Ostatnio zaglądałam do pamiętnika w listopadzie. Wtedy była jesień, a teraz jest zima. Za oknami wszystko przykryła śnieżna pierzyna, mróz ścisnął aż miło, a ja siedzę pod ciepłym kocem w moim pokoju w Warszawie i... jestem zupełnie inną osobą. Rozpadł się cały mój świat. Straciłam marzenia, zagubiłam siebie. Tak, to prawda, jakkolwiek melodramatycznie by to nie zabrzmiało.

Kilka dni temu pojechałam z ciocią do domu, do Smolca. Boże, jak ja się cieszyłam na samą myśl o tym, że odwiedzę wszystkie ukochane miejsca, że pójdę na groby rodziców i dziadków, że porozmawiam z przyjaciółmi, że zobaczę Tomka, przytulę się do niego...

O przyjeździe powiadomiłyśmy tylko lokatorów. To w końcu mój dom i mam prawo w nim przebywać – ciocia uwzględniła taki punkt w umowie najmu. Pokoje na pięterku nie były więc używane, co sobie zastrzegłyśmy. Nikt tam nie wchodził, wszystko pozostało tak jak przed wyjazdem. Bardzo dobrze.

Gdy wysiadłyśmy na stacji w Smolcu, od razu poczułam, że wracam do domu. Ciocia też się wzruszyła, chociaż próbowała to ukryć. Poznałam ją już jednak na tyle, żeby zauważyć dyskretnie wytartą łzę i drgnięcie mięśni policzków. Na peronie czekała na nas wspaniała niespodzianka: znajomi wyszli nas przywitać. Poza Tomkiem. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, dlaczego go zabrakło. Trochę mnie to zaniepokoiło, ale ostatecznie nie jestem pępkiem świata. Poza tym tyle się działo. Ciągle ktoś mnie o coś pytał. Musiałam opowiadać o szkole, teatrze, Warszawie. Nawet nie miałam kiedy rozejrzeć się po Smolcu.

Pani Janeczka, sąsiadka, zaprosiła nas na obiad. Ciocia kiedyś się z nią przyjaźniła. Sporo miały sobie do opowiedzenia, więc zostawiłam je same i wybrałam się na spacer. Zajrzałam do szkoły. Budynek ocieplono, wokół boiska ustawiono ławki, naprawiono bramki. Pięknie. Zrobiłam kilka zdjęć na pamiątkę. Później poszłam do kościoła i na cmentarz. Potrzebowałam takiej chwili samotności nad grobami. Wyciszyłam się, uspokoiłam, nabrałam pewności, że wszystko będzie dobrze, że nie zostanę ukarana za próbę bycia szczęśliwą poza Smolcem.

Później nadszedł czas na najważniejsze spotkanie. Przez ciemniejący już las pobiegłam do Tomka. Jak ja za nim tęskniłam! Chciałam poczuć ciepło

jego ramion, siłę uścisku. Budził pewien niepokój fakt, że od rana miał wyłączony telefon, ale przecież z komórką mogą się stać różne rzeczy. Moja zginęła w tajemniczych okolicznościach. Tak bywa. Zapukałam do jego drzwi, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Liczyłam na miłe powitanie, a tymczasem mama Tomka nawet nie wpuściła mnie do środka. Powiedziała, że Tomek pojechał do Wrocławia, a ona nie ma czasu, bo lepi pierogi. Zrobiło mi się przykro. Potraktowała mnie jak nieproszonego gościa albo akwizytora-natręta, usiłującego jej coś na siłę sprzedać. Dziwne, zawsze była miła, serdeczna...

Cóż, ludzie się zmieniają. Teraz przynajmniej wiedziałam, dlaczego Tomek nie przyszedł na stację. Opuściłam podwórze i ruszyłam w stronę Zajazdu. Było mi zimno, chciałam napić się czegoś ciepłego. Usiadłam na swoim ulubionym miejscu, w kąciku przy oknie, i zamówiłam gorącą czekoladę. Piłam powoli, delikatnie parząc usta. Wtedy smakuje najlepiej.

W pewnym momencie usłyszałam rozmowę chłopaka z dziewczyną.

– To co zamawiamy? – zapytał on.

– Mam ochotę na rogaliki z marmoladą – odpowiedziała ona. – A do tego mocną kawę. Przed nami długa noc.

– A ja wezmę sernik z bitą śmietaną i czekoladę waniliową.

Głos chłopaka od razu rozpoznałam... Ale to przecież nie mógł być on! Może mi się przesłyszało, może to ktoś inny... Sernik z bitą śmietaną i czekoladę zamawiał jednak zawsze. Zamawialiśmy zawsze...

Powoli odwróciłam głowę. Dziewczyny nie znałam. Pewnie jakaś przyjezdna. Siedziała przodem do mnie, mogłam więc ją dokładnie obejrzeć. Miała usta pomalowane na jaskrawoczerwony kolor (brr, ohyda) i uśmiechała się zalotnie do swojego rozmówcy, który trzymał ją za rękę. Chłopak był odwrócony do mnie tyłem, ale poznałabym go na końcu świata. To był Tomek. Mój Tomek. Ten sam, który podobno miał być dzisiaj we Wrocławiu. Ten, który nie odpisywał na moje esemesy, nie odbierał telefonów albo zbywał mnie brakiem czasu. Ten, do którego tęskniłam przez te wszystkie miesiące w Warszawie.

A on nie tęsknił...

Zadrzałam. Poczułam się tak, jakby ktoś wylał mi na głowę wiadro zimnej wody. Początkowo chciałam chwycić tego przekłętego Tomka za włosy i potrząsnąć porządnie, żądając wyjaśnień. Wiedziałam jednak, że to nie zmniejszy mojego rozczarowania; jedynie się ośmieszę. Spokojnie dopiłam

czekoladę, zapłaciłam, założyłam kurtkę i dopiero wtedy podeszłam do stolika, przy którym siedzieli.

– Cześć, Tomciu – powiedziałam. – Słyszałam, że byłeś dziś we Wrocławiu?

– Gdzie? – zdziwił się.

– We Wrocławiu. Takich informacji udzieliła mi twoja mama.

Tomek oderwał wzrok od swojej towarzyszki i spojrzał na mnie. Jego policzki zrobiły się purpurowe. Wyraźnie zaskoczył go mój widok.

– Kama? Co ty tutaj robisz? – zapytał.

– A nic ciekawego – odparłam spokojnie. – Wiedziałbyś, gdybyś odbierał telefon. Przyjechałam na grób rodziców. Miałam też nadzieję, że spotkam się z moim chłopakiem, ale nie zastałam go w domu. Jego mama nie okazała się zbyt gościnna, a ponieważ zmarłam, przyszłam tutaj. Wypiłam gorącą czekoladę i od razu lepiej się poczułam. Teraz już pójdę. Cześć.

Tomek próbował mi coś wyjaśnić, ale go nie słuchałam. Wybiegłam z Zajazdu. Nie chciałam się rozplakać przy nim i tej jego wypacykowanej pannie. Boże, jaka byłam głupia! Myślałam, że będzie na mnie czekał, że to, co nas łączyło, przetrwa każdą próbę. Pomyliłam się.

Wróciłam do domu. Pani Ewa zaproponowała mi kolację, ale podziękowałam. Poszłam do pokoju, zamknęłam drzwi i dopiero wtedy się rozplakałam. Czułam się tak, jakby ktoś okradł mnie z czegoś pięknego. Myślałam, że jestem dla Tomka kimś ważnym, a on zwyczajnie zamienił mnie na inną i nawet mi o tym nie powiedział.

Tej nocy zrozumiałam, że dzieciństwo bezpowrotnie minęło. Dokonałam rozliczenia z przeszłością. Wyjeżdżając do Warszawy, rozpoczęłam nowe życie, a ciągłe oglądanie się za siebie mogło przynieść tylko ból i rozczarowanie. Lepiej zachować miłe wspomnienia.

Rano obudziła mnie Figa – część mojej teraźniejszości.

– Chodź, piesku – szepnęłam.

Teraz powiedziałam ci już prawie wszystko, mój pamiętniku. Prawie, bo została jeszcze jedna, malutka sprawa do wyjaśnienia. Dziś się pożegnamy. Dziś po raz ostatni zapisuję swoje przeżycia. Muszę zrezygnować z dziecinnych przyzwyczajzeń. Od jutra zaczynam nowe życie. Bez ciebie. Bez Tomka. Bez marzeń.

Żegnaj.

Z trzaskiem zamknęła zeszyt w żółtej okładce, odłożyła go na półkę z książkami i wierzchem dłoni starła łzy spływające po policzkach. Podeszła do okna i wyjrzała na pokrytą śniegiem ulicę. Chodnikiem biegło kilkoro dzieci, bez troski rzucając w siebie śnieżkami. Z piersi Kamili wyrwało się głośne westchnienie. Zawtórowało mu ciche sapnięcie. Na dywaniku obok łóżka leżała Figa.

– Teraz mamy już tylko siebie – szepnęła dziewczyna, zanurzając palce w miękkim, białym futrze. Niemal w tej samej chwili mały łąpek uniósł się, ciemne ślepka spoczęły na zapuchniętej od płaczu twarzy, a ogon wykonał serię pocieszających machnięć. Myśli Kamili skierowały się ku osobie, która podarowała jej tak wierną przyjaciółkę. – Pójdę odwiedzić Wojtka.

Wojtek starł pot z czoła i nalał wody do kubka. Nigdy nie przypuszczał, że niewinny spacer po szpitalnym korytarzu może być tak męczący. Kule to jednak nie nogi, a ręce nie nawykły do dźwigania całego ciała.

Kilka chciwie zaczerpniętych łyków nawilżyło Saharę w gardle i nieco orzeźwiło umysł. Pozostał problem natury egzystencjalnej: jak przetrwać do kolacji i nie skonać z nudów. Przyniesione przez Marka książki już dawno przeczytał. W prasie nie było nic ciekawego. Gry ściągnięte na komórkę irytowały, a przeglądanie stron internetowych na niedużym wyświetlaczu szybko męczyło oczy.

Co to? Skrzypnięcie klamki? Chłopak uniósł głowę i wyczekująco spojrzał na drzwi. Uchyłały się powoli, jakby niepewnie.

„Dobry znak – pomyślał. – Pielęgniarki, lekarze i panie roznoszące posiłki zawsze wchodzą szybko”.

Drobna sylwetka, zarumienione od mrozu policzki, trochę przestraszone, błękitne spojrzenie.

– Cześć.

Miękki, przyciszony głos przywołał uśmiech na jego spieczonym wysiłkiem i suchym, szpitalnym powietrzem usta.

– Cześć, Mila. – Spróbował sobie przypomnieć pełną wyrzutów mowę, którą przygotował kilka dni temu, ale wywietrzała mu z głowy, przegoniona radością z odwiedzin. – Chodź, siadaj. – Począł, aż zajmie miejsce na szpitalnym stołku, i chciwie pochwycił zapach świeżego powietrza, zmieszany z delikatną wonią dezodorantu. – Myślałem, że już nie przyjdiesz. – Zdobył

się jednak na mały wyrzut.

– Przecież ci obiecałam, prawda?

Drgnął. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Myślał, że Kamila będzie próbowała się usprawiedliwić brakiem czasu i nawałem zajęć, a ona spokojnie poinformowała, że przyszła, bo wymusił na niej obietnicę.

– A sama nie chciałaś? – zapytał niepewnie.

– Chciałam. – Uśmiechnęła się. – Ale musiałam ci dać chwilę, żebyś się pozbierał, bo ostatnio nie byłeś w najlepszej formie. Jak noga? – zmieniła temat. Nie miała ochoty na słowne przepychanki.

– Nie narzekam. Wczoraj prześwietlili mi biodro i założyli mniejszy gips. Noga też zrasta się prawidłowo. Dostałem kule i uczę się samodzielności. Właśnie byłem... – zastanowił się nad doborem odpowiedniego słowa – na spacerku. A zmachałem się, jakbym wszedł na Śnieżkę.

– Bo ty byś chciał od razu tańczyć. Stopniowo wrócisz do formy.

– Nie do końca.

– Jak to? – zdziwiła się Kamila. – Wydaje mi się, że jesteś prawie zdrowy.

– Fizycznie tak. Już niedługo będę biegał. Ucierpią psychika.

– To akurat wiedziałam już dawno. – Mrugnęła żartobliwie.

– No, i jeszcze się ze mnie śmieje! – Zrobił obrażoną minę. – Ja tu niedługo naprawdę zwariuję. Nie mam nawet z kim porozmawiać. Maras się na mnie obraził.

– O co?

– Właśnie tego nie rozumiem. Ty pewnie wiesz więcej.

– A niby skąd? – Wzruszyła ramionami.

– Myślałem, że pojechaliście razem na obóz.

– No coś ty, przecież ja nie mogę zniknąć na tyle czasu, mam rozpisany grafik w teatrze.

– Zapomniałem. Swoją drogą, ładna z ciebie Klara.

– Widziałeś? – zdziwiła się.

– Dałaś przecież Marasowi dwuosobowe zaproszenie i on zabrał mnie na premierę. Posłałem ci nawet kwiaty. Dostałaś?

– Ten bukiet z kremowych róż i różowych gwoździków?

– Uhm.

– Myślałam, że to od dyrekcji teatru. Dziękuję.

– Nie ma za co. Następnym razem sam się pofatyguję, żebyś nie miała wątpliwości. A Maras nie dzwonił do ciebie z tego obozu?

– Powinien?

– Nie wiem, nieważne. Powiedz lepiej, co u ciebie? – Teraz on zmienił temat.

– Byłam w domu. W Smolcu. – Zagryzła wargi. Przykre wspomnienia wróciły, a oczy zaczęły dziwnie piec. – Pięknie tam jest zimą. – Chciała zdusić żal opowieścią o bielusieńkich polach, torze saneczkowym pod lasem, lodowisku wylewanym przez strażaków. Słowa ugrzęzły jednak w gardle, głos zaskrzypiał.

– Co się stało? – zapytał Wojtek, dotykając jej ręki. – Hej, Mila, znowu sprawiłem ci przykrość?

Dwie duże łzy spłynęły po policzkach dziewczyny. Otarła je, ukryła twarz w dłoniach. Nie miała dość siły, żeby uciec. Siedziała więc, walcząc z rozsadzającym kłatkę piersiową szlochem.

Wojtek sięgnął po kulę, wspierając się na niej, wstał. Wolną ręką otoczył plecy dziewczyny.

– Ciii... Nie trzeba tak płakać.

– Zostawił mnie – szepnęła Kamila, ufnie opierając głowę na brzuchu chłopaka.

– Chodzi o tego Tomka, tak?

– Myślałam, że będzie czekał... Obiecał mi...

– Mila, Milusia, no już. – Wojtek starał się jakoś pocieszyć dziewczynę, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów. Z jednej strony cieszył się, że ma tego całego Tomka z głowy, z drugiej ogarnęła go złość na drania, którą ją zranił. – Uspokój się – powiedział zdecydowanie. – To jakiś dupek i tyle. Nie warto po takim płakać.

Pewny głos Wojtka przywrócił Kamili równowagę, dodał otuchy. Już po chwili wytarła nos i uniosła głowę, żeby spojrzeć w kasztanowe oczy. Nigdy wcześniej nie widziała w nich tyle ciepła.

– Dziękuję – szepnęła. – I przepraszam, że się rozkleiłam.

– Już dobrze? – zapytał miękko, ścierając ostatnią łzę z bladego policzka.

– Uhm.

– Super, bo muszę usiąść.

– Pomogę ci...

– Nie, Mila, zostaw – zaprotestował, mocno opierając się na kuli. – Nikt nie będzie mnie niańczył. – Wrócił na łóżko i ułożył wygodnie nogę. Mięśnie drżały z wysiłku, ale nie zamierzał się nad sobą rozczulać. – I nie myśl już

o tym, bo nie warto.

– Łatwo powiedzieć.

– Po prostu zajmij się czymś innym. Jak będziesz chciała pogadać, zadzwoń. Bez względu na porę, najwyżej mnie obudzisz.

Skinieniem głowy odpowiedziała na pokrzepiający uśmiech. Potrzebowała takiej rozmowy, świadomości, że może komuś zaufać, zwierzyć się. Potrzebowała przyjaźni. Tylko propozycja Wojtka nie mogła zostać zrealizowana. Kamila nie miała jego numeru. Nie powiedziała o tym głośno, a on nie zapytał. Pozory wyglądały ładnie, detale nie zostały dopracowane i nikt nie chciał tego zmieniać.

3.

Powrót do szkoły po feriach był dla Kamili bardzo trudny. Najchętniej odkładałaby go w nieskończoność, nawet symulując chorobę, ale nie mogła. Doskonale wiedziała, że zaniedbywanie nauki przyniesie kolejne zaległości, które trudno będzie nadrobić. Zaciśnęła więc zęby i w poniedziałek rano zmusiła się do wyjścia z domu. Dobrze znana droga dłużyła się w nieskończoność. Była śliska, niewygodna, dziwnie męcząca. Zapach środków czystości w szatni wywołał grymas niechęci, a uczniowski gwar na korytarzu niemiło drażnił słuch. Kurz na blacie ławki irytował jak nigdy wcześniej. Starła go chusteczką i wydobyla z plecaka niezbędne przybory.

– Mogę usiąść?

Kamila uniosła głowę. Pytanie było tak niebywałe, że musiała się przesłyszeć. Ale nie. Obok ławki stała szczupła, niewysoka dziewczyna z dużymi, szarymi oczami, szerokim uśmiechem na ustach i ciemnym warkoczem na ramieniu.

– Jasne, siadaj.

– Gosia jestem.

– Kamila.

Nowo przybyła zajęła miejsce. Na żadne wyjaśnienia nie było już czasu, ponieważ nauczycielka rozpoczęła lekcję.

– Coś ty taka naburmuszona? – zapytała bez skrępowania na przerwie. – Jak nie chcesz ze mną siedzieć, to się przeniosę.

– Chcę. – Kamila położyła rękę na dłoni Gosi, jakby chciała ją zatrzymać.
– Po prostu mam gorszy dzień.

– Uhm... A konkretnie to chyba koszmary, bo wyglądasz, jakbyś

planowała morderstwo.

– Facet się na mnie wypiął.

– Na mnie wypina się każdego dnia i żyję. – Gosia włożyła zeszyt do torby.

– I wraz z kuzynem musiałam w środku roku zmieniać szkołę, bo ktoś doniósł dyrekcji, że handlujemy skrętami.

– A handlujecie?

– Bzdura! Wrobili nas. Pokażesz mi sklepik? Muszę coś zjeść.

Kamilę nieco oszołomił nadmiar informacji zdobytych na temat nowej koleżanki. Może bezpieczniejszym rozwiązaniem byłoby trzymanie się od niej z daleka, ale zamiast tego z bezwiedną niemal życzliwością odpowiadała na jej zaraźliwy uśmiech. Nie potrafiła jasno określić, dlaczego od razu, wręcz odruchowo polubiła Małgosię. Czy z powodu szorstkiej serdeczności, czy dystansu do świata i problemów, czy ujął ją jej skromny styl, a może zadziałał mechanizm pokrewieństwa dusz. W każdym razie dziewczęta po kilku godzinach znajomości były jak papużki nierozłączki.

Klasowa społeczność zdecydowanie odepchnęła Małgosię i jej kuzyna, Krystiana. Pomiędzy uczniami krążyły plotki, dotyczące przyczyn przeniesienia ich do nowej szkoły. Słowo „ćpun” gościło na wszystkich wargach, towarzyszyło każdej wizycie w szatni, każdemu przejściu przez korytarz, każdej chwili spędzanej bez nadzoru nauczycieli.

– Zrób coś, Marek – poprosiła Kamila. – Przecież to jest nie do wytrzymania!

– Próbowałem – wyznał chłopak, rozkładając ręce. – Tylko że jestem w tej klasie nikim. Gdyby nie matka, pewnie traktowaliby mnie tak samo.

Kamila zgrzytnęła zębami. Była bezradna, a atmosfera w klasie stawała się nie do zniesienia. Aż pewnego dnia bomba eksplodowała. Krystian mógł tolerować złośliwe uwagi pod własnym adresem, ale nie wytrzymał, kiedy Maciek pozwolił sobie na impertynencję względem Małgosi, a potem Kamili, która stanęła w jej obronie.

– Widzę, że ćpun się stawia! – wysyczał Maciek przez zaciśnięte zęby. Najchętniej rozprawiłby się z „nowym” od razu, ale wiedział, że bójka w szkole niosłaby za sobą poważne konsekwencje.

– Odczep się od Gośki – nakazał Krystian.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić.

– A ty nie będziesz jej obrażał!

Małgosia musiała przytrzymać kuzyna, żeby nie dopuścić do bijatyki.

– Chcesz mi zabronić? – Maciek wyraźnie drwił z zaperzonego Krystiana.
– Spróbuj! W piątek po lekcjach na polanie przy leśniczówce.

– Będę.

Drwiący uśmiech Maćka sprawił, że Kamila przestraszyła się nie na żarty. Tymczasem Krystian wyglądał na zadowolonego z takiego obrotu sprawy.

– Oni nie mogą się bić – oświadczyła Małgosia, niepewnie spoglądając na przyjaciółkę. – Jeden przekręt i wylatujemy ze szkoły.

– Też myślę, że lepiej by było załatwić to inaczej.

– Dziewczyny... – Przeniosły wzrok na Marka. – To się źle skończy. Powstrzymajcie Krystiana.

– Może ty spróbuj pogadać z Maćkiem? – zaproponowała Kamila.

– Nie posłucha mnie. Ale coś trzeba zrobić.

– Tyle to i my wiemy, panie mądralo – mruknęła niechętnie Małgosia. – Może jak sobie dadzą po pyskach, przejdzie im ochota na głupie żarty?

– Nie wiesz, co mówisz – zdenerwował się Marek. – To nie skończy się na daniu w pysk. Maciek przez pięć lat trenował boks. Wyrzucili go z klubu za bójki. Jego zwyczajnie kręci zadawanie bólu i sam ból też. To psychol.

W klasie zapanował spokój, zupełnie jakby nie dołączyli do niej nowi uczniowie, jakby nie było przepychanki z Maćkiem, jakby zdobywanie wiedzy pochłonęło wszystkich bez reszty. Czekano na ostateczną rozgrywkę, która miała nastąpić w piątek. Ponoć obstawiano, kto wygra i jak długo będzie trwała bójka. Sam Krystian natomiast zdawał się nie przejmować powagą sytuacji.

– Dajże spokój – odpowiadał niechętnie na prośby Małgosi, namawiającej go do załagodzenia konfliktu. – To trzeba załatwić raz na zawsze. Inaczej wejdą nam na głowę.

Dziewczyna szanowała decyzję kuzyna. Była nawet z niego dumna, że nie uległ panice i nie wycofał się. Postanowiła jednak coś zrobić; musiała przynajmniej spróbować zapobiec katastrofie.

– Pomóż mi – poprosiła Marka, wykorzystując okazję, że byli w szatni tylko we dwoje.

– Ale w czym? – zdziwił się chłopak.

– Znasz tych ludzi lepiej niż ja. Na pewno wiesz, jak wpłynąć na Maćka.

– Namów Krystiana, żeby nie przychodził. To jedyne rozwiązanie.

– No faktycznie. – Wydeła z pogardą usta. – Ty byś tak zrobił?

Chłopak znieruchomiał w trakcie zapinania kurtki. Rozwiązanie, które jeszcze przed chwilą wydało mu się jedynym słusznym, teraz straciło sens. Nie mógł przecież wyjść przed w sumie ładną i sympatyczną dziewczyną na tchórza. Zadziwiające, jeszcze nigdy nie czuł się tak zażenowany.

– Nie – bąknął. – Spróbuję coś zrobić.

Zdobył się nawet na pokrzepiający uśmiech, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób pomóc dziewczynie. Wiedział natomiast, że jeśli ktoś zdoła powstrzymać Maćka, to tylko Wojtek. Decyzja o odwiedzeniu przyjaciela nie należała do najłatwiejszych. Ostatnio kiepsko się dogadywali. Dla Małgosi i jej pełnego wdzięczności uśmiechu był jednak gotów na poświęcenie.

Całe szczęście, że Wojtek wyszedł już ze szpitala i nie trzeba było tłuc się do niego autobusami. Wystarczyło nieco zmienić codzienną trasę ze szkoły do domu.

– Cześć, Maras! – Wojtek uśmiechnął się szeroko i wykonał zapraszający gest głową. – Już myślałem, że zapomniałeś o inwalidzie.

– Cześć. Jak noga?

– Coraz lepiej. Chodź, napijemy się herbaty i opowiesz mi, co tam słychać w wielkim świecie.

Opierając się na kulach, przeszedł do kuchni i zajął miejsce za stołem. Odkręciwszy stojący na blacie termos, napełnił dwie szklanki parującym napojem.

– Herbata z termosu? – zdziwił się Marek.

– Przepraszam, że nie zrobię ci nic innego – powiedział. – Nie bardzo mam taką możliwość. Nie chcę się poparzyć. Mama szykuje mi wszystko rano, żebym jakoś wytrzymał do jej powrotu z pracy. Nawet obiad mam w termosiku.

– Wskazał na szerokie, pomarańczowe naczynie.

– Ej, spoko. Jesteś świetnie zorganizowany.

– Jakoś idzie. Nie narzekam. No, siadaj i opowiadaj. Co w szkole?

– No właśnie. – Marek niedbale zwinął kurtkę i położył na krześle. – Ja w tej sprawie.

– Coś się stało?

– Przyszło do nas dwoje nowych, Gosia i Krystian. – Usiadł naprzeciwko kolegi i wziął ciepłą szklankę w zmarznięte dłonie. – Ponoć czymś nielegalnym handlowali i ich wyrzucili z poprzedniej budy.

– To niezły bigos.

– Nasi plotkują i życ im nie dają. Maciek jest najgorszy. Zaczepia, dogryza, jest chamski.

– Jak to Maciek. – Wojtek uśmiechnął się lekko. Tęsknił za szkołą i wszystkim, co z nią związane.

– I wczoraj przegiął. Gosia chciała wyjść z klasy, a on rozmawiał z kimś w drzwiach. Na jej „przepraszam” odpowiedział: „Poczekaj, ćpunko, skończę, to cię przepuszczę. Jak będę chciał”. Walnęła go w pysk, aż huknęło.

– Ostra jest! Już mi się podoba.

Marek ugryzł się w język, żeby nie rzucić uszczypliwą uwagą. Nie chciał się kłócić. Nie teraz, kiedy potrzebował rady i wsparcia.

– Nerwy jej puściły i tyle – wytłumaczył. – A Maciek się wkurzył. Chwycił ją za rękę, szarpnął, przycisnął do ściany. Coś tam mówił, ale nie słyszałem. Podbiegła Kamila i zaczęła krzyczeć, że jak zaraz nie puści Goški, to zawoła nauczycielkę. Pociągnęła go za rękaw, a on odepchnął ją z taką siłą, że aż się przewróciła. Krystian to zobaczył i kopnął Maćka w tyłek.

– Miał rację. – Wojtek kiwnął z zadowoleniem głową. – A ty?

– Co ja?

– Byłeś tam i tylko się gapiłeś?

– A co miałem zrobić? – Marek przybrał minę bezradnego dziecka, od którego wymagano za dużo.

– Cokolwiek! – Wojtek uderzył pięścią w stół. – Siedziałeś i patrzyłeś, jak Maciek szarpie się z dziewczynami?

Marek po raz kolejny poczuł, że zalewa go fala wstydu. Przywykł do tego, że Maćkowi lepiej się nie stawiać. Wojtek mógł, ale nikt inny. Dlaczego przyjaciel wymagał rzeczy niemożliwych?

– Z tej awantury i tak już wynikły problemy – spróbował się usprawiedliwić. – Maciek ustawił się z Krystianem na piątek przed leśniczówką.

– Czyli będzie małe widowisko. Szkoda, że mnie to ominie.

– Wojtek, no! Czy ty nie rozumiesz, co mówię? Nie może dojść do bójki, bo Krystian jest na cenzurowanym. Jedna wpadka i wyleci z kolejnej szkoły. Zrób coś, wpłyn na Maćka...

– Sam wpłyn. – Wojtek wzruszył lekceważąco ramionami. – Ja mam nogę w gipsie i nie wiem, czy doczłapałbym się do leśniczówki po śniegu. Zresztą chyba przesadzasz. Nie będą się lać w szkole, więc konsekwencji z tego być nie powinno. Niech ten cały Krystian pokaże, na co go stać. Przynajmniej jest

facetem, nie to co ty.

Marek miał już zdecydowanie dość tej rozmowy i drwin kolegi. Wiele mógł znieść dla dobrej sprawy, ale Wojtek przesadził. Odstawił pustą szklankę na stół.

– A ty jesteś facetem, tak? – zapytał, uśmiechając się drwiąco. – Więc coś zrób, zamiast gadać.

– Nie mój problem. Dlaczego tak ci zależy na tym, żeby bronić cudzego tyłka? Ciebie nie będzie bolało.

– Nie przyjdiesz?

– Nie.

Marek wstał energicznie, zabrał swoje rzeczy i bez słowa wyszedł z domu przyjaciela. Nie wysiłał się nawet na pożegnanie. Jeszcze nikt nigdy nie obraził go tak jak dzisiaj Wojtek. Aż ręka świerzbiła, żeby mu zetrzeć z twarzy ten irytujący uśmiešek, pokazać, że więcej nie pozwoli sobie ubliżać. Ale nie. Użycie siły jest oznaką słabości i braku argumentów. Nie wspominając już o tym, że Wojtek zyskałby kolejny pretekst do kpin – że został pobity, kiedy miał nogę w gipsie.

Wojtek drgnął, usłyszawszy trzaśnięcie drzwi w przedpokoju. Doskonale wiedział, że potraktował Marka bezwzględnie, ale nie potrafił inaczej. Ciapowatość przyjaciela przekroczyła wszelkie granice i należało mu to dobitnie uświadomić. Nie ma, że boli.

Drżącymi rękoma sięgnął po kule. Wbrew pozorom wieści ze szkoły nie były mu obojętne. Obchodziło go wszystko, co miało jakikolwiek związek z Kamilą. Nie było mu obojętne to, że Maciek się z nią szarpał. Chyba właśnie dlatego tak ostro potraktował Marka. Bo on sam na pewno coś by zrobił, zapobiegłby...

Usiadł w fotelu, nogę ułożył na pufie i sięgnął po leżący na stole telefon. Zawahał się. Nigdy wcześniej nie dzwonił do Kamili. Ona do niego też nie. Pokonawszy dziwne onieśmienie, uniósł komórkę do ucha.

– Słucham? – Kamila odebrała dopiero po czwartym sygnale.

– Cześć.

– Cześć?

– Co tam u ciebie? Nie odzywasz się.

– Kto mówi?

Znieruchomiał na chwilę. Nie przyszło mu do głowy, że mogłaby nie mieć jego numeru, przecież wszyscy w klasie go znali. Jak widać ona nie.

– Wojtek – powiedział w końcu zachrypniętym głosem.

– A, nie poznałam cię. U mnie w porządku. Jak twoja noga?

– Mila, nic ci nie jest po tej akcji z Maćkiem?

– Już wiesz? Nie, tylko siniaka mi nabił. Problem to będzie w piątek, bo...

Nabił siniaka? Chłopak już nie słuchał dalszej relacji. Dla Kamili najważniejsze było ratowanie Krystiana, dla niego – spojrzenie w twarz palanta, który miał czelność użyć siły wobec dziewczyny.

Śnieg chrząścił pod stopami, mróz szczypał w policzki i uszy, dłonie zaciśnięte w pięści tkwiły w kieszeniach kurtki. Marek szedł przez las tak szybko, jak pozwalały na to usłane białym puchem ścieżki. Już wczoraj podjął decyzję, że nie dopuści do bójki Maćka z Krystianem. Był gotów na każde poświęcenie, byle ten durny Wojtek nigdy więcej nie odważył się z niego drwić. Miał nadzieję, że sprawę da się załatwić polubownie albo że zadziała szczęśliwy przypadek. O, Maciek dzisiaj nie przyszedł do szkoły. Może zapomniał lub leżał w łóżku z zapaleniem oskrzeli, lub...

Nic z tych rzeczy. Maciek siedział na pniu drzewa i czubkiem buta rysował na śniegu esy-floresy.

– Cześć, Maras! – zawołał, uśmiechając się promiennie. – Przyszedłeś popatrzeć na widowisko?

Marek stanął naprzeciwko kolegi i stuknął butem w pień, otrzepując śnieg. Spojrzał na przycupniętą na skraju polany leśniczówkę. Czy mu się wydawało, czy smuga dymu ulatywała z komina? Nieważne.

– Wojtek nie pozwoliłby ci się bić – powiedział niby od niechcenia.

– On o niczym nie wie i lepiej dla ciebie, żeby tak zostało.

– Grozisz mi?

– Nie, tylko ostrzegam. Bo ja do ciebie nic nie mam, ale jak mnie zdenerwujesz, to wiesz...

Skrzypienie śniegu przerwało potok słów. Chłopcy skierowali wzrok w stronę, z której dochodził nadchodzący.

– Może byście mi pomogli, co?

Wojtek stał w zaspie, bezradnie próbując się przemieścić przy pomocy kul. Koledzy podparli go z dwóch stron i podprowadzili do pnia.

– Co ty tu robisz? – zapytał Maciek, nie kryjąc niezadowolenia.

– Słyszałem, że szykuje się małe przedstawienie. – Wojtek usiadł wygodnie i wysunął przed siebie chorą nogę. – Nie mogłem tego przegapić. Z przyjemnością popatrzę, jak bijesz słabszego. To takie honorowe! Zupełnie jak szarpanina z dziewczynami...

– Nie wtrącaj się. To nie twoja sprawa.

– Jasne! Tylko sobie popatrzę. Jeśli pozwolisz, oczywiście.

– Są Gosia i Krystian – poinformował Marek.

Koledzy podążyli za jego wzrokiem. Od strony leśniczówki zbliżały się dwie osoby. Dziewczyna, żywo gestykułując, tłumaczyła coś chłopakowi, ale on tylko kręcił głową. W końcu przystanął, chwycił Małgosię w ramiona i mocno przytulił.

– Jednak przyszedł – powiedział z uznaniem Maciek. – A myślałem, że stchórzy.

Chłopak podszedł do pnia, przy którym zgromadzili się koledzy. Małgosia została kilka metrów z tyłu, ściskając w dłoni jego plecak.

– Zaczynamy, bo spieszymy się z siostrą na pociąg – rzekł Krystian.

– Nie wiem, czy po tym, co cię tu spotka, będziesz w stanie doczłapać się do stacji – ironizował Maciek.

– Wydaje mi się, że nie przyszliśmy tu na pogaduchy – oświadczył niewzruszonym tonem jego przeciwnik. – A może ty jesteś mocny tylko w gębie i w biciu kobiet?

Maciek roześmiał się głośno, serdecznie, zupełnie, jakby cała sytuacja niezwykle go bawiła.

– Zaraz to sprawdzisz na własnej skórze. Przygotuj się.

Zdjął rękawiczki i rozpiął suwak kurtki.

– Nie będziesz się bił – powiedział stanowczo Wojtek.

– A kto mi zabroni?

Po tym pytaniu polaną spowiła pełna napięcia cisza. Maciek i Wojtek mierzyli się spojrzeniami. Krystian splótł ręce na piersiach w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Marek nie odrywał oczu od stojącej z boku Małgosi.

– Ja – powiedział w końcu.

– Co? – zdziwił się Maciek.

– Ja ci zabraniam – powtórzył Marek pewnym głosem.

– Daj spokój, stary! Nie mieszaj się do tego. Nic do ciebie nie mam. Usiądź sobie wygodnie i patrz, jak...

Wojtek wstał, opierając się na kulach. Teraz był nieco wyższy od Maćka. Mógł mu spojrzeć prosto w oczy.

– A ja ci mówię, że nie będziesz się bił ani z Marasem, ani z Krystianem. Krystian poinformuje cię teraz, co powinieneś zrobić, a ty grzecznie wykonasz jego polecenia.

– Żaden ćpun nie będzie mi rozkazywał – odpowiedział hardo. – Odejdź. Wszyscy idźcie. Musimy to załatwić we dwóch.

– Dobrze – zgodził się Wojtek, wypuszczając z rąk kule. – Chcesz się bić, bij się ze mną.

Maciek z wrażenia wykonał dwa kroki do tyłu, skrzyżował ręce na piersiach i opuścił głowę. Nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować. Jeszcze był panem sytuacji, jeszcze mógł zgrywać chojraka, jeszcze on rozdawał karty, ale stracił pewność siebie, a w podświadomości błysnęło czerwone światło. Nie mógł przecież uderzyć kogoś z nogą w gipsie! Ośmieszyłby się.

Krystian podniósł kule i podał je Wojtkowi.

– Dzięki za dobre chęci, ale tego nie da się rozwiązać polubownie. On nie ma prawa obrażać moich przyjaciół.

– Cześć!

Wszyscy spojrzeli w stronę, z której dochodził głos. Drobna, szczupła postać w ciemnym ubraniu odcinała się od bieli śniegu.

– Cześć, Kamila – powiedział Maciek, a na jego twarzy pojawił się pełen satysfakcji uśmiech. – Miło cię widzieć. Spóźniłaś się.

– Ale zaczekaliście? – zapytała, przystając naprzeciwko kolegi.

– Jasne! Dla ciebie wszystko, księżniczko. Dzisiaj ty rozdajesz karty. I bardzo mi się to podoba. Czy masz coś do powiedzenia?

– Chyba powinniśmy już zakończyć tę awanturę.

– Co tylko zechcesz.

Nieoczekiwanie dla wszystkich Maciek podał Krystianowi rękę.

– Przepraszam, stary – powiedział. – Zagalopowałem się nieco. – Odszukał wzrokiem Małgosię, która na widok Kamili odważyła się podejść. – I ciebie też przepraszam. Taki ze mnie drań i chyba się nie zmienię. Ale od dziś będziecie mieli ze mną spokój. A sprawę z Kamilą już wyjaśniłem. Prawda?

Dziewczyna lekko skinęła głową.

– Idziemy? – zapytała.

– Tak.

Wzięła Maćka pod rękę i poszła z nim w kierunku lasu. Zebrani nad jeziorem uczniowie nie bardzo rozumieli, co się właściwie stało. W milczeniu patrzyli na postacie, znikające pomiędzy drzewami.

– Co teraz będzie? – zapytał Marek.

– Nic. – Wojtek wzruszył ramionami. – Pójdziemy do leśniczówki, zrobicie sobie gorącej herbaty, a później odstawicie mnie do domu.

– Boję się o Kamilę – szepnęła Gosia. – Była dzisiaj jakaś nieobecna, zdenerwowana. A tutaj też dziwnie się zachowywała. Widziałam ją. Stała za tamtym drzewem. Czy on może jej coś zrobić?

– Sama chciała, więc chyba wie, na co się zdecydowała – stwierdził Wojtek. Rozwój wydarzeń jego również zaskoczył, a widok dziewczyny odchodzącej z Maćkiem zabolął okrutnie. Właśnie to chciał ukryć pod maską szorstkiej obojętności.

Marek spiorunował przyjaciela spojrzeniem. Wyjął telefon i wybrał numer Kamili. Włączyła się poczta głosowa.

Kamila wróciła do domu bardzo późno. Na szczęście Maria była jeszcze w pracy, nie musiała więc jej niczego tłumaczyć. Nalała wody do wanny i zanurzyła się w pachnącej kąpieli. Ciepło przyjemnie rozluźniało mięśnie, kojąc roztrzęsione nerwy, przywracając uczucie spokoju i bezpieczeństwa. To nic, że musiała dzisiaj złamać zasady, to nic, że postąpiła niezgodnie z daną obietnicą, to nic, że skronie pulsowały bólem. Jutro będzie nowy dzień.

Wyszła z łazienki. Nie miała już nawet ochoty na czytanie przed snem. Wydobywszy z torebki komórkę, wsunęła się pod kołdrę. Musiała wykonać jeszcze jeden nadludzki wysiłek. Nacisnęła właściwy przycisk. Wyświetlacz błysnął, a już po chwili telefon zawibrował, informując o nadejściu esemesów. Niechętnie odczytała informacje o tym, że Małgosia, Krystian i Marek kilkakrotnie próbowali nawiązać połączenie. Nie miała im nic do powiedzenia. Dłużej zatrzymała ją wiadomość od Wojtka. „Mila, zadzwoń, jak tylko włączysz telefon. To bardzo ważne. Martwię się”. Wysłane kilka minut temu.

Wybrała numer, sama nie wiedząc, dlaczego uległa tej akurat prośbie. Chłopak odezwał się już po pierwszym sygnale.

– Mila?

– Dzwonię, bo chciałeś...

– Jak się czujesz?

– W porządku.

– Miluś, przepraszam.

– Co?

– Po prostu mi wybac, że musiałaś przez to przechodzić. A teraz śpij i nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Ręka zadrżała. Telefon wysunął się z palców, a piekący wstyd oblał policzki pąsem. Wojtek wiedział! No tak, mogła się spodziewać, że plotki szybko dotrą do znajomych. Maciek zapowiedział, że jej nie odpuści, że ją zniszczy. I uderzył w najczulszy punkt: zaczął od rozmowy z chłopakiem, którego zdanie miało dla Kamili ogromne znaczenie. Co mu powiedział? Nieważne. Na pewno odpowiednio ubarwił prawdę. Zresztą nieważne. Wojtek wiedział i nie potępił. Może nikt tego nie zrobi? Może nie ma sensu martwić się na zapas? Może sprawa rozejdzie się po kościach i szybko przyschnie? Ostatecznie, co takiego mógł wymyślić Maciek?

Rozdział VI. Byle do przodu

*Przyjaźń jest najlepszym lekarstwem na wszelkie nasze dolegliwości.
Ona kruszy bariery, które nas dzielą,
rozluźnia wszelkie ograniczające nas więzy,
przenika jak stare, dobre wino do wszystkich żył życia.
Jest poczuciem, że się nawzajem rozumiemy,
ufamy sobie i z całego serca życzymy sobie szczęścia.*

Henry van Dyke

1.

– Cześć. – Małgosia usiadła na ławce obok Kamili i bezceremonialnie wyjęła jej książkę z rąk. – Unikasz mnie?

Trwała długa przerwa. Szkolny gwar męczył bardziej niż zwykle. Uczniowie zdawali się ironicznie uśmiechać i szeptać coś, rzucając kąpiące spojrzenia. Ból głowy potęgował rozdrażnienie.

– Nie – odparła Kamila, nie patrząc na koleżankę. – Zwyczajnie źle się czuję.

– Chodzi o Maćka?

– Trochę tak. Aż nie chcę dociekać, co on nagadał, bo mi się robi niedobrze.

– To może powiedz, jak było naprawdę?

– Nie chcę.

– Rozumiem. – Małgosia chwyciła koleżankę za rękę. – I tak nie wierzę w żadne jego słowo. Ani ja, ani Krystian. Pamiętaj o tym.

– Dziękuję.

– Pójdiesz ze mną po lekcjach do świetlicy?

– Jakiej świetlicy?

– Socjoterapeutycznej. Jestem tam wolontariuszką. Na dziś przygotowaliśmy dla dzieciaków pokaz tańca, połączony z nauką. Będzie Krystian, poznasz mojego brata i Bartka...

– Ale po co? – Kamila wzruszyła ramionami. Wolałaby zaszyć się w swoim pokoju, schować przed drwinami, obmowami, nawet popłakać

w samotności.

– Po to, żebyś przestała o tym myśleć. Są gorsze sprawy niż głupie plotki. Te dzieciaki ze świetlicy potrzebują uwagi i troski. Pracujesz w teatrze, na pewno mogłabyś im wiele opowiedzieć, a może sama poprowadzić warsztaty. O, na przykład przygotować z nimi coś o Wielkanocy. Ludzie potrzebują ciebie, a nie twoich rozterek.

Wąski, mały korytarz, a w nim dwa rzędy szafek, pełne kurtek, czapek oraz innych części wierzchniej garderoby. Na podłodze buty. Jedne równo ustawione, inne rozrzucone. Zapach kurzu i przypiekanego sera. Odgłosy zabawy, dochodzące z pomieszczenia znajdującego się za lekko uchylonymi drzwiami. Kamila przystanęła w progu i niepewnie spojrzała na Małgosię.

– Może jednak powinnam wrócić? – zwątpiła.

– Oczywiście, że nie powinnaś.

– Cześć, dziewczyno! – Szczupła brunetka energicznie otworzyła drzwi i lekkim krokiem przemierzyła korytarz. Cmoknęła Małgosię w policzek, z rozpędu przywitała się też z Kamilą. – Krystian jest?

– Na dole.

– I dobrze. Lecę! – Zbiegła po schodach, zostawiając po sobie wspomnienie ciepłego uśmiechu.

– Kto to był? – Kamila nie mogła oderwać wzroku od zakrętu, za którym zniknęła nieznajoma. Było w niej coś niezwykle serdecznego i radosnego.

– Iza.

– Dziewczyna Krystiana?

– Dziewczyna mojego brata. Idziemy, bo oni tam coś przypalają. – Popchnęła Kamilę w stronę drzwi, zza których dochodziły odgłosy zabawy.

Dziewczęta otoczyła dziecięca wrzawa oraz bardzo intensywny zapach sera. Małgosia pewnym krokiem weszła do kuchni i ogarnęła wzrokiem pomieszczenie, żeby zorientować się w sytuacji. Wprawnym ruchem otworzyła okno.

– Gośka! No w końcu! – Długowłosa blondyn, wyjmujący brytfankę z piekarnika, odetchnął z ulgą. – Co tak późno?

– Jestem pięć minut przed czasem, więc daruj sobie – mruknęła, odbierając mu blaszkę. – Przypaliłeś zapiekanekę. Za wysoka temperatura.

– Teraz to i ja wiem.

– Zeskrobiemy i będzie dobrze.

– Ciociu, pomożesz mi zrobić ćwiczenie z polskiego? – zapytała jakaś dziewczynka, oplatając chudymi rękami uda Małgosi.

– Zobacz, Oliwko, tam stoi ciocia Kamila. Ona ci pomoże.

Dziewczynka ufnie spojrzała na dziewczynę.

– Pomożesz? – zapytała.

– Jasne, chodź.

Kamila nigdy by nie przypuszczała, że po lekcjach przyjdzie jej odrabiać ćwiczenia z czwartoklasistką, a później jeść przypaloną zapiekankę, popijaną niesłodkim cienkim napojem, który tylko z nazwy był herbatą.

– Przepraszam, że cię zostawiłam – szepnęła Gosia, gdy ustawione w pary dzieci pod nadzorem blondyna schodziły do sali widowiskowej. – Ale sama widziałaś, co się tu działo.

– Jest dobrze. Naprawdę.

– To idziemy.

Płynąca z głośników muzyka nakazała dzieciakom zamknąć usta, a tańcząca para skupiała uwagę wszystkich zebranych. Kamila wprost nie mogła oderwać wzroku od dziewczyny, która w barwnej, zwiewnej sukience niemal fruwała nad ziemią, oraz od towarzyszącego jej chłopaka. Z trudem rozpoznała w nim Krystiana, który w szkole sprawiał wrażenie nieco ociężałego i ślamazarnego. Teraz był smukłym, eleganckim młodzieńcem, próbującym okiełznać fruwającą partnerkę, pochwycić ją niby motyla. Szybko jednak zrezygnował z tego zamiaru. Pozwolił, aby porwała go muzyka. Zawirowali razem, a śpiew ptaków, płynący z głośników, przywołał wyobrażenie gorącego popołudnia na zielonej, pełnej kwiatów łące...

Owacje wyrwały Kamilę z marzeń.

– Niesamowite – szepnęła.

– Prawda? – Gosia mrugnęła do koleżanki. – Chyba warto było przyjść dla takiego widowiska?

– Warto.

– Kamuś, chodź! – Krystian chwycił dziewczynę za rękę. – Pomożesz nam.

– Ale...

– Spokojnie. – Objął koleżankę w talii. – Lewa ręka na moim ramieniu, oprzyj łokieć, prawą rozluźnij. Luźno nadgarstek, bo nie będę miał nad tobą kontroli. A teraz słuchaj Izy i zaufaj mi.

– Ja nie powinnam tańczyć, bo...

– Skup się.

Zagryzła wargi. Iza tłumaczyła, w jaki sposób należy tańczyć cha-chę, a Kamila, lekko oparta na ramieniu kolegi, posłusznie wykonywała polecenia, aby po chwili zawirować w rytm muzyki. I naraz nic się liczyło, prócz tańca oraz wypowiedzianych szeptem sugestii partnera. Na policzki wypłynął rumieniec, serce zatrzepotało radośnie. Była wolna, lekka...

– No! – Krystian przyłożył do ust rękę Kamili. – Po co się tak bałaś? Musimy to powtórzyć na spokojnie, bo chyba właśnie odkryłem nowy talent.

– Przesadzasz.

– Izka, powiedz jej!

– Mówię. – Dziewczyna, uśmiechając się, wygładziła palcem zmarszczone czoło Kamili. – Bo ty pewnie kiedyś tańczyłaś, co?

– Dawno i nieprawda.

– Prawda, bo widać.

Nieznany Kamili chłopak podszedł do Izy i cmoknął ją w czoło.

– Ślicznie było – szepnął. Podał jej trzymany w ręku kubek. – Proszę.

– Dla nas nie przyniosłeś? Typowe! – burknął Krystian.

– Sam nie możesz ruszyć tyłka?

– Prosiłam, żebyście się nie kłócili. – Iza zmarszczyła groźnie brwi.

– Dla was ja przyniosłam. – Małgosia podała po kubku Kamili i Krystianowi. – Kamuś, to właśnie mój brat. – Wskazała chłopaka, który przytulał Izę.

– Cześć, Łukasz jestem.

– Kamila.

– To co robimy z tak miłym wieczorem? – zapytał Łukasz. – Dzieciaki się pomału rozchodzą, więc chyba możemy zostawić Bartka z Anią na posterunku i emigrować do Jagódki.

– Wy możecie, Gośkę jeszcze czekają włoskie czasowniki – oświadczył blondyn odpowiedzialny za przypalenie zapiekanki.

– Hej, odpuść jej dzisiaj – poprosił Łukasz.

– A niby z jakiej okazji?

– Bartek... – Małgosia zrobiła błagalną minę, ale chłopak pozostał nieugięty.

– Umówiliśmy się, tak? – zapytał ostro. – To nie dyskutuj.

– Nie mam siły.

– Tak to nie ma. Kwadrans i wychodzimy. Możesz wybrać: Jagódka albo

u ciebie.

– Nie mam dziś ochoty – próbowała się wykręcić.

– A jak będziesz się porozumiewać we Włoszech?

– Po angielsku.

– Ambitny plan, tylko ten język kuleje u ciebie bardziej niż włoski.

Odwrócił się na pięcie i poszedł uspokoić szarpiących się chłopców.

– Pogadam z nim – zaproponował Łukasz.

– Nie trzeba – mruknęła.

Bartek zawsze potrafił jej dopiec. Chyba za punkt honoru postawił sobie ciągle udowadnianie, że jest mądrzejszy. Nie lubiła angielskiego. Niemal cudem zdała do drugiej klasy, co nie znaczy, że była lingwistycznym beztalenciem. Biegłe posługiwała się rosyjskim. Od trzech miesięcy zgłębiała tajniki włoskiego, a już potrafiła poprawnie sklecić kilka zdań. Cieszyła się z tego, bo w lipcu jechała jako wychowawca na kolonie do Włoch. Musiała znać podstawy języka, więc poprosiła kolegę o pomoc. Lepszego nauczyciela nie mogłaby znaleźć. Chłopak od dzieciństwa większość wakacji i ferii spędzał u rodziny we Włoszech. Doskonale znał nie tylko język literacki; używał też mowy potocznej, która umożliwiała swobodną rozmowę. Był sumienny, odpowiedzialny i kompetentny. Poza tym sama jego obecność motywowała Małgosię do wytężonej nauki. Nie lubiła, kiedy Bartek kręcił z niezadowoleniem głową albo wzdychał ciężko, po czym od nowa tłumaczył omówione zagadnienie. Robił to cierpliwie, spokojnie, ale cień zawodu w jego oczach znaczył więcej niż ostre słowa. Dziewczyna ze wszystkich sił starała się go zadowolić, chciała usłyszeć chociaż jedno słowo pochwały. Nieraz jednak żałowała, że nie poszła na kurs językowy. Na przykład teraz. Obcy nauczyciel nie rzucałby złośliwymi uwagami.

– To może umówimy się na sobotę, co? – zapytała Iza, żeby jakoś wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Nie przejmujcie się mną.

– Właściwie to ja muszę wracać do domu – skorzystała z okazji Kamila. – Nie obrażcie się. Miło było was poznać.

– Odprowadzę cię – zaproponował Krystian.

Sprawa została załagodzona, spotkanie odwołano, każdy wrócił do swojej codzienności. Pozostał jednak żal i pamięć o zgrzycie, który nigdy nie powinien się wydarzyć.

– O co chodzi z tym Bartkiem? – zapytała Kamila, gdy wyszli na spowitą

w mroku ulicę. – Dlaczego tak się przejechał po Gosi?

– Między nimi jest jakiś dziwny układ. Nie wnिकam.

– Dziękuję za dziś.

– Kamuś, to była przyjemność. A Iza ma rację, powinnaś tańczyć.

Małgosia zapięła kurtkę pod samą szyję, zamotała szalik i wcisnęła na głowę czapkę. Nie przejmowała się, że wygląda jak otulony workiem toból. Była wściekła, zepsuto jej wieczór, nie miała zamiaru jeszcze zmarznąć.

– Idziemy? – zapytała, nie patrząc na Bartka.

– Tak. – Nie zważając na naburmuszoną minę dziewczyny, zamknął świetlicę, oddał klucz na portierni i dopiero wtedy skierował się do wyjścia.

– To gdzie idziemy?

– Do Jagódki.

– Proszę bardzo.

Nie rozmawiali. Szli obok siebie, każde zajęte własnymi myślami. Oprzytomnieli dopiero, kiedy zmarzniętych policzków dotknęło kawiarniane ciepło.

– Napijesz się czegoś? – zapytał Bartek, gdy zajęli miejsce przy stoliku.

– Dziękuję.

Zbadała wzrokiem otoczenie. Dobrze, że siedzieli w kącie, za filarem. Nikt nie będzie słyszał, że przyszli tu, żeby się uczyć. Od kilku miesięcy Małgosia była mistrzynią pozorów. Udawała, że spotkania nad włoską gramatyką są randkami, chociaż wiedziała, że nigdy się nimi nie staną. Najtrudniej oszukać samą siebie.

– Nie bocz się. Może jakieś ciacho, co?

– Nie, nic nie chcę – odparła. – Boli mnie głowa.

Zamówił gorącą herbatę i eklerkę. Wiedział, że dziewczyna uwielbia te ciastka, a chciał jej poprawić humor. Miał trochę wyrzutów sumienia, że pozbawił ją przyjemności spędzenia wieczoru z przyjaciółmi. Mógł odpuścić. Trudno, stało się.

– Jedz – nakazał. – I od tej pory mówisz tylko po włosku – dodał, widząc, że Małgosia zamierza rzucić ciętą ripostę.

Zamknęła usta w pół słowa. Niech mu będzie, proszę bardzo. Zamieszała w szklance, ugryzła ciastko. Czekwała na konkretne pytania. Wiedziała, że Bartek jest starannie przygotowany i żadna prowizorka nie wchodziła w grę.

Tymczasem mogła udawać, że jest w kawiarni ze swoim chłopakiem, któremu na niej zależy. O, podjął grę, bo uśmiechnął się nieznacznie. „Pewnie myśli, że nie umiem powiedzieć po włosku, żeby wsadził sobie tę eklerkę głęboko”. Umiała. Nie chciało jej się wysilać.

Do stolika podeszła nieznajoma dziewczyna.

– Mogę usiąść? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, zajęła wolne krzesło.

Małgosia obrzuciła ją niechętnym spojrzeniem, aby stwierdzić z przykrością, że była bardzo ładna. Długie, ciemne włosy opadały na ramiona i plecy. Duże brązowe oczy okalały długie rzęsy. Dopasowany strój podkreślał kobiece kształty, a dekolt kusząco odsłaniał krągłość piersi.

„Jeszcze tego mi trzeba” – pomyślała Małgosia.

– Nie ma wolnych stolików? – zapytała na głos. – Jesteśmy zajęci.

Bartek przeniósł wzrok na nieznajomą i z wrażenia niemal wylał sobie na spodnie herbatę. Spodobała mu się. Nawet nie próbował tego ukryć.

– Daj spokój, Gośka – powiedział. – Przecież boli cię głowa.

Koniec gry. Koniec złudzeń. Witaj, szara codzienności!

– Czyli mogę zostać? – upewniła się dziewczyna. – Super! Mam na imię Karina. Jak was tu zobaczyłam, od razu pomyślałam, że...

Paplała dużo, nie dbając, czy ktoś jej słucha. Patrzyła wyłącznie na Bartka. Robiła wszystko, żeby go skokietować, i osiągnęła cel. Zafascynowany urodą i wdziękiem Kariny, a konkretniej jej dekoltem i trzepotem rzęs, zapomniał nawet o herbacie. Na Małgosię zupełnie nie zwracał uwagi. Nie zauważył, kiedy wyszła, zostawiając na talerzyku niedojedzone ciastko. Powtórka włoskich słówek nie była jednak najważniejsza.

2.

Ocieplenie przyszło nagle. Po prostu rano termometr wskazał plus jeden, a z zasnutego chmurami nieba sączyła się śnieżno-deszczowa substancja, tworząc na chodnikach błoto i kałuże. Szara plucha doskonale odzwierciedlała nastrój Małgosi. Współgrała z kolorem oczu, w których również zapanowała odwilż. Łzy rozmywały ostrość spojrzenia, szczypały pod powiekami, grożąc wypłynięciem. Złość była jedyną siłą, mogącą je zatrzymać. Dziewczyna energicznie otworzyła drzwi szatniowego boks, mocno szarpnęła wiecznik zacinający się suwak kurtki i ignorując istnienie wieszaka, cisnęła w kąt przemoczone ubranie. Przyszedł czas na zmianę butów. Sznurówki od

tenisówek były zbyt słabe, nie wytrzymały mocnego pociągnięcia.

– Jasna cholera! – zakląła Małgosia.

– Cześć.

Uniosła głowę. W drzwiach boks stał Wojtek, wsparty na kulach.

– Cześć – mruknęła niechętnie.

– Coś ty taka wściekła?

– Sznurówka mi pękła, to co, mam się ładnie uśmiechać?

– No wiesz, gdybyś...

– Daruj sobie – przerwała mu w pół słowa. – I tak nic nie zrozumiesz, jesteś facetem. Kawalek cycka na wierzchu, maślane oczka i tona kosmetyków wystarczą, żeby cię usatysfakcjonować. Ewentualne braki wypełni fantazja.

– Co?

– Wiadro.

Chwyciła torbę i szybkim krokiem opuściła szatnię. Rozejrzała się po korytarzu w poszukiwaniu Kamili. Siedziała pod oknem, zawzięcie smarując coś w zeszycie.

– Co robisz?

– Matnę odrabiam – mruknęła niechętnie Kamila. – Myślałam, że mi Marek pomoże, ale...

– Ale co? – Usiadła obok koleżanki.

– Roześmiał się jakoś dziwnie i poszedł. Wiesz, Maciek działa.

– Zostawisz to tak?

– A co mam zrobić? – Kamila uniosła głowę i spojrzała na przyjaciółkę. Blade policzki, zapuchnięte oczy, otoczone ciemnymi obwódkami, oraz suche usta przywołały wspomnienie wczorajszego popołudnia. – Powiedz lepiej, co z tobą.

– Nic, normalnie.

– Taaak. Słuchaj, o co chodzi z tym Bartkiem? Dlaczego cię tak przeczłgał?

– On tak ma. – Małgosia wzruszyła ramionami, próbując zbagatelizować sprawę.

– Kochasz go?

– Przestań.

– Kochasz, prawda? I dlatego na tyle mu pozwalasz. Inny już by oberwał.

– Kamuś, ja... – Zawiesiła głos, próbując dobrać odpowiednie słowa. Nie mogła przecież wyznać, że od dłuższego czasu ukradkiem podkochiwała się

w mieszkającym na parterze koledze brata. Wiedziała, że to uczucie nie ma szans. Bartek traktował ją jak kumpla, może nawet jak młodszą siostrę. Mieszkał sam. Rodzinę miał za miastem, a Małgosia i Łukasz trochę mu ją zastępowali. Spędzali razem niedzielne popołudnia, dzielili wspólne zainteresowania. I już.

Bartek był wielbicielem kobiet, dlatego często je zmieniał, by móc wielbić ich jak najwięcej. Wbrew sugestiom rodziny nie zamierzał się ustatkować, żadnej nie traktował poważnie. Mawiał, że jeszcze nie spotkał takiej, która ogłupiłaby go na tyle, by pozostał jej wierny dłużej niż miesiąc.

– Kocham – przyznała w odpowiedzi na wyczekujące spojrzenie Kamili. – Nic nie mów. Wiem, że to beznadziejne. Powiedz lepiej, jak ci się w świetlicy podobało? Bierzymy się za ten teatr z dziećmiakami?

– A może nie powinnaś przebywać w jego obecności? To masochizm.

– Ja tam przychodzę dla dziećmiaków, nie dla Bartka. Więc?

– Dobrze. Ostatnio gramy naszą *Zemstę* tylko trzy, cztery razy w miesiącu, więc dam radę.

Pojawienie się Wojtka spowodowało w klasie niemałe poruszenie. Każdy chciał się przywitać z długo niewidzianym kolegą, wypytać, kiedy wróci do formy, zasypać nowinkami z życia szkolnego. Jakież było zdziwienie uczniów, kiedy chłopak zbył ich krótkim „za chwilę” i podszedł do stojącej z boku Kamili.

– Cześć – powiedział, dotykając ustami jej czoła.

– Cześć – bąknęła. Zachowanie Wojtka wprowadziło ją w zakłopotanie. – Gdzie masz gips?

– Wczoraj mi zdjęli.

– Teraz chyba będzie już tylko lepiej, co?

– Mam nadzieję. A ty jak się trzymasz?

– W porządku. – Wysiliła się na uśmiech. Nie mogła przecież marudzić, że rozpuszczone przez Maćka plotki niezwykle utrudniają jej życie. Brała to pod uwagę.

– Dobrze. Dzielna jesteś. Idziemy? – zapytał, ponieważ nauczycielka właśnie otworzyła drzwi klasy.

Małgosia spojrzała pytająco na siadającą obok niej Kamilę. Niewiele jednak wyczytała z jej kamiennej twarzy i spokojnych ruchów, gdy układała

przybory szkolne na blacie ławki.

Wojtek tymczasem zajął swoje stałe miejsce obok Marka.

– Gadałeś z Kamilą? – zagadnął, kładąc kule na podłodze.

– A o czym? – zdziwił się Marek.

– O was.

– Nie ma żadnych nas. I nie będzie. Nie chcę tego, czego używał Maciek.

– Co?

– Nic nie wiesz? Całowała się z Maćkiem. Obmacywał ją jak pierwszą lepszą. Cała szkoła o tym huczy.

– Tylko szmaciarz uwierzyłby w coś takiego – mruknął Wojtek, spoglądając na plecy pochylonej nad zeszytem Kamili.

– Wszyscy o tym mówią, a ona nie zaprzecza.

– I dlatego to prawda, tak? Większej głupoty w życiu nie słyszałem!

– Wojtek, co to za rozmowy? – upomniała nauczycielka. – Masz coś ważnego do powiedzenia?

– Tak, pani profesor. Chciałem zgłosić nieprzygotowanie. Jeszcze nie nadrobiłem zaległości.

– To teraz uważaj i daj innym się uczyć.

Wojtek skinął głową i otworzył zeszyt od matematyki. Faktycznie, czuł się trochę jak z innej bajki, a wściekłość dodatkowo potęgowała kłopoty z koncentracją.

– Wiesz, jak było? – zapytał, gdy tylko usłyszał dzwonek na przerwę. – Mila ustaliła z Maćkiem, że spędzi z nim wieczór i że go pocałuje. Poszli do pubu. Nawet piwa im nie sprzedano, bo nie mieli dowodów. Więc posiedzieli przy coli. Maciek zarobił po łapach, gdy tylko spróbował jej dotknąć, a zamiast buziaka dostał cmoknięcie w policzek.

– Co? – Marek znieruchomiał z ręką uniesioną nad plecakiem.

– Zrobiła to, czego my nie potrafiliśmy, i pokazała niemałą klasę. Maciek był wściekły, gdy mi o tym opowiadał. Ratuje się roznoszeniem plotek, ale nie ma odwagi drwić z Kamili wprost. Szanuje ją, bo mu porządnie utarła nosa.

– Wojtek, ja...

– Nic już nie mów.

3.

Praca z dziećmi w świetlicy socjoterapeutycznej przynosiła Kamili wiele satysfakcji. Dziewczyna czuła, że jest komuś potrzebna, że dzieci jej ufają, że

robi dla nich coś dobrego. I miała obok Małgosię. Wspólne cele umacniały ich przyjaźń, budowały więź, dzięki której przeciwności stawały się łatwiejsze do pokonania, a świat radośniejszy i miłszy, pomimo szarugi towarzyszącej przedwiośniu.

Maria z przyjemnością patrzyła na bratanicę, na jej uśmiech, rumieniec ożywienia zdobiący policzki, radość goszczącą w oczach.

„W końcu zachowuje się i wygląda jak dziewczęta w jej wieku” – pomyślała, obserwując przez okno Kamilę wracającą do domu w towarzystwie przyjaciół. Wiedziała, że za chwilę przedpokój wypełni się gwarem, w mieszkaniu zapanuje przyjemny ruch, a na stole pojawią się szklanki z herbatą. Dobrze. Tak miało być. Poszła do kuchni i nalała wody do czajnika.

Zbliżała się Wielkanoc. Świat zastygł w oczekiwaniu na wiosnę, a Małgosia z Kamilą coraz intensywniej pracowały nad świetlicowym przedstawieniem. Same sobie utrudniły zadanie, bo chciały stworzyć coś niebanalnego, jedyne w swoim rodzaju. Razem napisały scenariusz, wymyśliły, jak powinny wyglądać stroje oraz narysowały projekt scenografii.

Ku zadowoleniu Małgosi i zdziwieniu Kamili, Bartek czynnie włączył się w przygotowania. Wspierał dziewczęta niemal na każdym kroku, uciszając zbyt krzykliwych wychowanków, doradzając w kwestiach spornych. Okazał się wręcz niezastąpiony w sprawach związanych z przygotowaniem dekoracji. Potrafił zrealizować nawet najbardziej szalone pomysły. Wyłowił z grupy kilka uzdolnionych plastycznie osób i przy ich pomocy stworzył niemal profesjonalną scenografię.

– Dobry jest – stwierdziła Kamila.

– Prawda? – Małgosia uśmiechnęła się z satysfakcją. – A zobaczysz, jaką nam robi oprawę muzyczną.

– Skąd wiesz, że...

– Wiem. Jest perfekcjonistą, a muzyka i prace plastyczne to pasje.

Bartek sporo wymagał od innych, ale sobie również bardzo wysoko stawiał poprzeczkę. Zaimponował Kamili cierpliwością, którą włożył w przygotowanie wokalne dzieci, okazując im przy tym wiele cierpliwości i zrozumienia.

– I tak go nie lubię – powiedziała jednak po udanej próbie. Dziewczęta sprzątały w sali widowiskowej, a Bartek próbował nakłonić wychowanków do odrabiania lekcji.

– Kamuś, ale dlaczego? – zdziwiła się Małgosia. – Przecież to naprawdę świetny facet.

– Krzywdzi cię.

– Nie krzywdzi. Jest przyjacielem. Zawsze mogę liczyć na jego pomoc. Bywa szorstki, ale tylko kiedy zasłużę i...

– A na obojętność zasłużyłaś?

– Nie jestem widocznie dość dobra.

– Pleciesz bzdury, aż żal słuchać! – Kamila tupnęła nogą z oburzenia. – Karmisz się złudzeniami, a on to wykorzystuje. Wiem, bo mnie Tomek potraktował podobnie. – Pogodziła się już z zawodem miłosnym, mogła o nim mówić na spokojnie. Czasem tylko było jej przykro, kiedy widziała zakochanych w parku czy kawiarni.

– To co mam zrobić? – Małgosia rozłożyła bezradnie ręce.

– Ogranicz kontakt.

– Nie mogę. – Opuściła głowę, udając, że zamiatanie pochłania całą jej uwagę. – Muszę go widzieć, muszę słyszeć jego głos, muszę udawać, bo inaczej się rozsypię.

– Stał się twoją obsesją. Ma cię na każde skinienie, nawet nie musi być miły. Jeżeli odejdziesz, to albo zatęskni, albo nie zauważy twojego braku i wreszcie zrozumiesz, że to bez sensu.

– Nie mam dość siły.

– Pomogę ci.

Kamila lekkim krokiem weszła do kuchni, porwała z talerza kawałek pozostałego ze świąt sernika i niczym przeciąg pomknęła do przedpokoju.

– Dokąd ty się tak spieszysz? – zapytała Maria, wychodząc za bratanicą. – Usiądź, zjedz spokojnie, bo się zakrztusisz.

– Do świetlicy. – Przełknęła kęs ciasta. – Dziś ostatnia próba, a w piątek przedstawienie. – Owinęła szyję cienkim szalikiem. – Zaprosiłam Piotra. Ma być burmistrz, jakaś pani z ministerstwa i ktoś z domu kultury... Ciociu, a ty przyjdiesz? Proszę.

– Postaram się – odparła Maria, z zadowoleniem patrząc na ożywioną twarz bratanicy. Chciałaby zawsze widzieć ją tak radosną, pełną nadziei i energii. – Ale stawiam jeden warunek.

– A jaki?

- Jutro idziemy na zakupy. Musimy kupić kilka nowych rzeczy.
- Ja niczego nie potrzebuję, ale chętnie ci potowarzyszę.
- Potrzebujesz, Kamuś. Nie obraż się, ale prawie wszystkie twoje ciuchy trzeba by wyrzucić albo oddać biednym.
- Mam ten śliczny sweterek, który kupiłaś mi na Gwiazdkę.
- Gruby jak na Syberię i z golfem po uszy. Wiosna idzie. Ty zaś paskudnie wyglądasz w czerni. Młoda dziewczyna nie powinna...
- Zupełnie jakbym słyszała Piotra – mruknęła niechętnie Kamila, przewieszając torebkę przez ramię.
- Jak dwie osoby ci mówią to samo, powinnaś wyciągnąć wnioski, a nie marudzić. Żałoba się skończyła. Nie musisz jej demonstrować do końca życia. Ważne, żebyś pamiętała.
- Ciociu...
- Wychodzimy jutro o jedenastej. I nie dyskutuj, smarkulo! – dodała, przybierając groźną minę.
- Dobrze, już! – Cmoknęła Marię w policzek. – Idę. Wrócę po siedemnastej.

Była bardzo sceptycznie nastawiona do sobotniego szaleństwa w galerii handlowej. Próbowwała się wymówić; symulowała nawet przeziębienie, ale Maria nie dała się nabrać i postawiła na swoim.

Zakup cienkiej, chabrowej tuniki z delikatnymi falbankami przy rękawach nastroił dziewczynę optymistycznie. A kiedy dobrała do niej grafitowe spodnie w cienkie, białe paski, stwierdziła, że może naprawdę warto wymienić zawartość szafy. Punktem kulminacyjnym sobotniego popołudnia była jednak wizyta u fryzjera.

– Teraz możemy iść na to twoje przedstawienie – powiedziała Maria, stając za przegładającą się w lustrze bratanicą. Obie wyglądały młodo, radośnie i miały wiosnę w oczach.

Dzień był słoneczny, pachniał budzącą się do życia ziemią, rozbrzmiewał głosami ptaków. Małgosia uniosła głowę i spojrzała w niebo, po którym płynęły białe obłoki. To nic, że wiatr targał włosy, a apaszka musiała chronić szyję przed chłodem popołudnia. Dzień niósł zapowiedź nadciągającego ocieplenia. Energicznie popchnęła drzwi świetlicy. Szybko pozbyła się płaszcza i weszła do sali widowiskowej, sprawdzając, jak przebiegają

ostatnie przygotowania do przedstawienia. Bartek miał ich dopilnować, więc nie wątpiła, że wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. W końcu był perfekcjonistą.

– O cholera... – jęknęła, przystając na progu.

Krzesła stały w kącie, zamiast tworzyć przed sceną równe rzędy, firanki leżały na podłodze, a na scenie baraszkowało dwóch chłopców, bawiąc się dekoracją. Tymczasem Bartek stał na środku pomieszczenia i w najlepsze flirtował z jakimiś dziewczynami. Małgosia, rozpoznawszy w jednej z nich Karinę, aż syknęła ze złości. Dobry nastrój prysnął jak mydlana bańka, uśmiech zniknął, a wcześniejszy optymizm zamienił się w zniechęcenie. Jak to możliwe, że chłopak tak sumienny, poukładany i wymagający odpowiedzialności od wszystkich dookoła, zaniedbuje swoje obowiązki z powodu byle panny?

– Bartek! – zawołała dziewczyna. – Co tu się dzieje, do diabła?

Spojrzał na nią. Uśmiechnięty, zadowolony, wciąż nieświadomy, że o czymś zapomniał.

– O, Gośka – powiedział. – Chodź do nas.

– Nie mam czasu na plotki – mruknęła. – Przecież tu nic nie jest przygotowane!

Nie usłyszał wyrzutu w jej głosie. Spokojnie wrócił do przerwanej rozmowy. Małgosia kopnęła stojące na środku krzesło, powodując straszny rumor. Poskutkowało. Bartek odwrócił się w jej stronę.

– Czy mi się wydaje, czy jesteś zdenerwowana? – Kamila położyła rękę na ramieniu przyjaciółki.

– Jestem wściekła! – wybuchnęła Małgosia. – Za pół godziny zaczyna się przedstawienie, a tu totalny bałagan. Pan wychowawca chyba zapomniał, że jest w pracy, a nie na balu charytatywnym.

– Przesadzasz – warknął groźnie Bartek, ciskając oczami pioruny.

Dziewczyna podważyła jego autorytet, skrytykowała przy innych, co gorsza przy wychowankach, a tego robić nie wolno, nigdy, pod żadnym pozorem. Osobiste porachunki należy załatwiać na osobności. Małgosia nie potrafiła jednak opanować złości. Obawiała się, że wysiłek, który włożyły z Kamilą w przygotowanie spektaklu, pójdzie na marne, bo chłopak wolał flirciki z Kariną. Dopiero to było nieprofesjonalne, głupie i nieodpowiedzialne!

– Ja przesadzam? – zapytała, patrząc Bartkowi w oczy. Miała ochotę uraczyć go kilkoma gorzkimi słowami, odwrócić się na pięcie, opuścić

światlicę i nigdy więcej nie wrócić. Pewnie by to zrobiła, gdyby nie Kamila.

– Spokojnie. Zaraz wszystko ogarniemy.

– Nie zdążymy – denerwowała się Gosia.

– Zdążymy, dzieciaki nam pomogą. Chodź.

Zignorowały obecność Bartka. Podeszły do bawiących się na scenie chłopców, wydały kilka poleceń i już po chwili wychowankowie podjęli żalną próbę ratowania sytuacji.

Bartek zagryzł wargi. Z jednej strony był na Małgosię zły, a z drugiej wiedział, że miała rację. Nawalił.

– Powinienem im pomóc – powiedział, spoglądając niepewnie na Karinę.

– Zaczekasz chwilę?

– Jasne, nie przejmuj się – odparła, ale nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

W tej chwili Iza i Łukasz weszli do sali.

– A wy jeszcze w rozsypce? – zdziwił się chłopak. – Gonia, zostaw te krzesła. Ja się tym zajmę. I nie rycz, będzie dobrze.

Dziewczyna starła z twarzy łyzy rozzalenia i wściekłości. Pozwoliła Izie zaprowadzić się do łazienki.

– To się nie uda – szepnęła, zmywając z policzków rozmazany tusz.

– Przede wszystkim spokojnie. – Iza wyjęła z torebki grzebień i przeczesała Małgosi włosy. – Nie jesteś tu sama. A teraz się uśmiechnij. No już!

– Coś krzywy ten uśmiech – skomentowała Karina, która nie wiadomo kiedy weszła do łazienki.

– Krzywą to ty masz gębę – warknęła Małgosia.

– Ale co to za kłótnie? – zapytała ostro Iza. – Proszę, idziemy. I wszyscy zabieramy się za pomaganie. Ty też.

Karina fuknęła i zgodnie z poleceniem opuściła łazienkę. Nie zniżyła się jednak do tego, żeby w czymkolwiek pomagać. Zebrała swoje rzeczy i wyszła, omal nie przewracając wspartego na kuli Wojtka.

– Co to było? – zapytał chłopak, spoglądając na drzwi.

– Wiedźma – stwierdziła Małgosia.

– Nieważne – ucięła Iza. – Chodź, Wojtuś, na pewno się przydasz.

Wbrew obawom z przygotowaniami zdążono na czas, a przedstawienie przebiegło bez przykrych niespodzianek. Dla Kamili najważniejsza była jednak opinia Piotra.

– I jak? – zapytała szeptem, kiedy nagrodzone zasłużonymi owacjami dzieci zeszyły już ze sceny.

– Świetnie, dziewczę o pięknych oczach – odparł reżyser, również przyciszonym głosem, gdyż dyrektor świetlicy właśnie wygłaszał przemówienie. Na szczęście nie trwało ono długo i już po kilku minutach mogli podzielić się wrażeniami.

– Ślicznie, Kamuś – powiedziała Maria, całując bratanicę w policzek. – Dawno tak dobrze się nie bawiłam. A teraz przepraszam cię, ale muszę biec do kawiarni.

– Odprowadzę panią – zaproponował Piotr.

– Nie ma takiej potrzeby. Proszę zostać.

– Kiedy tu sama młodzież, a spacer z panią będzie prawdziwą przyjemnością.

– To idziemy. Pa, Kamuś.

– Do jutra, dziewczę o pięknych oczach.

Kamila uniosła rękę w pożegnalnym goście, odprowadziła Marię i Piotra wzrokiem, po czym odwróciła się na pięcie.

– Wojtek? – zdumiała się na widok stojącego tuż za nią chłopaka. – Co... co ty tutaj robisz?

– Iza mnie zaprosiła – odparł. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Iza?

– Iza, bo ty o tym nie pomyślałaś.

– A... ale...

– Ciii – szepnął, dotykając warg dziewczyny. – To nie przytyk. Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że twoje zaproszenie byłoby dla mnie miłsze.

– Nie wiedziałam, że lubisz takie imprezy.

– To nie pasuje do wizerunku macho?

– No nie bardzo.

– Nigdy nie pretendowałem do tego tytułu. – Ujął w palce kosmyk leżący na policzku dziewczyny i lekko potarł w palcach, jakby badał jego miękkość. – Ślicznie wyglądasz.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho. Ogarnęło ją dziwne, obezwładniające ciepło. Napięcie towarzyszące nerwowym przygotowaniom do widowiska ustąpiło.

Wojtek bawił się włosami Kamili, obserwując, jak na jej policzki wypływa rumieniec, usta układają się w łagodny, nieśmiały uśmiech,

a błękitne tęczaówki ciemnieją, nabierając turkusowej barwy.

– Kamila, Wojtek, chodźcie do nas na chwilę! – zawołał Bartek, nieświadomie przerywając magiczną chwilę.

Wojtek opuścił rękę.

– Idź – szepnął, poprawiając ustawienie kuli.

– Ciebie też wołał – odparła dziewczyna, próbując ukryć zmieszanie. Nagle zdała sobie sprawę, że stali przy drzwiach i goście, opuszczając salę, musieli ich widzieć. No i co z tego? Nie robili nic złego. Bardziej zmartwiła się tym, że miałyby teraz odejść, zostawiając Wojtka samego. On też chyba tego nie chciał.

– Więc chodźmy – szepnął.

– Słuchajcie, bardzo wam dziękuję za pomoc – powiedział Bartek. – Bez was byłoby ciężko. Wiem, że to moja wina, dlatego zapraszam was na piwo i...

– Ja dziękuję – burknęła Małgosia. – Nie mam ochoty nikogo leczyć z wyrzutów sumienia.

Obróciwszy się na pięcie, wymaszerowała na korytarz. Chłód, ciągnący od otwartych drzwi, musnął rozgrzane złością policzki. Oparła czoło o ścianę, jednocześnie próbując zapanować nad drżeniem rąk. Nie potrafiła bez emocjonalnych konsekwencji sprzeciwić się Bartkowi. Z trudem podjęła również decyzję o dobrowolnej rezygnacji z jego towarzystwa. Wiedziała jednak, że tylko w taki sposób może zachować resztki godności.

Na drżących nogach przeszła do szatni i założyła płaszcz. Usłyszała czyjeś kroki. Doskonale wiedząc, kto ją tu znalazł, nie pofatygowała się, żeby spojrzeć na drzwi.

Po chwili poczuła mocny uścisk w okolicy łokcia.

– Musimy porozmawiać, panienko – powiedział Bartek, zmuszając dziewczynę, żeby odwróciła się w jego stronę. – Jak ty się właściwie zachowujesz, co?

– Nieprofesjonalnie i głupio – odparła spokojnie. – Zupełnie jak ty. Możesz mnie wyrzucić.

– Nie chcę. – Jego głos złagodniał. Stał się miękki i ciepły, taki jaki Małgosia lubiła najbardziej. – Proszę tylko, żebyś nie reagowała tak impulsywnie.

Nie mogła okazać słabości. Uniosła hardo głowę.

– Jak sobie życzysz. – Wyrwała rękę z uścisku. – A teraz przepraszam, chcę

iść do domu.

– A kto mi pomoże posprzątać?

Odwoływał się do jej poczucia obowiązku, choć nie miał prawa. Nie dziś. Sam nie był w porządku i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Może poproś Karinę?

– Gosia, przepraszam. Wiem, że nawaliłem, ale...

– Chcę wrócić z Łukaszem do domu.

Dopiero teraz dostrzegł, jaka jest zmęczona. Zrozumiał, że odmawiając, nie kierowała się kaprysem czy złościwością.

– Dobrze – szepnął.

Kamila siedziała na łóżku, wpatrując się w mrok za oknem. Nie mogła się zmobilizować, żeby wstać, opuścić rolety i włączyć lampkę. Wciąż analizowała dzisiejsze zachowanie Wojtka. Pamiętała każde jego słowo, gest, uśmiech, każde spojrzenie. Czuła ciepło dłoni na twarzy. Wspominała niesamowite uczucie, które nią zawładnęło, kiedy chłopak zanurzył palce w jej włosach. I kasztanowy blask jego oczu...

A później powrót do domu w szarości wiosennego wieczoru, tkliwy głos, zdrabniający jej imię w jedyny, niepowtarzalny sposób, pocałunek w czoło i drugi, odważniejszy, w kącik ust...

Marzyła... malując obraz w barwach niezwykle subtelnych, jakby ze strachu, że jeden stanowczy ruch, a czar pryśnie...

Po magii została pustka, samotność i tęsknota za czymś trudnym do zdefiniowania.

Rozdział VII. Dziwny scenariusz

*Czasami spotykasz człowieka,
który wygląda jak dom z zatrzaśniętymi boleśnie drzwiami.
Spójrz wtedy głęboko w jego otwarte oczy, a zrozumiesz,
że „zatrzaśnięte” drzwi niekoniecznie znaczy „zaryglowane”.*

Roman Mleczko

1.

Maj okrył ziemię zielonym płaszczem, owionął zapachem kwiatów i wzbogacił śpiewem ptaków, otulił ciepłem, rozjaśnił błękitem nieba. Kamila usiadła na ogrodowej ławce i poddała twarz pieszczocie słońca. Właściwie powinna się uczyć. Na biurku czekały nierozwiązane zadania z matematyki i notatki z historii, które należało przejrzeć przed jutrzejszą powtórką materiału. Trudno, będą musiały poczekać do wieczora.

Brzęczenie telefonu przerwało słoneczną kąpiel.

– Słucham – powiedziała rozleniwionym głosem.

– Co robisz, Kamuś? – zapytała Maria.

– Opalam się.

– Słuchaj, przebierz się szybko i przyjdź do kawiarni. Mamy tu urwanie głowy.

– Ale...

– Pospiesz się.

Dziewczyna westchnęła niechętnie. Coś w głosie cioci nakazało jej jednak zamienić T-shirt oraz szorty na letnią sukienkę i szybkim krokiem podążyć do kawiarni. Przed wejściem doznała dziwnego uczucia. Coś nie pasowało. Drzwi były zamknięte, światła zgaszone, okna zasłonięte roletami. Lokal wyglądał na nieczynny. Nacisnęła klamkę i niespokojnym spojrzeniem omiotła pomieszczenie. W oczy przede wszystkim rzucała się pustka. Ktoś wyniósł stoliki. Chociaż nie, tylko przestawił pod ściany. A zza filaru coś błysnęło. Podeszła, żeby sprawdzić, i ujrzała płonące świece. Dziesiątki świec, ustawionych w kształt liczby osiemnaście. Uśmiechnęła się. Nie sądziła, że ktokolwiek będzie pamiętał.

– Hej, a co to ma być? – zapytała, szukając wzrokiem autorów niespodzianki.

– Nie wiesz? – usłyszała głos Małgosi.

Przyjaciółka wyszła zza kolumny, ktoś włączył boczne światła i Kamila mogła podziwiać nowy wystrój Jagódki. Sufit tonął w balonach. Na połączonych i barwnie przystrojonych stolikach piętrzyły się smakołyki. Nie to jednak robiło największe wrażenie. Kawiarnia wcale nie była pusta. Spod ścian i z kątów wyłaniali się znajomi i przyjaciele dziewczyny, tworząc pośrodku sali mały, ale bardzo sympatyczny tłumek.

– A... ale... jesteście kochani – powiedziała Kamila, starając się nie rozbeczeć. – Mogliście mnie uprzedzić. O rany...

Małgosia, widząc zakłopotanie przyjaciółki, podeszła i mocno ją przytuliła.

– Wtedy nie byłoby niespodzianki.

– Chodź, Kamuś – powiedziała Maria. – Musisz zdmuchnąć świeczki.

– No nie! – Dziewczyna skierowała wzrok na płonąca osiemnastkę. – Tego się nie podejmę.

– No ja myślę. Przecież nie będziesz psuć dekoracji! Tutaj chodź.

Sylwia właśnie zapaliła świeczki na torcie.

– Tylko nie zapomnij o życzeniu – szepnęła Małgosia, ściskając przyjaciółkę za rękę.

Kamila nabrała powietrza w płuca. Nie miała żadnych życzeń. Była zwyczajnie szczęśliwa. Miała przyjaciół, czuła, że jest potrzebna, nie chciała niczego więcej. Może tylko... Nieśmiała myśl-pragnienie przybrała barwę kasztanów...

Marek podszedł do Kamili, kiedy już niemal wszyscy zdążyli jej powinszować.

– Wojtek twierdzi, że nie powinno mnie tu być – powiedział niepewnym głosem. – Wyjdę, jeśli chcesz, ale najpierw muszę... chciałem przeprosić.

– Hej, no coś ty? – zdziwiła się. – Nie wiem nawet, o co chodzi.

– Uwierzyłem Maćkowi.

– Wszyscy mu wierzyli.

– Nie wszyscy. Ja też nie powinienem. Przepraszam. – Wcisnął dziewczynie do ręki bukiet drobnych kwiatów i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i przez nikogo niezatrzymywany, opuścił Jagódkę.

Kamila stała, patrząc na drzwi, które zamknęły się za Markiem. Po chwili

przeniosła wzrok na gości. Wielu ich było. Dziwne, jeszcze rok temu nie znała tu nikogo, a dziś bliskie osoby utworzyły całkiem przyjemne grono. Długo tłumione łzy wzruszenia wreszcie popłynęły.

– Mila. – Wojtek położył rękę na jej ramieniu. – Wszystko w porządku?

– Tak – chlipnęła. – Po prostu mnie zaskoczyliście.

– Daj mi to. – Odebrał jej bukiet i niedbale cisnął na krzesło. – Chodź, zatańczymy.

Poddała się muzyce, a może czułości jego głosu, obietnicy kasztanowego spojrzenia. Tańczyła i po raz pierwszy od bardzo dawna była naprawdę szczęśliwa. Oparła głowę na piersi Wojtka, pozwoliła, aby otoczył ją ramionami. Powróciło znane już uczucie obezwładniającego ciepła.

– Przepraszam – mruknął chłopak, rozluźniając nieco uścisk. – Muszę usiąść.

– Co się stało? – Uniosła głowę. Dostrzegł panikę w jej oczach.

– Spokojnie. Boli mnie noga. Muszę odpocząć.

– Chodź. – Podprowadziła go do krzesła. – Przepraszam, zapomniałam, że nie powinieneś się forsować.

– Nic mi nie będzie. To tylko ból. – Pociągnął ją za rękę, żeby usiadła na krześle obok. – Obiecuję, że jak tylko wrócę do formy, przetańczę z tobą całusienką noc. Jeśli będziesz chciała oczywiście.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, zapewnić... Nie zdążyła. Krystian chwycił ją za rękę i pociągnął na środek sali.

– Tańczymy, słonko – zakomunikował. – Dziś nie ma czasu na gadanie.

Nie zapomniała o Wojtku. Każdy miał jej jednak coś do powiedzenia, każdy chciał, żeby z nim zatańczyła. Nie mogła tak po prostu odejść. A kiedy w końcu znalazła wolną chwilę, chłopaka już nie było. Wyszła do kawiarnianego ogródka, mając nadzieję, że postanowił się przewietrzyć.

– Szukasz Wojtka? – zapytała Iza, wstając od jednego ze stolików.

– Tak. Wiesz, gdzie jest?

– Pojechał do domu. Prosił, żebym jakoś go wytłumaczyła, ale nie będę niczego wymyślać. Rozumiesz, prawda?

Kamila skinęła lekko głową, chociaż wcale nie rozumiała. Mogła się tylko domyślać, że sytuacja była dla niego mało komfortowa, bo wszyscy tańczyli, a jego bolała noga.

– Jednak szkoda, że poszedł. – Westchnęła. – A właściwie jakim cudem wy się wszyscy tak dobrze znacie?

– Nie wszyscy. – Iza uśmiechnęła się i dotknęła ramienia Kamili. – Byłam z Wojtkiem w jednej klasie. Jest moim sąsiadem i dobrym przyjacielem.

– Myślałam, że zdajesz w tym roku maturę.

– On też powinien. Życie pisze swoje scenariusze. Ale o tym już z Wojtkiem porozmawiasz – dodała w odpowiedzi na pytające spojrzenie Kamili. – Prosił, żeby ci przekazać jeszcze to. – Podała Kamili pakunek zawinięty w niebieski papier.

– A co wy tu robicie? – zapytał Łukasz, podchodząc do dziewcząt.

– Już idziemy – odparła Iza, ufnie wtulając się w objęcia chłopaka. – Musiałyśmy poplotkować.

– Za chwilę przyjdę – powiedziała Kamila, uśmiechając się.

– Jasne.

Dziewczyna usiadła na najbliższej ławce i rozdarła niebieski papier. Nie mogła czekać ani chwili dłużej. Ręce jej drżały, kiedy walczyła z taśmą klejącą, w końcu wydobyla z paczki książkę.

– *Cztery pory lata* – przeczytała tytuł, zastanawiając się, skąd chłopak wiedział, że chciała mieć powieść Renaty L. Górskiej. Czyżby mu o tym powiedziała? Otworzyła książkę i zatrzymała wzrok na odręcznie napisanej dedykacji: *Najwspanialszej dziewczynie, jaką znam – Wojtek.*

2.

Kamila włożyła klucz do zamka... i stwierdziła, że drzwi były otwarte. Przestraszyła się nie na żarty, ponieważ dokładnie pamiętała, że rano starannie zamknęła mieszkanie. Na palcach wkroczyła do sieni, nasłuchując, czy ktoś jest w domu. Nigdzie nie zauważyła śladów włamania. Figa, obudzona powrotem swej pani, przeciągnęła się, ziewając głośno, co mogło oznaczać tylko jedno: nic nie wzbudziło psich podejrzeń. Tylko drzwi pokoju cioci były lekko uchylone. Wydobyla z torebki telefon i już miała zadzwonić na policję, kiedy usłyszała śpiew Marii.

– Ciociu! – zawołała. – To ty?

– Ja. Wejdz, Kamuś.

– Ale mnie wystraszyłaś! – powiedziała, wkraczając do pokoju. – Myślałam, że miałyśmy włamanie. A co tu się stało?

Pomieszczenie wyglądało jakby przeszedł przez nie tajfun. Na podłodze leżały buty różnych barw i fasonów. Meble, wersalkę oraz fotel pokrywały części damskiej garderoby. Stół był zasłany biżuterią i kosmetykami. Maria

siedziała na krześle w zielonym szlafroku.

– Nic – odparła.

– Jak to nic?

– No... trochę nabałaganiłam. – Wzruszyła ramionami. – Jutro posprzątam i od razu wyrzucę to, co za małe.

– Trochę?

– Kamuś, przestań! Te czy te? – Pokazała bratanicy dwie pary kolczyków.

– A na jaką okazję?

– Idę z Piotrkim do teatru – wyjaśniła. – Kolega zaprosił go na premierę swojego spektaklu.

– Z Piotrkim? To już nie z panem Piotrem?

– Przestań. I tak jestem zdenerwowana.

– Jak przed randką, co?

– Hej, mała, zapominasz chyba, że jestem twoją ciotką!

– Niemożliwe, Piotr ma alergię na ciotki – stwierdziła spokojnie Kamila. – A ty wyglądasz, jakbyś miała niewiele ponad dwadzieścia lat.

– Ale mam więcej... I nie wiem, czy w moim wieku wypada zachowywać się jak podłotek.

– Piotr też nie jest już młodzieniaszkiem. – Kamila otworzyła szafę i przejrzała to, co w niej jeszcze pozostało. – Śmiem nawet twierdzić, że ma nieco więcej lat od ciebie.

– Chciałam sobie zrobić makijaż, włożyć wieczorową sukienkę, upiąć włosy...

– Słusznie. – Dziewczyna zdjęła z wieszaka ciemnozieloną sukienkę na szerokich ramiączkach. – Do teatru nie idzie się w dżinsach i rozciągniętym swetrze.

– Boję się, że Piotr mnie wyśmieje, jeżeli się nazbyt wystroję. Przecież dla niego to prawie służbowe wyjście. Został zaproszony z osobą towarzyszącą i zwrócił się do mnie o pomoc.

– Mężczyźni lubią, kiedy kobieta ładnie wygląda. I niby dlaczego miałyby cię wyśmiać? Od dawna mu się podobasz.

– Co ty opowiadasz? – Maria zarumieniła się.

– Coś mi się wydaje, że to nie jest żadne wyjście służbowe. Nie zdziwiłabym się, gdyby wyszło na jaw, że Piotr zwyczajnie kupił te bilety.

– Przesadzasz.

– Ani troszkę. – Kamila wybrała kilka ozdób z ciocinej biżuterii. – Na

premierę spektaklu kolegi mógłby iść sam. Zna środowisko, wszyscy wiedzą, że nikogo nie ma, na pewno nie czułby się obco czy nieswojo. On zwyczajnie chce pójść tam z tobą. Zresztą szkoda czasu na gadanie. Do łazienki i proszę to założyć – zarządziła, wręczając cioci sukienkę i dodatki. – Tylko szybciotko, bo zostały nam jeszcze do zrobienia fryzura i makijaż.

Maria biernie poddała się zabiegom bratanicy. Założyła nawet jej białe bolerko, chociaż uważała, że jest zdecydowanie za krótkie.

– Kamuś, a nie wyglądam śmiesznie? – zapytała, spoglądając w lustro. – Przecież tak się ubiera młodzież.

– A ty jesteś dinozaurem, ciociu?

– Wiesz co, ja zadzwonię i wszystko odwołam.

– Nie ma mowy. – Dziewczyna zabrała Marii telefon. – Co to w ogóle za pomysły?

– Bo to ty jesteś młoda i powinnaś stroić się na randki....

– Ale mnie nikt nie zaprasza.

– A mnie się wydaje, że wybrzydzasz. Kręci się wokół ciebie kilku chłopców, Marek, Krystian, Wojtek...

– Ciociu! – Rumieniec pojawił się teraz na policzkach dziewczyny.

Dobiegająca z przedpokoju melodia domofonu wybawiła dziewczynę z kłopotliwej sytuacji.

– To Piotr – stwierdziła Maria, spoglądając na zegarek. – Jeszcze mogę wszystko odwołać...

– Nie ma mowy! – Kamila wypchnęła ciocię z pokoju, zmusiła do założenia pantofli i pożegnała cmoknięciem w policzek. – Miłej zabawy – powiedziała, zamykając drzwi.

3.

Bartek spojrział na zegarek. Dochodziła szesnasta. O tej godzinie Małgosia zawsze była w świetlicy. Wiedziała, że po podwieczorku dzieci odrabiały lekcje i należało im pomóc. Od kilku dni zaniedbywała jednak swoje obowiązki. Właściwie od czasu przedstawienia wielkanocnego pojawiła się w świetlicy tylko trzy, może cztery razy.

Dzisiaj był wtorek, dzień, w którym zwykle odbywały się warsztaty teatralne. Niestety dziewczyna najwyraźniej o nich zapomniała, a on nie miał dość siły, żeby je poprowadzić samodzielnie. Nie miał też ochoty prosić o pomoc Anię, która wraz z nim pracowała w świetlicy. Małgosia była

motorem napędzającym i inspirującym do twórczej pracy. Ona go mobilizowała, dawała pozytywną energię. Nikt nie mógł jej zastąpić. Nawet Karina. Zresztą ona też się obraziła. Nie odbierała telefonu, nie odpisywała na esemesy, nigdy nie było jej w domu.

– Wujku, a przyjdzie ciocia Gosia? – zapytała jedna z dziewczynek.

– Nie wiem – odparł chłopak. – A co się stało?

– Bo ja mam na jutro zadanie z polskiego.

– Pokaż, może ja ci pomogę.

– Nieeee...

Dziewczynka odeszła do stolika i pochyliła głowę nad zeszytem. Bartek zagryzł wargi, aby stłumić złość. Co ta Małgośka sobie wyobraża? Przyzwyczaiła do siebie dzieciaki, a teraz je zostawiła! Wydobyl z kieszeni telefon.

– Halo? – usłyszał głos dziewczyny.

– Cześć, Bartek mówi.

– Cześć, co tam? Tylko szybko, bo zaraz wychodzę.

– A dokąd?

– Do kina. Powiesz, o co chodzi, czy mam zgadywać?

– Z kim? – Pytanie nasunęło się samo; nie zdołał go powstrzymać.

– A to chyba nie twoja sprawa.

– Myślałem, że przyjdiesz do świetlicy.

– Dziś nie. W piątek. Na razie.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź, a Bartek poczuł, że jest jeszcze bardziej samotny niż przed chwilą.

Bartek dzwonił? – zapytała Kamila, patrząc na bladą, zastygłą twarz przyjaciółki.

– Tak bardzo za nim tęsknię – szepnęła Małgosia.

– Wiem. Chodź tutaj. – Przytuliła koleżankę. – Musisz być silna. Pozwól i jemu zatęsknić.

Małgosia nasyciła się bliskością Kamili, ciepłem i uściskiem jej ramion. Dobrze, że miała kogoś, z kim mogła być szczerą. Z bratem, choć łączyła ich szczególna więź, nie potrafiła o wszystkim rozmawiać; a już na pewno nie o swoim nieszczęsnym zadurzeniu w jego kumpla Bartku.

– On i tak mnie olewa – powiedziała w końcu. – Chodźmy już do tego kina.

– Nie olewa – odparła przyjaciółka. – Inaczej by nie dzwonił.

Starła się, by w jej głosie zabrzmiała pewność, której nie czuła. Zdążyła sobie wyrobić zdanie na temat Bartka i jego stosunku do Małgosi. Lubił ją, ale traktował jak młodszą siostrę; dziewczyny w niej nie widział i nic nie wskazywało na to, że kiedyś dostrzeże. Nie mogła jednak tego powiedzieć głośno.

W piątek Bartek już o Małgosi nie pamiętał. Karina w końcu odpisała na esemesa i umówili się na spotkanie. Chłopak nie miał czasu na rozważanie kwestii nieobecności Goški w świetlicy, ponieważ przez cały dzień rozmyślał o Karinie i najlepszym sposobie na sprawienie jej przyjemności. Nawet obficie padający deszcz nie był w stanie zepsuć mu humoru.

Do Małgosi zadzwonił kilka dni później, żeby ją zaprosić na ognisko zamykające rok pracy w świetlicy.

– Przyjdźcie z Kamilą chociaż na chwilę – prosił. – Dzieciaki się ucieszą.

– Nie wiem, zobaczę.

– Ale nie wymawiaj się szkołą, bo to jest już po zakończeniu roku.

– Wiem. Dobrze, przyjdziemy – zdecydowała w końcu. Bardzo chciała zobaczyć Bartka, usłyszeć na żywo jego głos.

– Gosia...

– Co?

– A co z twoim włoskim? – zapytał niepewnie. Ostatnio zaniedbali naukę, głównie z jego winy. Był zajęty Kariną. – Do twojego wyjazdu został jeszcze miesiąc. Może byśmy jednak ostro wzięli się do roboty, co?

– Zapomnij. Mam cię powyżej dziurek w nosie.

– Powinnaś się uczyć...

– Zapisałam się na kurs. I wiesz co? Nauczyciel jest ze mnie bardzo zadowolony.

– W to nie wątpię. Jesteś piekielnie zdolna.

Małgosia poczuła dziwny skurcz w piersi. Ręka, w której trzymała telefon, zdrząła. Parę słów uznania ze strony Bartka znaczyło dla niej więcej niż peany w wykonaniu innych nauczycieli. Wiedziała, że chłopak nie zwykł chwalić na wyrost, na zachętę – trzeba sobie było na to zasłużyć.

– Dziękuję – szepnęła i przerwała połączenie.

– Ciocia!

Małe ręce oploty biodra Małgosi, a głowa przywarła do brzucha, co najlepiej świadczyło, że dobrze zrobiła, przychodząc na ognisko. To było nie w porządku: przyzwyczać do siebie dzieciaki, a później zniknąć bez wyjaśnienia.

– Co tam słysząc, Oliwko? – zapytała. – Jak twój polski?

– Dobrze.

– Ciociu, a pobawisz się z nami w berka-cukierka?

– No pewnie!

Przyszła tu dla dzieci, dlatego pozwoliła, żeby rządziły jej czasem i osobą. Poddawała się biernie ich propozycjom zabaw, zapominając, że jako ich opiekun powinna dbać o swój autorytet i zachować odrobinę dystansu. Oprzytomniała dopiero, kiedy usłyszała głos Bartka:

– Dajcie ciocie odpocząć. Przecież tak nie można.

– Idźcie, pobawcie się sami, a ja zaraz przyjdę. – Wstała z podłogi, otrzepując rybaczki z kurzu.

– Dobrze, że jesteś. A gdzie Kamila?

– Pracuje dzisiaj. – Powiedziała chłopakowi tylko część prawdy. Nie mogła przecież zdradzić, że przyjaciółka była zdecydowanie przeciwna jej wizycie w świetlicy.

– Szkoda. Słuchaj, tam są kijki, weź kiełbasę. Dzieciaki już zjadły, ale ognisko się pali, więc możesz...

– Dzięki. Na razie nie jestem głodna.

– Bartek, no chodź już! – zawołał ktoś od ogniska.

Małgosia spojrzała w tamtą stronę i natychmiast zrozumiała, że Kamila miała rację. Nie należało tu przychodzić. Na ławce siedziała Karina, ubrana w bardzo krótkie spodenki oraz bluzkę bez ramiączek, zachwycając zgrabnym, opalonym na solarium ciałem. Najwidoczniej innych atutów nie posiadała. Bartkowi jednak to, co widział, w zupełności wystarczało.

– Przepraszam – powiedział i odwróciwszy się na pięcie, wrócił do swojej panny.

– A niech cię skreśli, lafiryndo – warknęła Małgosia.

W tym momencie rozległ się krzyk. Jeden z chłopców, biegnąc za piłką, upadł tak niefortunnie, że obtarł sobie kolano, co gorsza uderzył czołem w mur ogrodzenia. Sprawa wyglądała poważnie, ale na szczęście skończyło się na zrobieniu opatrunku oraz przyłożeniu zimnego okładu do guza. Zgodnie

stwierdzono jednak, że należy zająć dzieci spokojniejszą zabawą.

– Bartek, łap się za gitarę – powiedziała Ania. – Pośpiewamy trochę.

Chłopak niechętnie oderwał wzrok od dekoltu Kariny, nie zabrał jednak ręki, którą obejmował jej talię.

– Może później – zaproponował, mając nadzieję, że koleżanka zauważy, jak bardzo jest teraz zajęty.

– Dlaczego później? – zdziwiła się Karina, energicznie wstając. – Bardzo lubię śpiewać. Zagraj coś, proszę. Przecież mi obiecałeś.

Teraz nie miał już wymówki. Westchnął i sięgnął po leżącą na trawie gitarę. Długo ją stroił, co dało wszystkim czas na zebranie się wokół ogniska. Gosia wzięła patyk i nadziała na niego kielbaskę. Nie była głodna. Zwyczajnie chciała zająć czymś ręce, skupić na czymś uwagę. Nie mogła przecież gapić się na Bartka.

W końcu struny zostały odpowiednio naciągnięte. Chłopak pokiwał z zadowoleniem głową i zagrał znaną wielu pokoleniom piosenkę *Pieski małe dwa*. Karina zaklaskała z radości. Ochoczo zawtórowała śpiewającemu Bartkowi, nierytmicznie i o dwa tony za wysoko...

Palce znieruchomiały nad strunami. Gitara umilkła, a fałszywie brzmiący głos wciąż drażnił słuch, wywołując pobłażliwy uśmiech na ustach słuchaczy. Chłopak skrzywił się z niezadowoleniem i powiódł dookoła wzrokiem. Odnalazł Małgosię.

– Chodź, zaśpiewasz – zaordynował.

Uśmiechnęła się ironicznie. Czyżby Bartek dostrzegł, że Karinie słoń nadepnął na ucho? Czyli jednak ideał miał jakieś wady, a ona, prosta dziewczyna, z którą nie trzeba się liczyć, na którą można nakrzyczeć, potrafiła śpiewać lepiej od panny solarki.

– Gośka, no! – nalegał chłopak. Ton jego głosu nieco złagodniał, brzmiał jak przyjacielskie upomnienie, nie jak rozkaz.

Wydęła wargi i wskazała brodą na patyk z kielbasą, udając, że pieczenie pochłania teraz całą jej uwagę. Nie zamierzała ulec. Niech sobie Bartuś nie myśli, że przyleci na każde jego zawołanie.

– Proszę, Gosiu.

Zawahała się, drgnęła. Zapewne podeszłaby do chłopaka, gdyby nie pełne wyższości spojrzenie, które posłała jej Karina. Pokręciła głową, dając Bartkowi do zrozumienia, że jeśli chce, żeby śpiewała, powinien przyjść do niej. Westchnął, włożył śpiewnik pod pachę, wziął gitarę, pokonał tych

kilka metrów i ulokował się obok Małgosi. Oczy dziewczyny błysnęły satysfakcją. Tym większą, że Karina zakipiała ze złości. Splotła ręce na piersiach i stała nieruchomo, piorunując chłopaka spojrzeniem. Udawał, że tego nie widzi.

A Małgosi tego wieczoru śpiewało się wspaniale. Zateęskniła za wspólnym muzykowaniem, czy może złość Kariny tak ją uskrzydlała? Nieistotne. Po prostu cieszyła się chwilą.

– Teraz przychodzisz? – zapytała Karina, gdy Bartek podszedł, proponując jej coś do picia.

– Zrozum, kochanie...

– Nie chcę nic rozumieć – burknęła. – Natychmiast odprowadź mnie do domu!

– Nie mogę teraz wyjść. Jestem w pracy. A później muszę jeszcze odstawić Gośkę do domu.

– Znowu Gośka! – oburzyła się. – Ona jest twoją dziewczyną czy ja? Idziesz?

Bartek instynktownie wyciągnął rękę, żeby zebrać swoje rzeczy, zawahał się jednak, pokręcił głową. Sumienność nie pozwoliła mu ulec kapryswi Kariny.

– Nie mogę – odparł przeproszającym tonem.

Prychnęła z niezadowoleniem.

– Pożalujesz. – Chwyciła torebkę. – Nie będę cię prosić.

Chłopak westchnął ciężko i wrócił do ogniska, gdzie właśnie grano w zaginiony talar. Wiedział, że dziewczyna dotrzyma obietnicy. Nie mógł jednak zaniedbywać obowiązków z powodu jej zachcianek.

4.

Kamila zdjęła buty i boso przeszła do pokoju. Bolały ją stopy, obtarła piętę, a na małym palcu zrobił się bąbel. Ale nie miała siły nawet na to, żeby przygotować dla stóp chłodną kąpiel. Usiadła w fotelu. Była dosłownie wykończona po kilku godzinach pracy w Jagódce. Jeszcze nigdy nie obsłużyła tylu klientów. Melodia komórki wyrwała ją z zamyślenia. Na szczęście nie musiała wstawać, bo torebkę miała obok siebie. Wydobyła z niej telefon i nie patrząc na wyświetlacz, uniosła do ucha.

- Halo – powiedziała słabym głosem.
- Cześć, Mila – usłyszała głos Wojtka. – Co u ciebie?
- Nic ciekawego.
- Źle się czujesz? Jakoś dziwnie brzmisz.
- Nie. Tylko stopy mnie bołą. W Jagódce był straszny ruch.
- Biedactwo. To odpoczywaj, bo jutro też nie posiedzisz.
- A dlaczego?

– A dlatego, że jedziemy do Gosi na urodziny. Muszę być chwilę wcześniej, więc przyjadę po ciebie w południe. Może być?

– Może – odparła słabym głosem, próbując sobie przypomnieć, kiedy umawiała się z Wojtkiem, że razem pojedą do Małgosi. Nie zamierzała prostować pomyłki, gdyż samotna podróż na działkę rodziców przyjaciółki wcale nie była kusząca. Poza tym lubiła, kiedy czasem ktoś podejmował za nią decyzję. Tylko skąd wiedział, że chciała dotrzeć do Małgosi wcześniej, żeby pomóc jej w przygotowaniach?

Przed bramą zaparkował niebieski samochód. Kamila znieruchomiała na widok wysiadającego Wojtka. Na szczęście pomiędzy chwilą, w której zobaczyła chłopaka, a momentem, w którym rozległ się sygnał domofonu, miała dość czasu, żeby napić się wody.

- Już wychodzę, daj mi minutę – powiedziała do słuchawki.

Była gotowa. Nie lubiła, kiedy ktoś musiał na nią czekać. Potrzebowała jednak kilku sekund, by zapanować nad drżeniem rąk i przyspieszonym biciem serca. Sama już nie wiedziała, co było przyczyną tej gwałtownej reakcji: widok samochodu czy sama obecność chłopaka. Wykonała kilka głębokich wdechów, pogładziła łepkę szalejącej w przedpokoju Figi. Dotyk miękkiego futra działał uspokajająco. Poczła się pewniej. Zrzuciła torebkę na ramię, wzięła bagaż, starannie zamknęła drzwi i podeszła do furtki.

– Cześć, Mila – powiedział Wojtek, uśmiechając się ciepło. – Daj. – Odebrał od dziewczyny torbę i umieścił ją w bagażniku. – A co ty tak nic nie mówisz? – zapytał, otwierając przed Kamilą drzwi auta. – Proszę.

– Nie wiedziałam, że masz prawo jazdy – odparła, zajmując miejsce dla pasażera.

– Mam, od października. – Włożył kluczyk do stacyjki. – Boisz się ze mną jechać?

– Nie, tak tylko gadam.

– To zapnij pas.

– Już.

Zauważył, że drżą jej ręce.

– Możemy jechać pociągiem – powiedział spokojnie. – Z całym asortymentem napojów, który mam w bagażniku i na tylnym siedzeniu, będzie ciężko, ale najwyżej cię odwiozę i wrócę po samochód.

– Nie o to chodzi. Jedźmy.

Włączył silnik i zwolnił ręczny hamulec. Prowadził spokojnie, równo, od czasu do czasu spoglądając na zamyśloną Kamilę. Pewnie zastanawiała się, jakim cudem ma prawo jazdy od października, skoro chodzą do jednej klasy. Prawda i tak kiedyś wyszłaby na jaw, postanowił więc wyznać ją od razu.

– Kiblowałem w szóstej klasie – powiedział. – Przez chemię.

– Co? – Dziewczyna wysoko uniosła brwi ze zdumienia. Wojtek był świetny z chemii. Bez mrugnięcia okiem rozwiązywał nawet najdziwniejsze zadania.

– Kwestia przypadku. W zasadzie mogli mnie uwalić z każdego przedmiotu, bo umiałem równie dużo. Czyli nic. Jechałem wyłącznie na dobrej opinii, a uwierz mi, w podstawówce można na niej daleko zajechać.

Kamila patrzyła w szybę, zastanawiając się, czy powinna drążyć temat, czy cierpliwie poczekać, aż chłopak dojrzeje do dalszych wyznań. Skoro jednak zaczął rozmowę, to chyba chciał się zwierzyć.

– Powiesz mi dlaczego? – zapytała nieśmiało.

– Ojciec stracił pracę, zaczął pić. W domu ciągle były awantury i nerwowa atmosfera. Mną przestali się interesować. Chociaż nie do końca. Stałem się chłopcem do bicia.

– Przykro mi...

– Twoja ciocia pomogła mi się pozbierać. Trafiłem do klasy Marka, w której była wychowawczynią. Do dziś mnie wspiera, bo to wcale nie jest tak, że problemu już nie ma.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. – Na chwilę położył rękę na dłoni Kamili. – Chciałem tylko, żebyś wiedziała. No, jesteśmy. – Zaparkował przy niedużej furtce, prowadzącej do pełnego kwiatów ogrodu. – Dowiozłem cię bezpiecznie, więc nie było powodu do strachu. Biegnij do Gosi, przyniosę twoje rzeczy.

– Dziękuję.

Wysiadła z samochodu, próbując zapanować nad szalejącym tętnem. Przewiesiła torebkę przez ramię i ruszyła w stronę niedużego domu, wynurzającego się spomiędzy dwóch rozłożystych topoli.

Chłopak spoglądał na drobną postać w białym T-shircie i popielatych rybaczkach; związane nad karkiem włosy spoczywały na plecach. Wiedział, że krótsze pasma leżą na policzkach. Pamiętał ich miękkość, zapach, nawet charakterystyczny sposób układania się obok kącika ust.

– Mam nadzieję, że się nie przestraszyłaś – szepnął, wysiadając z auta.

– No, Gosiu, jesteś gotowa – oświadczyła Kamila, spoglądając na przyjaciółkę z odległości trzech kroków. – Teraz się jeszcze uśmiechnij, bo ta podkówka wcale nie pasuje do sukienki. – Uniosła aparat i zrobiła kilka zdjęć.

Z niedużego pokoju dziewczęta zrobiły garderobę i salon piękności. Oczywiście pierwszą osobą, którą należało odpowiednio wystroić, była jubilatka. Stała teraz na środku pomieszczenia w czarnej sukience w czerwone róże. Jej długie, ciemne włosy przyjaciółki upięły w półkolisty kok i otoczyły srebrną wstążką do złudzenia przypominającą łańcuszek. Buty na obcasie dodały Gosi nie tylko wzrostu, ale też szyku i elegancji.

– Na szyi jakoś pusto – stwierdziła Iza. – Dlaczego nie chcesz założyć tego wisiorka ze słońcem?

– Bo jest infantylny i głupi – odparła niechętnie Małgosia. – I ma zadartą trąbę.

– Trąba jest na szczęście – tłumaczyła spokojnie Iza. – Zresztą jak chcesz. Ja idę sprawdzić, czy na stołach wszystko już jest.

Wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

– O co chodzi z tym słońcem? – zapytała Kamila, unosząc aparat.

– Żaden słoń mi szczęścia nie przyniesie. – Usiadła na krześle i zgarnęła biżuterię do kosmetyczki. – Nie będę o nie prosić. I przestań pstrykać te fotki!

– Znowu Bartek? Co tym razem zrobił? – Kamila włożyła aparat do pokrowca i sięgnęła po swoją torbę. Najwyższy czas, żeby się przebrać.

– Nic. Pewnie nawet nie przyjedzie, bo mu ta lafirynda nie pozwoli. Chociaż wykonałam nadludzki wysiłek i ją też zaprosiłam.

– Zaprosiłaś Karinę? – Kamila ze zdumienia aż usiadła na łóżku. – Ty naprawdę masochistka jesteś!

– Po prostu chciałam być grzeczna. – Wzruszyła ramionami. – I w

porządku, jakbym brata zapraszała.

– Lepiej, gdybyś była szczerą i dała mu jasno do zrozumienia, że nie chcesz kolejnego brata, tylko...

Pukanie przerwało wywód Kamili.

– Proszę – rzuciła niechętnie Małgosia.

W drzwiach stanął Bartek. Miał na sobie czarną koszulę z krótkim rękawem i szare spodnie.

– Cześć – powiedział. – Przeszkadzam?

– Nie, wejdz. – Kamila rzuciła przyjaciółce wymowny uśmiech. – Ja idę się przebrać. – Kłamała. Nie zabrała rzeczy; torba z rozpiętym zamkiem została na podłodze.

– Hej, zaczekaj! – Małgosia wstała energicznie, ale koleżanka już zdążyła wyjść.

– Gosia... – Bartek podszedł bliżej, mierząc ją zaskoczonym spojrzeniem. Spodziewał się ujrzeć dobrze znaną kumpelkę z warkoczami, a zobaczył śliczną dziewczynę w srebrzystej koronie. – Bardzo ładnie wyglądasz – powiedział w końcu. – Tak... tak... wdzięcznie i kobieco.

– Jestem kobietą, jakbyś nie zauważył – mruknęła.

– Dziś zauważyłem. Proszę. – Podał jej nieduże pudełko zawinięte w czerwony papier.

Już sama obecność Bartka była dla Małgosi niemałym zaskoczeniem, a komplementy wprawiły ją w zakłopotanie. Żeby ukryć zmieszanie, skupiła się na odpakowywaniu prezentu. Po chwili wydobyła z pudełka srebrny łańcuszek z szarozielonym wisiorkiem w kształcie kwiatka.

– Piękny – szepnęła i zapominając o konieczności trzymania dystansu, pocałowała chłopaka w policzek.

Objął ją i przytulił. Nic wielkiego, często tak robił, ale dziś jego ramiona były jakby czulsze.

– Ty jesteś piękna – powiedział. – Aż dziw, że pod drzwiami nie czeka kolejka adoratorów.

– Nie potrzebuję ich.

– Jak zawsze harda, co? Przymierz. – Odsunął od siebie Małgosię i wskazał wisiorek. – Niech popatrzę, zanim mnie jakiś młokos przegoni.

– Sam kupowałeś? – Musiała to wiedzieć. Prezent bardzo jej się podobał, ale wiedziała, że faceci zwyczajnie nie znają się na biżuterii. A nie mogłaby nosić czegoś, co wybierała Karina.

– Z Anią. Chciałem mieć pewność, że ci się spodoba. Daj – dodał, widząc, że dziewczyna walczy z zapięciem.

Słońce zachodziło, zalewając pomarańczowym blaskiem podwórze wraz z bawiącą się młodzieżą. Muzyka oraz śmiechy płynęły w powietrzu, wypełniając każdy zakamarek ogrodu. Tylko Wojtek siedział samotnie w cieniu topoli, niepewnie spoglądając na drzwi domu. Kamila nie wychodziła. Ponad godzinę temu pytał o nią Małgosię. Podobno się przebierała. Tyle czasu?!

„Może nie chce przyjść? – zastanawiał się. – Może wie, że czekam i nie chce mnie widzieć?”.

Nagle w drzwiach domu pojawiła się smukła postać w szafirowej sukience z błyszczącego materiału. Falbanki rękawów okrywały ramiona, zaś trójkątny dekolt nieznacznie odsłaniał zaokrąglenia piersi. Leżący pomiędzy nimi wisiołek odbił czerwone promienie słońca. Blond włosy zostały upięte w kok, z którego wymykały się krótsze pasma, opadając na policzki i szyję. Dziewczyna zamarła w bezruchu, jakby się zastanawiała, gdzie powinna skierować kroki. Po prawej stronie był parkiet, po lewej stoły ze smakołykami, a naprzeciwko pełen kwiatów, wonny ogród.

– Mila... – Męska ręka ujęła dłoń dziewczyny i uniosła ją do ust. – Wyglądasz jak księżniczka.

Uśmiechnęła się. Lekkim krokiem pokonała dwa schodki i pozwoliła, aby Wojtek podprowadził ją do parkietu.

– A co na to twoja noga? – zapytała, kiedy chłopak otoczył ją ramieniem, zamierzając porwać do tańca.

– Nic mnie to nie obchodzi – szepnął do ucha Kamili. – Dziś ma być grzeczna.

Dziewczyna szczerze wątpiła w posłuszeństwo bolących części ciała. Sama nie była pewna, czy jej poranione wczoraj stopy nie zastrajkują. Poddała je regeneracji: bąbel przekłuła, a obtartą piętę posmarowała tłustym kremem. Najlepiej czułaby się w tenisówkach bądź szerokich kłapkach. Takie buty nijak jednak nie pasowały do wieczorowej sukienki. Miała więc wybór: albo pozostać w rybaczkach i czuć się niezręcznie, albo zacisnąć zęby i trochę pocierpieć. Wybrała drugą opcję, a podziw w oczach Wojtka dowodził, że słusznie.

Lekko popłynęła w takt muzyki...

Wieczór wydawał się magiczny. Tańczyła, piła sok, jadła kanapki, robiła zdjęcia, znów tańczyła, wdychając zapach kwiatów. Patrzyła na Wojtkę, na jego uśmiech, na wesołe iskierki błyszczące w kasztanowych oczach i nawet nie zauważyła, kiedy zapadł zmrok. Czasem zraniony duży palec u nogi trochę dawał się we znaki; opierała się wtedy mocniej na ramieniu chłopaka i zmieniała ułożenie stopy w pantoflu, co przynosiło chwilową ulgę. W pewnym momencie jednak ból zwyciężył. Grymas wykrzywił twarz dziewczyny, a spod przymkniętej powieki wypłynęła łza.

– Co się stało? – zapytał troskliwie Wojtek.

– Nic, mam obtartą nogę.

Zanim zdążyła zaprotestować, wziął ją na ręce i przeniósł na ławkę pod topolą.

– Pokaż – nakazał stanowczo. Wysunęła stopę. Chłopak zdjął but i aż syknął na widok krwawiącej rany. – Dlaczego nie mówiłaś, że boli?

– To nic.

– Jak to nic? Miluś, no! – Zbliżył usta do bolącego miejsca i podmuchał.

Czy chłodny powiew przyniósł ulgę? A może przyjemny dreszcz, który przeszył jej ciało, sprawił, że na chwilę zapomniała o bólu? Nie mogła jednak pozwolić, żeby prawie całował ją po nogach.

– Wojtek – szepnęła zażenowana, odsuwając stopę. – Nic mi nie jest.

– Trzeba to przemyć. Mam apteczkę w samochodzie. Nigdzie mi się stąd nie ruszaj.

Odszedł szybkim krokiem, a Kamila usiadła wygodniej i zamknęła oczy. Była zmęczona. Stopy piekły jak przypalane rozgrzanym żelazkiem. Kręgosłup bolał – nie przywykła do całonocnego imprezowania. W uszach szumiało od głośnej muzyki. Chętnie zapadłaby w małą drzemkę, ale powieki same się podnosiły – sprawdzała, czy Wojtek już wraca.

Niemal biegł od samochodu, dzierżąc pod pachą czerwoną apteczkę.

– Daj nogę – zarządził, klękając przed dziewczyną. Nie czekał, aż wykona polecenie. Ułożył sobie na kolanach jej stopę i wydobył z pudełka białą buteleczkę.

– Hej, ale co ty robisz? – przestraszyła się.

– Trzeba przemyć. Spokojnie.

– Nie chcę. – Cofnęła nogę. – Będzie piekło.

– Miluś, nie bądź dzieckiem. To woda utleniona. Nie będzie piekło.

– Nie kłam, będzie. Nie chcę.

– A wiesz, że nic mnie nie obchodzi, że nie chcesz?

Chwycił jej nogę. Zanim zdążyła ją wyszarpnąć, polał ranę wodą utlenioną. Syknęła, ale nie zwrócił na to uwagi. Rozdarł opakowanie z plastrem i zakleił bolące miejsce.

– Uparty jesteś – mruknęła Kamila, na wszelki wypadek chowając obie stopy pod ławkę.

– Ty też. – Usiadł obok dziewczyny, otoczył ją ramieniem. – Chodź tutaj, odpoczniesz chwilę.

Ufnie oparła głowę na jego piersi. Powieki wreszcie opadły na dłużej, ciało rozluźniło się, myśli uspokoiły, a równy, mocny rytm serca Wojtka zagłuszył męczący szum muzyki.

„Raz, dwa, trzy...” – odmierzała uderzenia w myślach. Nie zdążyła doliczyć do dziesięciu. Zasnęła. Nie widziała już, jak szarość przedświt zamienia się w czerwony poranek.

Kamila weszła do małej kuchni, wypełnionej blaskiem słońca i zapachem smażonego boczku. Woń jedzenia obudziła żołądek.

– Też dostanę jajecznicę? – zapytała.

– Jasne, siadaj – odparła Małgosia, wskazując koleżance miejsce naprzeciwko siebie. – Specjalnie więcej zrobiłam.

– Gdzie chłopaki?

– Zjedli i poszli sprzątać podwórze. Ja nie mam siły.

– Spałaś chociaż trochę? – Kamila nałożyła sobie jajecznicę na talerz.

– Chwilę, ale nie tak wygodnie jak ty.

– No tak, bardzo śmieszne. Mów lepiej, co z Bartkiem.

– Pojechał do domu. – Małgosia wzruszyła ramionami. – Nadal jestem kumpelą i już.

– E, pięknie wyglądałaś. Jak cię zobaczył, miał oczy wielkości pięćdziesiątówek. Troszkę cierpliwości.

– Kamuś, daj spokój. Kochana jesteś, że mnie wspierasz, ale wiem swoje. Ty chyba jednak masz więcej do opowiadania. Wojtek nie odstępował cię na krok, jakby się bał, że mu uciekniesz. To chyba jest już na poważnie, co?

– Nie wiem. – Kamila pochyliła głowę nad talerzem tak nisko, że prawie zanurzyła w nim wilgotne po kąpieli włosy.

– Jak to nie wiesz? Chłopak jest w ciebie zapatrzony jak w obrazek. Czego

ty byś jeszcze chciała? Rycerza na białym koniu i wiadra róż?

– A jeśli to pozory?

– Wiesz co, wydziwiasz – zirytowała się Małgosia. – Krystian widział, jak Wojtek smarował sobie nogę maścią przeciwbólową. Ode mnie brał tabletki. Myślisz, że po co? Chciał się całą noc bawić. Z tobą. A ty kręcisz nosem, bo co?

– Bo nie wiem, czy to wszystko prawda! – Uniosła głowę i spojrzała przyjaciółce w twarz. – Wiesz, jak on mnie traktował, kiedy się poznaliśmy? Jak śmiecia. Kiedyś prawie mnie uderzył. Raz jest jak do rany przyłoż, a kiedy indziej bez kija nie podchodzi. Gubię się w jego humorach i boję, że to jakaś gra!

– Nie krzycz.

– A wiesz, kiedy to się zmieniło? – zapytała trochę ciszej. – Gdy puściłam Maćka kantem. Może oni się zwyczajnie założyli? I skoro jednemu się nie udało na szybko i podstępem, to drugi próbuje powolutku?

– To by było okrutne. Nie wierzę.

– A ja wierzę. Wojtek ponoć kiedyś powiedział Markowi, że nie jestem w jego typie i mam zaściankową urodę.

– Nie myślę tak. – Dziewczęta spojrzały w stronę drzwi, skąd dobiegły te kategorię wypowiedziane słowa. Zobaczyły opartego o futrynę Wojtka. – Powiedziałem, ale tak nie myślę. I nie było żadnego zakładu.

Odwrócił się i wybiegł na podwórze. Odszukawszy wzrokiem krępa postać kolegi, przyskoczył do niego w kilku susach. Chwycił Marka za ramiona, potrząsając nim jak szmacianą lalką.

– Oszalałeś? – zaprotestował oszołomiony chłopak.

– Po coś to zrobił? Nigdy ci nie daruję!

– Ale co...

Nie zdążył zadać pytania – przeszkodziło mu w tym silne uderzenie w twarz. Poczul w ustach smak krwi, a chwilę później, mocno popchnięty, upadł na ziemię.

– Wojtek! – krzyknęła Kamila.

Nawet nie odwrócił się w jej kierunku. Pobiegł do samochodu, a chwilę później odjechał z piskiem opon, zostawiając za sobą tuman kurzu.

Zrobiło się zamieszanie. Podniesiono Marka. Próbowano zatamować krwotok z nosa, przyniesiono kostki lodu, mokre ręczniki...

Kamila stała bez ruchu, spoglądając na drogę, którą odjechało niebieski

auto.

– Masz, czego chciałaś – skomentowała ironicznie Małgosia. – Nie stercz tak teraz, nie wróci.

– Wiem. – Kamila spojrzała na przyjaciółkę. Policzki miała mokre od łez.

– Hej, ale nie płacz, tylko bierz komórkę i dzwoń.

Takie rozwiązanie wydawało się najrozsądniejsze. Niestety Wojtek najpierw nie odbierał telefonu, a później zwyczajnie go wyłączył.

5.

Po czerwcowych, iście tropikalnych upałach, lipiec zaskoczył wszystkich chłodem oraz częstymi opadami deszczu. Kamila nic sobie nie robiła z kaprysów pogody. Letnie sukienki zamieniła na dzinsy, pożegnała się z obcierającymi stopy sandałami na obcasie. Do pracy w Jagódce zakładała lekkie klapki albo tenisówki. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, czy wygląda atrakcyjnie. Ograniczyła kontakt z przyjaciółmi, poświęcając większość czasu obsłudze kawiarnianych gości. Gdzieś zgubiła z takim trudem odzyskaną radość życia. Schudła, zbladła i jakoś tak skurczyła się wewnątrz. Nie chodziła na spacer z Figą, aparat zaś ukryła na dnie szuflady.

– Wszystko już obejrzałam i sfotografowałam – zbywała pytania zaniepokojonej jej zachowaniem Marii.

Uwagi Piotra ignorowała, a propozycje znajomych, dotyczące spotkań czy wspólnych wyjść, odrzucała bez skrępowań, tłumacząc się nadmiarem pracy.

Małgosia postanowiła więc porozmawiać z przyjaciółką w Jagódce.

– Co się dzieje? – zapytała bez zbędnych wstępów.

– Nic. – Kamila wzruszyła ramionami.

– Przecież widzę. Wojtek się odzywał?

– Nie.

– Dzwoniłaś?

– Nie odbierał. Nie będę się narzucać.

– Słuchaj, ja dzisiaj wyjeżdżam, ale jak wrócę, to z nim porozmawiam.

– Nie chcę – powiedziała Kamila. – To był tylko sen, który kiedyś musiał się skończyć. Od początku wiedziałam, że tak będzie. A ty baw się dobrze. Muszę lecieć. – Cmoknęła koleżankę w policzek i poszła obsłużyć nowo przybyłych klientów.

Chłód nocy przeszył spacerującą pod blokiem dziewczynę, wywołując gęsią skórę. Potarła przedramiona dłońmi, aby je trochę ogrzać, i kontynuowała nerwową wędrówkę pomiędzy drzwiami bloku a krawężnikiem. Co chwila spoglądała na zegarek; wyraźnie na kogoś czekała. W końcu zrezygnowana oparła czoło o ścianę i trwała w bezruchu około dziesięciu minut.

Wtem ktoś położył rękę na jej ramieniu.

– Gosia? – usłyszała głos, na dźwięk którego serce wykonało kilka radosnych podskoków. Odwróciła się i spojrzała w oczy Bartkowi. Jakież zmiany zaszły w jego wyglądzie od ich ostatniego spotkania! Policzki, zwykle pokryte delikatnym zarostem, były gładko ogolone. Zamiast ciemnego podkoszulka i krótkich spodenek miał na sobie koszulę, białą w niebieskie paseczki, i jasne spodnie zaprasowane w kant.

„Zapewne dla Kariny tak się wystroił – pomyślała ze smutkiem. – Musi być bardzo zakochany. Może właśnie ona jest tą jedyną? Ostatecznie z żadną nie był tak długo”. Zabolęło. Gosia wzięła głęboki oddech, żeby zapanować nad rozżaleniem i zazdrością; nie chciała, by chłopak coś dostrzegł.

– Cześć – odparła. – Co ty tutaj robisz?

– Jak to co? Wracam od mamy, przecież ci mówiłem, że jadę do niej na kilka dni. A ty? Dlaczego wystajesz pod blokiem o północy?

– Czekam na Łukasza.

– A w domu nie możesz?

Dziewczyna zacisnęła pięści, żeby powstrzymać łzy, ale nie do końca jej się to udało. Dwie krople spłynęły po policzkach.

– Nie – mruknęła. – Miał być o dwudziestej, a jeszcze go nie ma...

– Hej, no co ty? – zdziwił się Bartek. Nigdy nie widział Gosi płaczącej i nie bardzo wiedział, jak się zachować. – Pewnie został u Izy. Nie ma powodu się denerwować.

– Mylisz się. Rodzice są u babci, a on miał mnie odwiedzić na autokar do Włoch. Obiecał. Telefon wyłączył. I co teraz?

– O której masz ten autokar? – zapytał rzeczowo chłopak, podając Gosi chusteczkę.

– Za niecałą godzinę powinnam być na miejscu.

– Jesteś spakowana?

– Tak.

– Ja cię zawiozę. Daj mi tylko chwilę, muszę wziąć prysznic i napić się

kawy. Idź do domu, sprawdź, czy na pewno wszystko wzięłaś, zaraz do ciebie przyjdę. No już, nie rycz.

Małgosia w milczeniu siedziała obok prowadzącego samochód Bartka. Czuła się trochę nieswojo; niechętnie przyjęła jego pomoc, nie miała jednak innego wyjścia.

– Dziękuję – powiedziała w końcu. – Naprawdę nie wiem, gdzie jest Łukasz.

– Nie dziękuj. Odrobisz w świetlicy.

– Ale ja...

– Wiem, że planujesz zrezygnować z wolontariatu, i wiem, że przeze mnie. Chcę, żebyś wróciła.

Pokręciła głową; dla własnego dobra nie powinna wracać do pracy w świetlicy. Straciła nadzieję, że to zbliży ją do Bartka. Lepiej zapomnieć, ograniczyć kontakty, niż wciąż oglądać go u boku innej.

– No nie wiem – odparła wymijająco.

– Karina jest dla mnie bardzo ważna – powiedział chłopak, wyczuwając wahanie w jej głosie. – Dlatego zaprosiłem ją na przedstawienie i ognisko. Przyznaję, zaniedbałem parę spraw, ale nie chcę, żebyś z tego powodu zrezygnowała z wolontariatu. Obiecuję, że to się nie powtórzy. Wrócisz?

– Nie trawię Kariny. Jeśli znowu uraczy mnie złośliwą uwagą, to tak jej odpowiem, że się nie pozbiera. Wiem, że byś mnie za to zamordował, więc lepiej, żebyśmy się nie spotykały.

– Karina jest dla ciebie niemiła?

– Błagam, tylko nie mów mi, że tego nie widzisz. Jej wolno wszystko, nawet obrażać twoich znajomych.

– Mylisz się – odparł spokojnie. – Nigdy nikomu nie pozwolę cię obrażać.

– Uhm, akurat... – mruknęła, a widząc jego uniesione brwi, już otwierała usta, żeby wyliczyć wszystkie sytuacje, w których Karina z niej drwiła, a Bartek siedział z boku i tylko ładnie się uśmiechał. Ale właśnie podjechali na parking, gdzie zbierała się grupa wyjeżdżająca na kolonie. Dziewczyna spojrzała na zegarek. – Rany, ale późno! – jęknęła, tracąc ochotę na wytykanie mu nielogiczności. Wysiadła z auta i pobiegła do bagażnika po swój plecak.

– Czekaaj, pomogę ci przecież!

– Dziękuję. – Obdarzyła chłopaka uśmiechem tyleż szerokim, co sztucznym.

– Jedź do domu, teraz już sobie poradzę.

– Zaczekam – uparł się.

I nie pojechał. Umieścił rzeczy Małgosi w bagażniku autokaru, położył jej torbę podręczną na siedzeniu, zapytał, czy na pewno niczego nie potrzebuje, na pożegnanie przytulił ją, pocałował w czoło, życząc spokojnej podróży. Znajomy zapach jego wody toaletowej i serdeczność uścisku sprawiły, że serce dziewczyny znowu mocniej zabiło.

– Do zobaczenia – bąknęła drżącym głosem.

– Bądź dzielna – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie. – Na pewno sobie poradzisz.

Małgosia zajęła miejsce przy oknie. Bartek wciąż stał na parkingu. Nie widziała jego twarzy, bo uniemożliwiały to palące się w autobusie światła, dostrzegła jednak, że uniósł rękę w pożegnalnym geście.

„Chciałabym, żebyś czekał na mnie, żebyś zatęsknił...” – pomyślała. Nie miała jednak złudzeń, że jej pragnienie się spełni. Bartek należał do Kariny; ona musiała zadowolić się jego przyjaźnią.

Rozdział VIII. Rozliczenie

*By dostać się do wnętrza i zrozumieć źródło piękna,
nie należy odrywać płatków ani rozchyłać ich boleśnie;
trzeba zamienić się w słońce i z wielką delikatnością
otwierać kwiat najpiękniejszymi z promieni.*

Roman Mleczko

1.

Jesień przyszła już w sierpniu. Dni były jeszcze słoneczne; łądziły ciepłem, cieszyły oczy blaskiem, zachwycały błękitem nieba. Wieczory potrafiły jednak przeszyć chłodem, zrosić, zapachnieć wilgotnymi liśćmi. Poranki zaś tonęły we mgle, która przynosiła Kamili przyjemność bycia niewidoczną. Ufnie zatapiała się w jej mokrym puchu, wiedząc, że dzień przyniesie ciężką pracę, owocującą bólem stóp i kręgosłupa. Popołudniowe powroty do domu zwykle były szybkie, pozbawione zachwyty nad ostatnimi chwilami lata, zdominowane chęcią jak najszybszego znalezienia się w łóżku.

Tej soboty stały rytm dnia został zburzony. Kamila weszła na podwórze. Miała zamiar niepostrzeżenie wsunąć się do kuchni, zjeść kolację i zniknąć w bezpiecznym pokoju, ale los spletał jej figła. W ogrodzie natknęła się na ciotkę z Piotrem. Mężczyzna klęczał na trawie, spoglądając w oczy siedzącej na ławce Marii.

– Dlatego pomyślałem, że raz kozie śmierć, i przyszedłem – powiedział poważnym głosem. – Czy zostaniesz moją żoną?

Kamila zamarła w bezruchu. Wiedziała, że ciocia przyjmie propozycję. Reżyser był w ich domu niemal codziennym gościem. Bardzo długo zwlekał ze sformalizowaniem znajomości, ale w końcu odważył się na śmiały krok. Stanowili z Marią nieco wybuchową, ale bardzo fajną parę.

– Oczywiście – usłyszała głos cioci.

Teraz miała do wyboru: albo podejść, pogratulować i wraz z narzeczonymi świętować ich szczęście (robiąc za piątą koło u wozu), albo zniknąć bezszelestnie, udając, że wcale jej tu nie było. Wybrała drugą opcję. Najciszej, jak tylko potrafiła, wycofała się w stronę furtki. Wybrała ścieżkę

wiodącą do lasu. Orzeźwiający chłód późnego popołudnia i znajomy zapach ściółki sprawiły, że zmęczenie ustąpiło miejsca wspomnieniom z dzieciństwa. Odnalazła dawno nieodwiedzane miejsce ze złamanym pniem brzozy, a ono przyjęło ją niczym tęsknie wyczekiwanego gościa.

Bartek wyszedł przed blok i spojrzał na błękitne, bezchmurne niebo.

„Wspaniale – pomyślał, uśmiechając się. – Nawet kaprysy pogody nie zepsują dzisiejszego święta”. Rażnym krokiem ruszył w stronę kwiaciarni. Karina miała urodziny. Nie lubiła róż, dlatego wybrał białe lilie i czym prędzej ruszył na przystanek autobusowy. Był nieco spóźniony, a nie chciał, żeby uroczym jubilatka musiała na niego za długo czekać.

Z daleka zobaczył znajomo wyglądającą dziewczynę, nie potrafił jednak skojarzyć, kim ona jest. Rozpoznał Małgosię dopiero wtedy, gdy podszedł na odległość kilku kroków. Była ubrana w zieloną, gładką sukienkę na szerokich ramiączkach, przepasaną szerokim, kremowym paskiem. Przez ramię przewiesiła jasną, małą torebkę. Na jej plecach nie spoczywał gruby warkocz; obcięte włosy otaczały twarz delikatnymi falami, miękko opadając na ramiona. Pomiedzy lokami tańczyły promienie słońca, odbijając się w błyszczących oczach. Bartek dopiero teraz dostrzegł ich niezwykły, zielonoszary kolor.

– Cześć, Gośka – powiedział nieco niepewnie.

– Cześć – odparła, odgarniając z czoła ciemny kosmyk.

Śledził wzrokiem wdzięczny ruch jej dłoni. Nigdy wcześniej go nie widział. A może tylko dotąd nie zauważał?

– Co u ciebie? – zapytał, walcząc z dziwnym onieśmieleniem.

– Nic ciekawego – odparła, ukradkiem zerkając na zegarek. Pewnie na kogoś czekała.

Chłopak zrozumiał sugestię. Powinien się pożegnać i zająć sprawami, które jeszcze przed chwilą wydawały się ważne, ale nie potrafił. Zupełnie jakby Małgosia miała w oczach magnes, który nie pozwalał oderwać od nich wzroku.

– A jak było na koloniach? – kontynuował wymuszoną konwersację.

– Dobrze. Mieliśmy naprawdę cudowne dzieciaki.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła, a Bartek nie potrafił jej ożywić. Gosia była jakaś obca, jakby odmieniona, doroślejsza, a w jej postawie, słowach i zachowaniu nie dostrzegł nawet cienia ironii, do której zdążył przywyknąć.

Owa niczym nieuzasadniona przemiana onieśmielała go, a jednocześnie fascynowała.

– A włoski? – zadał kolejne banalne pytanie. – Dałaś radę?

Uśmiechnęła się leciutko, ale nie zdążyła odpowiedzieć, dostrzegła bowiem nadchodzącego chłopaka i na nim się skupiła.

– Cześć, Małgosiu – powiedział przybysz, wręczając dziewczynie bukietik żółtych, drobnych różyczek. – Długo czekasz? Chyba się nie spóźniłem?

– Cześć, Irek, nie, nie spóźniłeś się, dziękuję – odparła hurtem na wszystkie pytania i zanurzyła twarz w kwiatkach. Nie posiadały kwiaciarskiego przybrania, zapewne zostały kupione na straganie, ale wspaniale komponowały się z urodą i strojem Małgosi. Pasowały do niej, podobnie jak nowe uczesanie, nieśmiały uśmiech oraz delikatna kobiecość.

Bartek chrząknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Wiedział, że powinien odejść, ale nie potrafił się zmusić. Dziewczyna uniosła głowę, a na jej twarzy zagościła dobrze znana ironia.

– Wy się chyba nie znacie – powiedziała.

Wymienili grzecznościowe powitania, po czym Irek objął Małgosię ramieniem.

– Chodźmy, bo się spóźnimy – ponaglił, cmokając ją w policzek.

– Chodźmy – zgodziła się ochoczo.

Podążyli chodnikiem, przytuleni, zajęci sobą, nie zwracając uwagi na pozostawionego na przystanku chłopaka. Szybko zniknęli z pola widzenia, a Bartek wciąż patrzył za nimi, jakby miał nadzieję, że Małgosia wróci, zaproponuje, by wybrał się z nimi, obdarzy chociaż jednym miłym słowem, ciepłym uśmiechem, spojrzy tymi pięknymi oczami w kolorze wzburzonego morza...

Niestety nic takiego się nie stało. Na przystanek podjechał autobus i wypłuł z nagrzanego wnętrza ludzi wracających z pracy. W kieszeni chłopaka zadzwieczał telefon. Bartek sięgnął po niego z ociąganiem. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

– Gdzie jesteś? – usłyszał zniecierpliwiony głos Kariny. – Czekamy na ciebie.

– Już, zaraz będę, daj mi pół godzinki – odparł, wsiadając do autobusu. Najchętniej wróciłby do domu, ale nie mógł przecież zawieść swojej dziewczyny. Nie dzisiaj, w dniu jej urodzin. Zresztą Małgosia nie była warta awantury z Kariną. Wystroiła się w kieckę, zmieniła fryzurę, wyglądała jak

kobieta, to i zrobiła wrażenie. Nie zmieniało to jednak faktu, żeby była dzieciakiem, nikim więcej.

Kamila wygodniej usiadła na pniu brzozy, oparła głowę o stojące najbliżej drzewo i opuściła powieki. Była zmęczona, ale nie na tyle, żeby nie myśleć. Doskonale wiedziała, że teraz zmieni się całe jej życie.

Ciocia wyjdzie za mąż, a dorosła bratanica powinna sama o siebie zadbać. Ostatecznie Maria z jakiegoś powodu nie przedłużyła umowy najmu domu w Smolcu. Czyżby przeczuwała, że nadchodzi czas rewolucji w jej życiu? Dla Kamili był to jednoznaczny sygnał; aż dziwne, że wcześniej go nie zrozumiała. Nie należało nadużywać gościnności ciotki. Przyjeżdżając tu, wiedziała, że będzie musiała wyjechać. Tylko że wtedy miała w Smolcu dom, Tomka, marzenia. Teraz nic jej tam nie ciągnęło, podobnie jak nic nie trzymało jej w Warszawie. No, może poza przyjaźnią z Małgosią, poza więzią, która połączyła ją z ciotką. Przy Wojtku doświadczyła kilku chwil złudnego szczęścia, które jednak szybko prysły. Pozostał smutek. Teraz dołączyła do niego świadomość, że nikomu nie była potrzebna. Wszyscy mieli własne życie.

Długo tłumione, zagłuszone pracą łzy wymknęły się spod powiek. Z piersi wydarł się szloch.

Blask latarki złamał panujący w lesie mrok. Niestety Kamila dostrzegła go za późno i nie zdążyła ani się schować, ani uspokoić. Intruz musiał usłyszeć jej płacz.

– Kto tu jest? – usłyszała męski głos.

Zamarła, wstrzymując oddech. Miała nadzieję, że gdy nie będzie oddychać, stanie się niewidzialna. Właściciel latarki postanowił jednak zbadać przyczynę odgłosów, które zmąciły ciszę leśnego wieczoru. Wkrótce ostre światło oślepiło dziewczynę.

– Mila? Co ty tutaj robisz?

– Wojtek? – zapytała, choć przecież tylko on w taki sposób zdrabniał jej imię. Była jednak tak rozszalona i nieszczęśliwa, że nie potrafiła odróżnić rzeczywistości od wytworów zmęczonej wyobraźni. Wolą się upewnić.

– No ja. Co tu robisz?

– Nic, siedzę sobie – odparła z hardością, której nie czuła. Dobrze, że mrok na powrót skrył mokre od łez policzki.

– W nocy?

– A nie wolno?

Podszedł do pnia brzozy i ponownie skierował światło na jej twarz.

– Beksa jesteś – stwierdził rozbawionym tonem.

– Nie jestem.

– Jesteś. Ciągłe ryczysz, jakby nie było ciekawszych zajęć.

– Idź sobie – warknęła groźnie. – I zabierz tę latarkę, bo mnie oślepia.

– Chcesz, żebym poszedł?

– Tak.

– Dobrze, ale tylko z tobą.

– Ależ ty jesteś namolny! Dlaczego nie możesz zwyczajnie mnie tu zostawić?

– Bo jest zimno, a ty masz koszulkę z krótkim rękawem. Bo jest ciemno i niebezpiecznie. Bo jestem twoim przyjacielem. Bo ty byś mnie nie zostawiła. Bo bardzo cię lubię. Mam wymieniać dalej?

– Nie.

– To idziemy. – Chwycił ją za łokieć i wyprowadził na ścieżkę. Przesunął rękę wzdłuż zimnego przedramienia dziewczyny, pozwalając dłoniom się spotkać, a palcom spleść w silnym uścisku.

Kamila nie zadawała żadnych pytań. Ufnie podążyła za kręgiem światła, rzucanym przez latarkę.

Bartek ze wszystkich sił starał się zapomnieć o spotkaniu z Małgosią. Niestety nie potrafił. Zamiast bawić się na zorganizowanym przez Karinę przyjęciu, siedział w fotelu i bezmyślnie spoglądał w czarne niebo za oknem.

– Źle się czujesz? – zapytała z troską Karina, kładąc rękę na czole chłopaka.

– Nie, w porządku – odpowiedział. – Zwyczajnie nie mam nastroju...

– Zaraz temu zaradzimy. – Podeszła do stolika z alkoholem i nalała lampkę wina. – Proszę.

– Co? – Nieprzytomnym wzrokiem spojrział na kieliszek. – Nie chcę.

– Mruk jesteś. Zupełnie jak ta twoja Gośka.

Bartek aż się zaczerwienił ze złości. Nie spodobały mu się słowa Kariny. Może wczoraj nie zwróciłby na nie uwagi, nie zareagowałby, ale dziś jego myśli wciąż krążyły wokół Małgosi, która – owszem – miała specyficzne

poczucie humoru, bywała uparta, czasem złośliwa, ale zawsze pozostawała życzliwa i serdeczna.

– Ona nie jest mrukiem – powiedział stanowczo. – Nie masz prawa tak o niej mówić. Nawet jej nie znasz!

– No proszę! – oburzyła się Karina. – Ja nie mam prawa?

– Nie.

Dziewczyna zakipiała z wściekłości, ale na Bartku nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Nie miał ochoty oglądać jej furii ani słuchać wymówek. Wstał i wyszedł bez pożegnania. Wiedział, że będzie go to drogo kosztowało. Kiedyś już się ośmielił przeciwstawić Karinie. Musiał ją później długo przeproszać, przekupując czułymi słówkami i prezentami. Ale tym razem przesadziła i należało dać jej jasno do zrozumienia, że nie zamierza tego tolerować. Bo nikt nie ma prawa obrażać Małgosi. Nikt. Nigdy.

Kamila pozwoliła zaprowadzić się do leśniczówki, usadzić w fotelu i otulić wełnianym kocem. Refleksja przyszła dopiero wtedy, gdy po ciele rozeszło się przyjemne ciepło. Przypomniała sobie słowa Wojtka, uścisk jego dłoni...

Co to wszystko miało znaczyć? Szukając odpowiedzi, rozejrzała się po dużym, skromnie urządzonej, ale zarazem dość przytulnym pomieszczeniu. Pokój był podzielony na dwie części: sypialnię i jadalnię. W kącie pod oknem stało starannie zasłane łóżko, na nim leżała otwarta książka. Obok znajdowała się ława przykryta obrusem. Naprzeciwko okna ustawiono stary, wielki regał, zajmujący całą ścianę. Fotel, na którym siedziała, stał przy ławie, dokładnie na granicy sypialni i jadalni. Obok był stary piec kaflowy. Teraz niestety zimny. W rogu umieszczono stół i trzy krzesła. Drewnianą podłogę okrywał czerwono-szary dywan, a na środku pokoju spał pies o piaskowej sierści. Deski skrzypnęły i do pokoju wszedł Wojtek. Podał dziewczynie kubek z parującym napojem.

– Mieszkasz tu? – zapytała.

– Tak – odparł, okrywając ją tak, by mogła unosić kubek do ust. – Pij herbatę, rozgrzejesz się.

– Naniosłam ci błocka.

– To nic. – Ustawił krzesło obok fotela i spojrzał Kamili w oczy. – Powiesz mi, co robiłaś w lesie?

– Siedziałam. Nie miałam dokąd iść, to poszłam do lasu. Wielka mi

sprawa.

– Jak to nie miałaś dokąd iść? Jeśli masz jakiś problem, to trzeba było do mnie zadzwonić.

– Zadzwonić? – Uniosła brwi. – Po co? Przecież ty nie odbierasz moich telefonów. A tak... są wakacje i wzorowy gospodarz klasy wyjechał na urlop. Zresztą moje kłopoty w żaden sposób nie dotyczą szkoły, więc ich rozwiązywanie nie wchodzi w zakres twoich obowiązków.

Sama nie wiedziała, dlaczego poczęstowała chłopaka taką dawką uszczypliwości. Chyba nagromadzony w sercu żal musiał w końcu znaleźć ujście.

Wojtek gniewnie zmarszczył brwi i pochylił się w stronę Kamili. Jego twarz znalazła się kilkanaście centymetrów od jej twarzy.

– Posłuchaj, smarkulo – powiedział cichym, ale groźnym głosem. – To, co zrobiłaś, było nieodpowiedzialne, głupie i zwyczajnie niebezpieczne. Zastanianie się impertynencją nic ci nie da. Wypij herbatę i zastanów się, jak mogłoby się to skończyć, gdybym cię nie spotkał albo gdyby na moim miejscu był ktoś inny.

Wyszedł, zostawiając Kamilę z własnymi myślami. Oczywiście miał rację, choć niechętnie to przyznała. Zrobiło jej się gorąco ze wstydu i upokorzenia. Inaczej sobie wyobrażała spotkanie z Wojtkiem. Miała nadzieję, że całą sprawę da się wyjaśnić, załagodzić. Teraz była pewna, że już nigdy nie dojdą do porozumienia. Zbyt wiele ich różniło. Niepotrzebnie tu przysłała.

Stanowczym ruchem odrzuciła koc, odstawiła kubek na stół i wyszła do małego korytarza. Po lewej stronie znajdowały się dwie pary drzwi. Jedne były otwarte. Podeszła i ujrzała Wojtkę opartego rękami o kuchenną szafkę. Stał tyłem, nie poruszył się, chociaż na pewno usłyszał jej ciężkie kroki. Była tak zmęczona, że nie potrafiła stąpać lekko.

– Przepraszam – powiedziała słabym głosem. – Masz rację, zachowuję się jak gówniara. Chyba najlepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Dokąd pójdziesz? – zapytał, odwracając się w jej stronę. – Do domu przez ciemny las czy pięć kilometrów równie ciemną drogą?

– Poradzę sobie.

– Odwiozę cię, ale najpierw porozmawiamy. Chodź tutaj. – Wyciągnął rękę i zaczekał, aż Kamila położy na niej swoją dłoń. Potem ustawił dziewczynę naprzeciwko siebie i objął w pasie, jakby się bał, że mu ucieknie. – Jest mi bardzo przykro, że traktujesz moją przyjaźń jak coś sztucznego.

– Wojtek, ja...

– Ciii... Uczciwie na to zapracowałem, więc mam pretensje głównie do siebie. Myślałem, że mi ujdzie na sucho, ale z tobą nie ma łatwo.

– Wolałbyś, żeby było?

– Nie. – Uśmiechnął się i odgarnął włosy z twarzy Kamili. – Początek naszej znajomości nie był najlepszy i doskonale o tym wiem. Miałem ciężki okres, chodziłem podminowany, wkurzałem się o byle głupstwo. Wstyd mi, bo nieraz sprawiłem ci przykrość.

– Daj już spokój...

Zdawał się nie słyszeć jej prośby. Musiał raz na zawsze wyjaśnić wszelkie niedomówienia, gdyż ich nagromadzenie powodowało niepotrzebne sprzeczki.

– Nie odbierałem twoich telefonów, bo chciałem cię ukarać za brak zaufania. Chciałem zadzwonić po dwóch tygodniach, ale po tym, co mi powiedział Krystian... – Przeniósł wzrok z twarzy dziewczyny na ścianę za nią. – Nie mogłem.

– Co powiedział?

– Że cię krzywdzę i że dzieje się z tobą coś złego.

– Bzdura!

Ponownie spojrzał jej w oczy.

– Dlaczego zaprzeczasz, kiedy widzę, że to prawda? Jesteś bardzo wrażliwa, łatwo cię skrzywdzić.

– Nie jestem z porcelany i nie trzeba chodzić wokół mnie na palcach.

– No wiesz, trochę jesteś... porcelanowa, ale mnie się to akurat bardzo podoba.

– Co? – Uniosła brwi ze zdumienia.

– Widzisz, Miluś, powiedziałem kiedyś, że nie posiadasz niczego, czego mógłbym chcieć. Kłamałem. Masz miły uśmiech, bardzo ładne oczy, jesteś śliczna i dobra. A dotyk twojej ręki sprawia, że... czuję się lepszy, niż jestem. Chcę to wszystko mieć każdego dnia. Na wyłączność.

Był zdenerwowany. Nie przygotował sobie odpowiedniej przemowy, więc mówił prosto, od serca. Mięsień policzka drgał od nadmiaru emocji. Dostrzegłszy to, dziewczyna przyłożyła dłoń do twarzy Wojtka, delikatnie rozmasowując pulsujące miejsce.

– Ale wiesz, że dzisiaj nic nie ma za darmo? – zapytała cichutko.

Przesunął rękę Kamili do ust. Pocałował opuszek każdego palca, dotknął wargami wnętrza dłoni, po czym ułożył ją sobie na piersi.

– Nie stać mnie na taki skarb – powiedział. – Ale mogę ci oddać wszystko, co mam. Całą nagromadzoną we mnie czułość, a resztę spłacać w ratach każdego dnia.

Dziewczyna stanęła na palcach i nieśmiało musnęła wargami usta Wojtka. Kolejne dotknięcie było już pewniejsze. Trzecie zaś spotkało się ze zdecydowaną reakcją ze strony chłopaka. Delikatnie przygryzł górną wargę Kamili, chcąc poczuć jej smak. Scałował sól łez.

– Tęskniłam za tobą – wyznała, ufnie wtulając się w niego.

– Ja też tęskniłem, Milusia.

Bartek zapalił lampkę na biurku i wyłączywszy górne światło, z westchnieniem ulgi usiadł w fotelu. Nie był zmęczony, ale dziwnie zde gustowany, rozdrażniony. Sprzeczki z Kariną i jej niedojrzałe zachowanie zaczynały go męczyć. Dziewczyna nie potrafiła uszanować czyjegoś odmiennego zdania, a na wszelkie próby przeciwstawienia się jej woli odpowiadała złością.

Parę dni temu zapytała, czy ją kocha. Nie znał odpowiedzi, bo niby skąd? Kilka miesięcy znajomości to zdecydowanie za mało, żeby być pewnym miłości. Odparł więc, zgodnie z prawdą, że nie wie. Karina najwyraźniej oczekiwała czegoś w rodzaju wiążącej deklaracji, bo odwróciła się na pięcie i odeszła bez słowa. Bartek chciał wykrzesać z siebie chociaż iskierkę żalu. Nie udało się. Nie miał ochoty zatrzymywać dziewczyny ani niczego jej tłumaczyć. Refleksja przyszła później. Prosił, błagał; namęczył się, ale w końcu mu wybaczyła. Tyle że dzisiaj znowu wycięła numer, a on miał już po dziurki w nosie jej kaprysów. Teraz mógł wszystko przemyśleć, odpocząć i spokojnie poczytać. Właśnie, na półce leżała pożyczona od kolegi książka. Sięgnął po nią i otworzywszy, przebiegł wzrokiem pierwszy akapit. Lekturę przerwało wibrowanie telefonu w kieszeni.

– Halo – mruknął niechętnie, przyłożywszy komórkę do ucha.

– Cześć, tu Łukasz– usłyszał napięty głos kolegi. – Możesz nas zawieźć do szpitala?

– A co się stało?

– Wypiłem piwo i nie usiądę za kierownicą. Możesz jechać czy wezwać taksówkę?

– Ale dlaczego do szpitala?

– Coś z Gosią, nie wiem dokładnie. Pojedziesz?

– Tak, już schodzę. Czekaście przy samochodzie.

Złapał kluczyki, dokumenty i wybiegł z mieszkania. Serce biło mu jak oszalałe. Czuł, że wydarzyło się coś złego.

Gosia leżała w niedużej, szpitalnej sali przylegającej do pokoju pielęgniarek. Stojąca przy łóżku aparatura cichym pikaniem informowała, że serce pracuje w miarę rytmicznie. Dziewczyna była nieprzytomna. Błede policzki oraz zamknięte, otoczone szarymi, prawie czarnymi cieniami oczy nadawały twarzy nienaturalny, wręcz upiorny wyraz.

– Boże! – jęknął Bartek, zaciskając palce na poręczy łóżka.

Nie był w stanie nic więcej powiedzieć. Drżał. Widok pełnej życia, energicznej Małgosi w takim stanie szokował. Właśnie się dowiedział, że dziewczyna została odurzona narkotykami, które weszły w reakcję z tabletkami przeciwbólowymi niewiadomego pochodzenia. Gdyby pomoc nie przyszła na czas, zatrucie organizmu i spowolnienie akcji serca mogłyby doprowadzić nawet do śmierci. Zadziwiające, jak kruche jest ludzkie życie. Jednego dnia człowiek się śmieje, rozmawia, a następnego staje na krawędzi; jeden niewłaściwy, zbyt pochopny ruch i...

– Chodź. – Ktoś położył mu rękę na ramieniu. – Już późno. Pielęgniarka kazała nam opuścić oddział. Przyjdziemy jutro.

Bartek spojrzał w bladą, ściągniętą strachem i bólem twarz Łukasza.

– Czy jej życiu coś zagraża? – zapytał drżącym głosem.

– Lekarz mówi, że trzeba mieć nadzieję. Jest młoda, ma silne serce, teraz wszystko zależy od jej organizmu. Oni zrobili już wszystko. Chodźmy, mama zostanie z nią do rana.

Opuścili oddział, ale Bartek nie mógł przestać myśleć o nieprzytomnej Małgosi i przyczynach, które doprowadziły ją na skraj życia i śmierci.

– A te leki przeciwbólowe? – zapytał. – Co to za świństwo? Skąd je miała?

– Przywiozła z Włoch. Lekarz twierdzi, że to nie są tylko środki przeciwbólowe. Działają jak antydepresanty.

– Co? – Bartek znieruchomiał na środku jezdni. – Przecież takie leki są na receptę.

– Ktoś jej to załatwił bez recepty. – Łukasz musiał popchnąć kolegę

w stronę chodnika. – Nie wiem zresztą. Myśmy nie pytali. Powiedziała, że przeciwbólowe.

Wojtek oparł policzek o głowę Kamili. Po raz pierwszy od dawna był szczęśliwy. Nie musiał niczego udawać, o nic walczyć, niczego ukrywać. Po prostu stał, chłonąc zapach jasnych włosów, gładząc plecy dziewczyny. Jej bliskość oraz wspomnienie niedawnych pocałunków sprawiały, że ciało ogarniał błogi spokój, a duszę pewność, że jutro też będzie dobry dzień.

Jeden jedyny cień mącił jego szczęście, powodując lęk i wyrzuty sumienia. Kamila bardzo schudła, a zmęczenie odcisnęło piętno na jej bladej, wymizerowanej twarzy. Zbyt ciężko pracowała. Dobrze wiedział, że on i tylko on ponosi za to odpowiedzialność. Gdyby był przy dziewczynie, nie doszłoby do takiej sytuacji. Niepotrzebnie uniósł się honorem. Należało wyjaśnić nieporozumienie od razu, a nie igrać z jej uczuciami. Chciał, żeby zatęskniła, żeby było jej przykro, żeby zaboląło. I osiągnął cel. Nie przypuszczał jednak, że dziewczyna tak to odchoruje. Teraz należało wszystko naprawić, zatroszczyć się o Kamilę, zadbać, żeby wypoczęła, nabrała sił. Może powinien zabrać ją na jakąś szaloną wyprawę za miasto?

– Zjemy coś, dobrze? – zaproponował.

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała w kasztanowe oczy.

– Jak chcesz, Wojtuś.

– Ale nie wiedziałem, że przyjdziesz. Mam tylko chleb, jakąś konserwę i pomidory.

– Mną się nie przejmuj. Niczego nie potrzebuję.

– Potrzebujesz. – Uśmiechnął się do spokojnego błękitu jej oczu.

Bartek spojrzał na lampkę. Tak się spieszył, że zapomniał ją wyłączyć. Dobrze, nie lubił wracać do ciemnego mieszkania. Usiadł ciężko w fotelu i okrył się kocem, gdyż nagle przeszył go dziwny chłód. Wpatrując się w białą ścianę, myślał o Małgosi.

Znał ją od zawsze. Mieszkali w jednym bloku – on na parterze, ona na siódmym piętrze. Dobrze pamiętał małą, ciekawą świata dziewczynkę z warkoczykami, która dźwigając lalkę, wysiadała z windy. Przyjaźnił się z jej bratem. Prawie zawsze była towarzyszką ich zabaw, często siedziała na

trawie, kiedy oni grali w piłkę. Czasem jej obecność bywała uciążliwa, innym razem przydatna. Ileż to razy wyjmowała z pluszowego plecaka paczkę chusteczek higienicznych, żeby przyłożyć do krwawiącego kolana. Chłopcy traktowali ją nieco z góry, ale życzliwie, a kiedy wyrosła na rezolutną panienkę, często służyła im radą i pomocą.

Bartek był od Małgosi sześć lat starszy, ale ta różnica wieku już dawno się zatarła. Wiadomo, dziewczęta szybciej dorastają. Zawsze mieli o czym rozmawiać. Oboje kochali muzykę. Należeli do zespołu stworzonego przez osiedlowy dom kultury. Od dwóch lat pracowali w świetlicy. Potrafili porozumiewać się niemal bez słów. Małgosia była wspaniałą przyjaciółką. Zawsze pomogła, zawsze wysłuchała, zawsze znalazła dobre słowo. Tylko dzięki jej wsparciu, energii i optymizmowi Bartek pozbierał się po śmierci babci.

A teraz dziewczyna leżała w szpitalu. Była bezbronna jak nigdy wcześniej, chociaż otoczona troskliwą opieką rodziny i lekarzy. Tę najważniejszą bitwę z losem, walkę o życie, musiała stoczyć sama. Czy wygra? Czy chce ją wygrać? Nie wiadomo.

– Musisz żyć, Małgoniu – szepnął. – Jesteś za młoda, żeby umierać. Bez ciebie świat będzie smutny i pusty. Kocham cię bardzo, wiesz? Kocham...

Głos mu nagle zadrżał. Chłopak wstał i otworzył okno. Chłód sierpniowej nocy wdarł się do pokoju, owiał rozpaloną twarz. Bartek miał nadzieję, że ostudzi też emocje. Kochać Gośkę? Nie, to niemożliwe, miał przecież Karinę! Owszem, zmieniała go po swojemu, chciała decydować o jego wyglądzie, kierować słowami, zachowaniem, nawet myślami, ale dawała w zamian... Właśnie, co dawała? Czasem uśmiech, czasem chwilę czułości, gdy zrobił coś tak, jak sobie życzyła. Czymże to było w porównaniu ze stałą gotowością do pomocy, szczerymi do bólu rozmowami i nieco szorstką, ale nieudawaną przyjaźnią?

Bartek westchnął głośno. Jeszcze kilka dni temu nie wiedział, czy kocha Karinę, a teraz bez chwili wahania deklarował uczucie do Małgosi. I był go pewien. Gdyby dziewczyna stanęła przed nim i zażądała miłosnego wyznania – nie zastanawiałby się ani chwili. Ona jednak nie chciała jego miłości... Przypomniawszy sobie uczucie, które go ogarnęło, gdy odeszła wsparta na ramieniu obcego chłopaka: mieszankę rozdarcia, złości, dziwnej pustki, poczucia straty.

– Zazdrość – szepnął do siebie. – To się nazywa zazdrość.

Kamila zasnęła. Była tak zmęczona, że po zjedzeniu kanapki z mielonką i wypiciu kilku łyków gorącej herbaty, zwyczajnie odpłynęła z głową opartą na ramieniu Wojtka. Chłopak nie zdążył już ustalić, co robiła w lesie. Na poważne rozmowy będzie jeszcze czas. Teraz ułożył dziewczynę w swoim łóżku i starannie okrył kołdrą.

– Śpij dobrze – szepnął, muskając ustami jej czoło.

2.

Zapach kakao wyrwał Kamilę ze snu. Otworzyła oczy i powiodła spojrzeniem po zalanym słońcem pokoju. Regał, a na nim wieża stereo oraz masa równo ustawionych książek. Niektóre nowe, zapewne jeszcze pachnące farbą drukarską, inne wielokrotnie czytane, z pogiętymi rogami. W kącie pomiędzy regałem a ścianą – drewniany kwietnik, a na nim ogromna paproć ze zwisającymi obficie pędami. Słońce właśnie zatańczyło pomiędzy zielonymi liśćmi.

Skrzypnięcie podłogi. W drzwiach pokoju stanął Wojtek. Jego uśmiech i blask w kasztanowych oczach przywołał wspomnienie wczorajszego wieczoru.

– Hej, Miluś – szepnął chłopak, podchodząc do łóżka.

– Hej. Chyba zasnęłam.

– Chyba tak. – Zanurzył palce w jasnych włosach, wygładzając ich nocny nieład. – Zrobiłem śniadanie.

– Dasz mi chwilkę?

– Jasne. Położyłem ręcznik w łazience.

Energicznie wyskoczyła z łóżka i nie marnując czasu na szukanie butów, pobiegła do łazienki. Włosy sterczały każdy w inną stronę. Na widok zapuchniętych od wczorajszego płaczu oczu aż jęknęła, ale usta i tak same się uśmiechały. Przemycie twarzy zimną wodą oraz użycie grzebienia rozwiązało część problemów. Zamiast szczoteczki do zębów musiał wystarczyć palec.

„Pełna prowizorka” – stwierdziła, patrząc w lustro. Niewiele więcej mogła jednak zrobić. Opuściła łazienkę.

A w pokoju czekała na dziewczynę mała ucztą. Ugotowane na miękko jajka tkwiły w plastikowych podstawkach. Na talerzach ułożono plasterki wędliny i pomidora. W salaterce czekał twarożek ze szczypiorkiem, w kubkach

parowało aromatyczne kakao.

– Byłeś w sklepie? – Kamila spojrzała na Wojtka stawiającego na stole koszyk z pieczywem.

– Byłem – potwierdził. – Spałaś, więc zamknąłem cię na klucz, a Sonia pilnowała, żebyś nie wyszła oknem.

– Ale przecież to królewskie śniadanie. Nie musiałeś, ja...

– Chciałem. Siadaj. – Odsunął krzesło i wykonał zapraszający gest. – Nie wiedziałem, co lubisz, więc wziąłem wszystkiego po trochu.

– Z bułkami trafiłeś idealnie. – Wzięła z koszyka kajzerkę posypaną ziarnami słonecznika, uniosła i z lubością wciągnęła świeży zapach.

– Za tymi akurat sam przepadam.

Kamila jadła powoli, ukradkiem obserwując Wojtka. Czuła się trochę nieswojo; on był starannie umyty, ogolony i ubrany, a ona nosiła wczorajsze ciuchy, ubrudzone ziemią i mchem. Zarazem nigdy żadne śniadanie nie smakowało jej tak bardzo.

– Dlaczego mieszkasz tu sam? – ośmieliła się zadać nurtujące ją pytanie.

– Tu jest mój dom – odparł spokojnie.

– Ale Iza mówiła, że jesteście sąsiadami.

– Byliśmy. – Odłożył łyżeczkę i wyciągnął rękę w stronę Kamili. – Przyjdiesz do mnie?

Uśmiechnęła się i odstawivszy kubek, podeszła do chłopaka i usiadła mu na kolanach.

– Nie musisz mówić – zastrzegła, widząc jego poważną minę.

– Chcę. Moi rodzice się rozwodzą.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. To było jedyne możliwe rozwiązanie. Ojciec pił i bił. Mama płakała i maskowała siniaki. Jak byłem w domu, to ją broniłem, ale... nie zawsze byłem.

Splotła palce z jego palcami na znak, że jest obok i że rozumie.

– Mama przeprowadziła się do babci, a ja tutaj, ojciec został w kawalerce. Mama nie chce tu mieszkać, bo wieczorem nieciekawie samemu wracać przez las, a szosa daleka droga do przystanku.

– Musi ci być ciężko.

– Nie, Miluś. – Uśmiechnął się lekko. – Odpocząłem od awantur, od nerwów. Mam tu spokój i ciszę. W końcu mogę zająć się tym, co dla mnie ważne, czyli tobą. – Dotknął ustami policzka Kamili. – Teraz już wiesz,

dlaczego byłem taki nerwowy.

– Wiem – szepnęła, mocniej zaciskając palce na dłoni chłopaka. – I przepraszam, że nie starałam się zrozumieć.

– A teraz twoja kolej. Co robiłaś wczoraj w lesie?

– Musiałam sobie popłakać. – Wzruszyła lekko ramionami. – Było mi bardzo smutno. Ciocia zaręczyła się z Piotrem, a ja nagle poczułam, że jestem sama. Powinnam wyjechać.

– Dokąd wyjechać?

– Do domu, Wojtek. Ja tu jestem tylko tymczasowo. A teraz, gdy ciocia wyjdzie za mąż, nie chcę jej zawadzać.

– Zaraz, co ty za bzdury pleciesz? – zdziwił się. – Przecież pani Maria nigdzie cię nie puści. Zawadzać, dobre sobie! A ja? Pomyślałaś o mnie?

– Myślałam, że ci nie zależy...

– Ale teraz już wiesz, że zależy.

– Wiem. Dlatego boli jeszcze bardziej.

Wojtek objął Kamilę i przytulił. Mocno. Tak, żeby poczuła ciepło i siłę jego ramion.

– Gdziekolwiek pójdziesz, pójdę z tobą – szepnął. – A z ciocią musisz porozmawiać. Ucieczka nic nie da.

– Dziękuję. – Ufnie poddała się uściskowi. I zapewne trwałaby w nim jeszcze długo, gdyby nie wibrujący w kieszeni chłopaka telefon.

– Krystian – stwierdził niechętnie Wojtek. – Od wczoraj wydzwania.

– To odbierz. – Wstała i zaczęła znosić ze stołu naczynia. Zabierała się do zmywania, gdy poczuła rękę na ramieniu. – Co tam? – zapytała.

– Gosia jest w szpitalu.

– Ale... – Odwróciła się, próbując wyczytać z twarzy Wojtka, czy sprawa jest poważna. – Co się stało?

– Nie wiem.

– Ja...

– Zawiozę cię.

– Najpierw do domu, muszę się przebrać.

– Jasne. Chodź.

Maria wybiegła do przedpokoju i od razu zasypała bratanicę lawiną pytań. Dziewczyna próbowała odpowiadać, ale wychodziło jej to nieskładnie.

Myślała jedynie o tym, żeby wziąć prysznic i jechać do Małgosi. Na szczęście Wojtek przyszedł z pomocą, tłumacząc, że byli razem.

Kamila weszła najpierw do swojego pokoju. Pomimo pośpiechu postąpiła dłużej przed szafą, zastanawiając się, co na siebie włożyć, w czym spodoba się Wojtkowi. Wybrała białą tunikę w różowe, drobne kwiatki i jasnobrązową spódnicę. Zdjąwszy z półki szkatułkę z biżuterią, pobiegła do łazienki. Przygotowując się do wyjścia, pokonała własny rekord szybkości. Już po kwadransie stanęła w drzwiach kuchni.

– Możemy jechać?

– Tak, ale później od razu do domu – odparła Maria. – Musimy porozmawiać.

Stanowczy głos cici uświadomił dziewczynie, że czeka ją ciężkie popołudnie. Teraz jednak najważniejsza była Małgosia. Skinęła więc tylko głową.

– Nagrałaś sobie – mruknął Wojtek, kiedy wsiedli do samochodu. – Przy okazji i mnie się oberwało. Powinienem zadzwonić, uspokoić ją, szalała z nerwów, nie wiedząc, gdzie jesteś.

– Przepraszam, głupio wyszło.

– Trochę panią Marię urobiłem, ale swoje będziesz musiała usłyszeć.

– No wiem, Wojtuś. Jedź już, proszę.

– Jedziemy, spokojnie. – Przekręcił kluczyk w stacyjce. – A właściwie dlaczego ty nie odbierasz telefonu? Krystian do ciebie też podobno dzwonił.

– Bateria mi padła.

3.

Małgosia spróbowała otworzyć oczy. Powieki były jednak zbyt ciężkie. Westchnęła. Usłyszała mamę pytającą kogoś, jak długo to jeszcze potrwa. Piekący ból w nadgarstku. Cisza. Odmierzana rytmicznym pikaniem. Głosy. Obce i jakby znajome. I znowu cisza. A potem wiersz, wyłaniający się z tej przeraźliwej, rytmicznej ciszy. Szymborska. Poznała od razu. Miękki, soczyście męski głos obwieszczał, że „tego się nie robi kotu”.

Nikomu się tego nie robi. Samo wychodzi.

Przemocą otwarto jej oczy, zaświecono w nie latarką.

„Po co? Zostawcie. Chcę spać”.

– Nie płacz, Gosieńko. Wszystko będzie dobrze.

Czyżby jakaś łza wymknęła się spod powiek? Dlaczego? Ach, to pewnie

od tego światła.

Cisza, spokój. W końcu nic nie boli. Ciepło, niosące ukojenie i sen. Która godzina? Czemu ten zegar tak głośno tyka?

Kamila. Od razu poznała jej trochę dziecinny głos. „Opowiada o wróblach? Nie, no bez przesady! A, fotografowała wróble. Dobrze, znaczy, że wróciła do swojej pasji. Dzięki, kochana, że pomyślałaś o poprawieniu poduszki. Kark mi już zdrętwiał”.

– Kocham cię, Małgoniu.

Zaraz, kto to powiedział. Mama? Tata? Łukasz? Bartek... Nie! Bartek na pewno nie. Kto? Irek? Wróciły przykre wspomnienia. Zaprosiła poznanego na koloniach chłopaka na urodziny do koleżanki. Zdawał się miły, adorował ją, prawił komplementy. Więc uciekła w jego ramiona przed miłością do Bartka. Na imprezie wypiła jedno piwo, więcej nie chciała, nie smakowało jej. Wolą się przejść, ale Irek nalegał, żeby zostali. Tańczyli. Przyniósł dla niej colę... a potem? Śmiał się. Chciała uciec, ale nie mogła. Nogi zrobiły się dziwnie miękkie, jak z waty. Opanował ją paniczny strach, a Irek wciąż się śmiał. Krystian! Zawołała, czy zabrakło jej sił? Co było potem? Te dziwne głosy, rozmowy, cisza, i równiutkie pikanie, wdzierające się w podświadomość. Znowu jakiś wiersz. Poświatowska? Nie, tylko nie Dehnel!

Małgosia wykonała nadludzki wysiłek. Otworzyła oczy i uniosła głowę. Na krześle obok łóżka siedział Bartek. W dłoniach trzymał książkę.

– Przecież wiesz, że nienawidzę Dehnela – wyszeptała ledwie słyszalnie.

Odłożył tomik, uśmiechnął się.

– Wiem. To była prowokacja. Chciałem cię obudzić. Jak się czujesz?

– Pić mi się chce.

Nalał do kubka wody z plastikowej butelki i podał dziewczynie. Ręce jej drżały, nie była w stanie utrzymać naczynia.

– Spokojnie, to normalne – powiedział, widząc spłoszone spojrzenie Małgosi. – Pomogę ci.

Przyłożył kubek do spieczonych ust dziewczyny i ugasił jej pragnienie. Nie podejrzewałyby go o taką delikatność. A z jaką troską na nią patrzył, jakby cudem uniknęła śmierci.

– Ile czasu tu leżę? – zapytała, opadając na poduszki.

– Drugi dzień. Tak bardzo się o ciebie bałem...

– A Łukasz?

- Był przy tobie całą noc...
- Powinieneś już iść. I nigdy więcej mnie nie odwiedzaj. Nie chcę.
- Goniu, ale...
- Idź już – jej drżący głos zabrzmiał dziwnie mocno.

Bartkowi zabrakło odwagi, żeby się przeciwstawić. Odstawił kubek na szafkę i bez słowa opuścił salę.

Kamila uścisnęła panią Kazię i wyszła z kawiarnianej kuchni. Dzisiaj była w pracy ostatni raz. Wojtek poprosił, żeby zrezygnowała. Nie potrafiła odmówić. Gdyby próbował narzucić jej własne zdanie, zaszantażować emocjonalnie, wtedy na pewno by się sprzeciwiła. On jednak powiedział tylko, że sprawiłaby mu tym przyjemność, bo chciałby, żeby odpoczęła. W ogóle był niezwykle opiekuńczy. Nawet sprawę spędzenia nocy poza domem pięknie załagodził. Dziewczyźnie pozostało tylko wyjaśnić kwestię dalszego pobytu w Warszawie.

– Nie jesteś gościem – powiedziała Maria, zaciskając palce na barkach bratanicy. – Jesteś najbliższą mi osobą i nic tego nie zmieni. Jeśli myślisz, że pozwolę ci wyjechać, to grubo się mylisz. Piotr zresztą też do tego nie dopuści. A umowy o wynajem nie przedłużyłam, bo lokatorzy zniszczyli podłogę w pokojach i zaniedbali podwórze.

Tych kilka zdań rozwiało mgłę niepewności, pozwalając spokojnie spojrzeć w przyszłość i wreszcie w pełni cieszyć się szczęściem cioci i własnym.

– Cześć, Mila. – Wojtek objął dziewczynę i pocałował w policzek. – Załatwiłaś wszystko?

- Tak.
- To co, jedziemy do Gosi?
- Wojtuś...
- Hm?
- Dobrze, że jesteś.

Nie odpowiedział. Uniósł dziewczynę i nie bacząc na zaskoczone piśnięcie ani spojrzenia kawiarnianych gości, obrócił się kilka razy dookoła własnej osi. Tylko tak potrafił wyrazić radość z usłyszanym słów.

Bartek wsiadł do tramwaju, wciąż zastanawiając się, dlaczego Małgosia wyprosiła go ze szpitala. Nie zrobił przecież nic złego. Chciał pomóc, chciał być blisko, a ona go odepchnęła. Może to z powodu choroby? Nie każdy lubi być oglądany w chwilach słabości. A może miała o coś żal? Musi poczekać, aż wróci do sił, i wtedy przeprowadzi z nią szczerą rozmowę. Na pewno nie będzie to łatwe, skoro zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, został wyproszony. Impulsywne działanie leżało jednak w naturze Małgosi.

Z zamyślenia wyrwał chłopaka znajomo brzmiący, kobiecy głos.

– ...i wyobraź sobie, że od dwóch dni nawet nie zadzwonił! – skarżyła się jakaś dziewczyna.

– A mówiłaś, że trzymasz go w garści, że robi, co zechcesz – zadrwiła druga.

– Och, je mi z ręki, tylko się trochę stawia. Bunt resztek męskiej niezależności, ale dam radę, zobaczysz.

Bartek rozpoznał głos Kariny. Już chciał precyzyjnie się pomiędzy pasażerami i przywitać, może nawet wytłumaczyć, dlaczego przez dwa dni nie dawał znaku życia, kiedy usłyszał wypowiedź drugiej dziewczyny.

– Został ci niecały miesiąc. Przed końcem września masz się do niego wprowadzić.

– I tak będzie. Chociaż zastanawiam się czasem, czy te wszystkie zabiegi są warte tych pięciu stów, o które się założyliśmy. Bartek jest po prostu beznadziejny.

Chłopak oblał się rumieńcem. Zarazem wyteńczył słuch, aby nie uronić ani słowa z rozmowy dziewczyn.

– Oj, nie przesadzaj, przecież mówiłaś, że to przystojniak! – oponowała właśnie towarzyszka Kariny.

– Ale nie potrafi o siebie zadbać. Ubiera się jak łachmaniarz. I te jego okulary! Na szczęście przestał je nosić.

Bartek wyjął z kieszeni kurtki okulary i umieścił je na nosie. Karina powiedziała kiedyś, że ma bardzo ładne oczy, których nie powinien zasłaniać. Poleciała mu kupno soczewek kontaktowych, ale jeszcze tego nie zrobił. Nie miał czasu. Ograniczył się więc do nienoszenia okularów. Ostatecznie wadę wzroku miał niewielką, a że dzisiaj trochę dukał przy czytaniu dla Małgosi...

– Skoro tak ci się nie podoba, to może odpuść – zaproponowała koleżanka Kariny.

– Chciałabyś, co? – zapytała, nie kryjąc ironii. – Nie ma tak łatwo. Pięć

stów piechotą nie chodzi. Zresztą to jest jak sport. Uwielbiam zdobywać facetów, a potem ich rzucać. Gdy cierpią, są tacy żałośnie bezbronni...

Autobus zatrzymał się naprzeciwko Dworca Centralnego. Wielu pasażerów wysiadło i pojazd opustoszał. Teraz wystarczyło oderwać wzrok od okna i obrócić głowę o sto osiemdziesiąt stopni, aby spojrzeć w ładną, drwiąco uśmiechniętą twarz Kariny. Bartek to właśnie zrobił. Z przyjemnością patrzył, jak na policzki dziewczyny wypływa krwistoczerwony rumieniec. Nie było mu jej żal. Zmierzył ją wzrokiem, kiwając z politowaniem głową.

– Żegnaj – powiedział tylko, gdy autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku.

Karina otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale Bartek nie słuchał. Już nie.

Małgosia siedziała oparta o poduszki i uparcie wpatrywała się w drzwi sali. To nic, że w głowie wirowało. Leżała zbyt długo, teraz chciała popatrzeć na świat, choćby był to tylko świat szpitalny, wypełniony zapachem leków. Na szczęście odłączono ją w końcu od monotonnie piszczącej aparatury i cewnika. Kilka minut temu była w toalecie. Z pomocą pielęgniarki ledwie się tam doczłapała, ale lepsze to, niż wegetowanie w łóżku. Później, w nagrodę, dostała jeść: niesioną, brunatną papkę, imitującą kleik. No nic, trzeba będzie poprosić mamę, żeby jakoś zaradziła brakom w menu.

Drzwi sali otworzyły się energicznie.

– Gosia! – Kamila dopadła łóżka przyjaciółki. – W końcu się ocknęłaś, śpiąca królowo!

– No, wyspałam się za wszystkie czasy.

– Martwiliśmy się, wiesz?

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Słyszałam was. Kochani jesteście. Cześć, Wojtek, chodź, nie czaj się.

– Gosiu, a może ty czegoś potrzebujesz, co? – zapytał chłopak.

– Głodna jestem. Pielęgniarka powiedziała, że mogę jeść sucharki.

– To ja pójdę kupić, a wy sobie pogadajcie.

– I wodę, Wojtuś, bo tu jest tylko pusta butelka – poprosiła Kamila.

Skinął lekko głową i wyszedł, taktownie zostawiając dziewczęta same.

– Wojtuś? – Małgosia uniosła brwi, uśmiechając się znacząco. – Czyli wszystko dało się wyjaśnić?

– Uhm...

– Cieszę się. – Uścisnęła rękę przyjaciółki.

– Gosiu, a wiesz, że Bartek strasznie się przejął twoją chorobą? – relacjonowała przyciszonym głosem Kamila. Chciała, żeby Małgosia też miała powód do zadowolenia. – Wczoraj siedział tu cały dzień.

– I co? – Gosia wzruszyła ramionami. – W ogóle niepotrzebnie mu mówiliście, że jestem w szpitalu. Czyja to sprawka?

– Moja na pewno nie.

– Czyli Łukasza. Już ja mu dam.

– A nie powinnaś się cieszyć?

– Kamuś, przecież to nic nie znaczy. Bartek się pomartwi, a jak wrócę do sił, to zapomni. Jest, kiedy go potrzebuję, później znika. To tylko przyjaźń, nic więcej.

– Proszę. – Kamila podała koleżance wyjęty z kieszeni kasztan. – Pierwszy, który znalazłam w tym roku. Przyniesie ci szczęście.

– Oszalałaś? Nie wierzę w talizmany.

– Nie musisz wierzyć, po prostu go weź. Ja znalazłam szczęście w kolorze kasztana i ty też je znajdziesz, nawet jeśli teraz wydaje ci się to głupie.

– Proszę nie siadać na łóżku. – Pielęgniarka bezceremonialnie przerwała ich rozmowę. – Mierzmy temperaturę.

Małgosia czym prędzej schowała kasztan pod poduszkę. Nie wierzyła w magiczną moc przedmiotów, ale spróbować nie zaszkodzi.

Pierwszy wrześniowy poranek przywitał Warszawę chłodem oraz zimnym deszczem, którego krople głośnym echem odbijały się od parapetów i wiat przystanków. Ludzie wyjęli z szaf nieprzemakalne płaszcze i pod ich osłoną przemierzali mokre, usiane kałużami chodniki. Skuleni, niezadowoleni podążali do codziennych zajęć.

Strużka zimnej wody, spływająca po nagiej szyi, zbudziła Bartka. Otworzył oczy i rozprostował ścierpnięte kończyny. Czuł się fatalnie: chciało mu się pić, był głodny, bolały go kark i głowa. Powiódł dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Siedział na ławce, pod wiatą przystanku autobusowego. Czekający ludzie spoglądali na niego z niechęcią i szybko odwracali głowy. Nikt nie ośmielił się zbliżyć. Nic dziwnego. Na chodniku, obok jego nóg, leżały dwie puste puszki po piwie. Deszcz, przeciekając przez szczelinę między ścianą a dachem konstrukcji przystanku, zdążył już zmoczyć jego ubranie. Śpiąc

ze zwieszoną głową, musiał wyglądać na kompletnie pijanego.

Zaklął pod nosem i przetarł twarz brudnymi rękami. Spojrzał na przegub dłoni. Nie znalazł tam zegarka. Jasne, nie nosił go, odkąd niechcący zadrapał bransoletką policzek Kariny. Sięgnął do kieszeni po komórkę. Była wyłączona. Westchnął z niezadowoleniem. Wszelkie przejawy aktywności bardzo go męczyły i potęgowały ból głowy. Niestety, żeby sprawdzić, która była godzina, musiał uruchomić telefon. Nacisnął odpowiedni przycisk i wpisał kod. Telefon zagrał na powitanie, a cyfrowy zegar na wyświetlaczu powiadomił, że właśnie minęła szósta rano.

„Co ja tu robię?” – zastanawiał się.

Przypomniał sobie wczorajsze popołudnie, bladą twarz Małgosi oraz jej drżące ręce, podsłuchaną rozmowę Kariny z koleżanką, wieczór spędzony w barze przy piwie, poczucie beznadziejnej pustki i samotności.

Po utopieniu smutków w alkoholu zamierzał wrócić do domu, ale autobus długo nie przyjeżdżał. Nic dziwnego, skoro czekał na niewłaściwym przystanku. Zauważył to dopiero teraz.

W tej chwili komórka w dłoni chłopaka ożyła. Bartek wykrzywił z niezadowoleniem usta i przyłożył ją do ucha.

– Cześć, dlaczego wyłączyłeś telefon? – usłyszał głos Kariny. – Musimy porozmawiać.

– Nie mamy o czym – mruknął niechętnie. – Nie dzwoń do mnie więcej.

Rozłączył się, nie bacząc na to, że dziewczyna coś jeszcze mówiła. Teraz najważniejsza była Małgosia. Nie chciała, żeby odwiedzał ją w szpitalu, ale on nie pozwoli wyrzucić się z jej życia. Postanowił udowodnić wszystkim, że mu na Gosi zależy. I wiedział już nawet, jak to zrobić. Najpierw musiał jednak wrócić do domu i doprowadzić się do porządku, bo ze spojrzeń przechodniów wnioskował, że wygląda jak zombie.

Rozdział IX. Chwila prawdy

*Nie płacz w liście,
Nie mów, że los ciebie kopnął.
Nie ma sytuacji na ziemi bez wyjścia,
Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno.
Odetchnij, popatrz.
Spadają z obłoków
małe wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia.
A od zwykłych rzeczy naucz się spokoju
i zapomnij, że jesteś, gdy mówisz, że kochasz.*

Jan Twardowski

1.

Świat zapachniał jesienią. Co prawda słońce przypiekało jeszcze w południe, ale poranki obfitowały w babie lato, a noce w przymrozki. Przyroda zachwycała wielością ciepłych barw, jednak trzeba się było liczyć z jej kaprysmi.

- Lubię jesień – powiedziała Kamila, opierając głowę na ramieniu Wojtka.
- Jest piękna i nieprzewidywalna.
- Tak jak ty – odparł chłopak.
- Ja?
- Ty. Nigdy nie wiem, co za chwilę wykombinujesz. Idziemy do tego kina czy nie?

Od kilkunastu minut spacerowali po parku. Liście przyjemnie szeleściły pod stopami, słońce pieściło policzki, a wiatr igrał we włosach. Wreszcie Kamila usiadła na wolnej ławce i zamyśliła się, spoglądając w bezchmurne niebo.

- Jakoś nie mam ochoty na kino. Tu jest dobrze.
- Z tobą wszędzie jest dobrze.
- Chcę jechać do Smolca.
- No nie! – Wojtek odsunął się od dziewczyny i spojrzał na nią, marszcząc groźnie czoło. – Myślałem, że ten temat już przerabialiśmy.

– Ale nie złość się. – Zrobiła minę niewiniątka. – Na kilka dni. Góra tydzień. Akurat mam wolne w teatrze. Muszę odpocząć, jestem dziwnie wypalona. I ciocia mówiła, że lokatorzy coś zniszczyli. Tylko sprawdź.

– Tylko sprawdzisz?

– Uhm.

– Dobrze, kupimy bilety i pojedziemy.

– My? – zdziwiła się.

– Samej cię nie puszczę. Wyczerpałaś już limit pakowania się w kłopoty. I nie dyskutuj.

– Nawet nie mam zamiaru.

Oczy jej się śmiały. Słońce rozświetliło włosy, sprawiając, że otoczyły twarz złotą aureolą. Na policzki wypłynął uroczy rumieniec. Wojtek przysunął się do dziewczyny i przytulił ją, nie bacząc na spojrzenia przechodniów. Po raz kolejny zastanawiał się, co Kamila z nim zrobiła, że gotów był pojechać na koniec świata, rzucić wszystko, byle tylko ustrzec ją przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Przy jej subtelności i wrażliwości, których nigdy nie ukrywała, zwyczajnie musiał być silny.

Krystian usiadł na wskazanym krześle i niepewnie spojrział na Bartka. Był zaskoczony nagłym wezwaniem do jego domu.

– Powiesz mi w końcu, co jest tak ważne, że nie mogło czekać do jutra? – zapytał.

– Tak. – Bartek otworzył leżący na kuchennym stole notes. – Muszę znaleźć człowieka, który nafaszerował Gosię narkotykami.

– Słuchaj, ja nie wiem, kto to jest. Raz go widziałem. Gośka przyszła z nim na imprezę. Na krok jej nie odstępował, z nikim nie gadał. Nie znam nawet jego imienia.

– Irek.

– Czyli wiesz więcej niż ja.

– Co się wydarzyło na tej imprezie? – kontynuował przesłuchanie Bartek.

– Nie wiem. Jakoś nie bardzo zwracałem uwagę na to, co robi moja kuzynka. Wybacz, nie jestem jej aniołem stróżem. Nagle usłyszałem, że mnie woła. Była sina na twarzy, dostała drgawek. Ten cały goguś próbował mi wmówić, że za dużo wypila, ale znam Goškę i wiem, że do takiego stanu by się nie doprowadziła. Ojciec urządziłby jej taką awanturę, że byłoby słychać

w całym bloku. Zadzwoiłem na pogotowie.

– A on?

– Co on? – nie zrozumiał Krystian.

– Co zrobił, jak zadzwoniłeś?

– Najpierw się ze mną szarpał, ale byłem tam wśród znajomych, więc odpuścił. Wiesz co, teraz sobie przypominam, że jak narobiłem szumu, to on zwyczajnie zniknął.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknął Bartek. – Skąd Gosia go wytrzasnęła?

– A może sam z nią pogadaj, co? Ja niewiele wiem.

– Nie chce mnie widzieć.

Krystian uniósł brwi ze zdumienia. Znał Małgosię. Wiedział, że łatwo wpadała w gniew, ale szybko jej przechodziło. Jeśli więc złościła się dłużej niż dwa dni, to mogło oznaczać, że ktoś jej ostro podpadł.

– Co zrobiłeś? – zapytał, podejrzliwie patrząc na Bartka.

– Nic. Zresztą nie wiem. Po prostu mi pomóż. Okej?

– Chyba na tych koloniach się poznali. Gośka wróciła jakaś odmieniona, dziwnie radosna, ciągle miała banana na twarzy.

– Kim był na tych koloniach?

– Skąd mam wiedzieć? – Wzruszył ramionami. – Wychowawcą chyba.

– Nie, sprawdziłem to. Wśród wychowawców nie było żadnego Irka ani Ireneusza, ani innego faceta, którego imię mogłoby się tak zdrabniać.

– To nie wiem...

– Wypytaj Gosię.

– Nie – zaprotestował Krystian. – Słuchaj, ją już maglowała policja, męczyli rodzice, ja nie chcę.

– A chcesz, żeby temu draniowi uszło to bezkarnie? Żeby w przyszłym roku znów pojechał na kolonie? Może nawet jako opiekun twojej siostry? Chcesz?

Krystian opuścił głowę i zagryzł wargi. Oczywiście, że nie chciał.

– Dobrze – zgodził się. – Ale daj mi kilka dni.

2.

Kamila i Wojtek wysiedli na małej, wiejskiej stacji. Nikt nie wiedział o ich przyjeździe, obyło się więc bez powitalnych delegacji. Bardzo dobrze. Nie potrzebowali towarzystwa. Drogę do domu przebyli w milczeniu. Dziewczyna z zainteresowaniem i sentymentem oglądała dobrze znane zakątki. Musiała sprawdzić, jakie zmiany zaszły w okolicy podczas jej nieobecności. A było

ich sporo. Gańkowie w końcu otynkowali dom, obok szkoły otwarto nowy kiosk, a po podwórku Danuśki biegał młodziutki wilczur. Ciekawe, co się stało ze starym Pikusiem? Pewnie zdechł. Wysłużył już swoje...

Nagle uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny. Stanęli przed furtką jej domu. Miejsce to zapamiętała jako oazę tętniącą życiem i szczęściem. Teraz gospodarstwo wyglądało jak grobowiec. Drzwi i okiennice zamknięto na głucho, po podwórzu nikt nie chodził, nawet pies nie szczekał. Wszędzie było cicho, pusto.

Kamila szybkim krokiem pokonała ścieżkę od furki do drzwi. Włożyła klucz do zamka, przekręciła. Zawiasy znajomo skrzypnęły. Tak, to ten sam dom, w którym się wychowała, tylko mieszkańcy go opuścili. Przeszła przez korytarz do kuchni. Tam zawsze pachniało jedzeniem i pieczonym ciastem. Tym razem na kuchence nie stał ani jeden garnek. Naczynia pochowano, szafki pozamykano, krzesła równo ustawiono przy drewnianym stole. Porządek jak nigdy. Poza jednym szczegółem: wszystko pokrywała warstwa kurzu.

Dziewczyna upuściła trzymaną w ręku torbę, usiadła na krześle, a po jej policzkach popłynęły łzy. Dom, za którym tęskniła, już nie istniał.

Wojtek wszedł do kuchni i uważnie rozejrzał się dookoła. Niebieska glazura, białe szafki, jasna podłoga. Pod oknem drewniany stół i krzesła. W kąciaku lodówka. Lśniaca czystością kuchenka gazowa, obok niej dwukomorowy zlewozmywak.

Jego wzrok spoczął na Kamili. Siedziała skulona. Łokcie oparła o stół, twarz ukryła w dłoniach. Plecy jej drgały i pociągała nosem – płakała. Wojtek zrozumiał, że musi coś zrobić, jakoś ją pocieszyć. Otworzył okno. Zmoczył leżącą na zlewie ścierkę, starł kurz ze stołu. Odnalazł w szafce szklanki, umył je, opłukał czajnik, nastawił wodę na herbatę. Odgłosy krzątania nie zdołały jednak wyrwać dziewczyny z odrętwienia. Cóż jeszcze mógł zrobić? Przyniósł przygotowaną przez mamę torbę z jedzeniem. Umył garnek i przełożywszy do niego bigos, postawił na gazie.

Kamila nawet nie uniosła głowy. Jakby nie słyszała, co dzieje się obok niej. Zareagowała dopiero, gdy poczuła zapach przypalającego się jedzenia.

– Musisz zamieszać – powiedziała, wycierając łzy z policzków. – Kapusta lubi się przypalać.

– Przepraszam, nie jestem mistrzem w kuchni – przyznał z przeproszającym uśmiechem. – Będziesz musiała zjeść przypalony bigos.

– Jakoś przeżyję.

Wstała energicznie i zakrzętnęła się po kuchni. Talerze były tam, gdzie zwykle. Sztuce szerniały, ale to nic. O, nawet ceratowy obrus się znalazł. Usiedli do stołu.

– Dziękuję, że ze mną jesteś – szepnęła. – Gdyby nie ty, pewnie bym się tu załamała i do reszty rozkleiła.

– Może tak źle nie będzie, co?

– Już się trochę pozbierałam.

Promienie słońca ścieliły się pomarańczowym kobiercem na szarych chodnikach Warszawy. Ale ich ciepło okazywało się złudne. Październikowy wiatr targał włosy, wdzierał się pod ubrania, przesywał ciała dreszczem. Małgosia szerniej otuliła szyję apaszką i przebiegła na drugą stronę ulicy. Budynek, w którym mieściła się świetlica socjoterapeutyczna, stał niedaleko przejścia dla pieszych. Już po chwili dziewczyna przyglądała dłonią potargane włosy. Niespiesznym krokiem pokonała dwie kondygnacje schodów. W szatni zdjęła płaszcz, nasłuchując dobrze znanego dziecięcego gwaru, którego natężenie było nieznacne. Dobrze, to znaczy, że większość wychowanków przebywała jeszcze w szkole.

Zarzucała na ramię pasek torebki, wzięła głęboki oddech i popchnęła drzwi wiodące do świetlicy. Skierowała się do pokoju dla wychowawców. Dzieci nie powinny jej widzieć.

– Dzień dobry – przywitała się pewnym głosem.

Bartek uniósł głowę nad biurka. Właśnie uzupełniał dziennik, wpisując we właściwe rubryczki plan świetlicowych zajęć. Nie lubił papierkowej roboty – wolał działać – chętnie się więc od niej oderwał. Tym chętniej, że czekał na Małgosię. Miał nadzieję, że zatęskni za dziećmi ze świetlicy i przyjdzie. Nie zawiódł się.

– Cześć, Goniu – powiedział, wstając. – Dobrze, że jesteś. Chodź, siadaj.

– Podsunął jej swoje krzesło, bo było wygodniejsze od tych przeznaczonych dla wychowanków.

– Jest Ania? – zapytała.

– W kuchni, robią podwieczorek.

– Więc przekaz jej to ode mnie. – Położyła na biurku książkę w czerwonej okładce. – Dawno pożyczyłam, czas oddać. A tu jest moja oficjalna rezygnacja z wolontariatu. – Podała chłopakowi zadrukowaną kartkę.

– Ale dlaczego? Ja nie chcę, żebyś...

– Już o tym rozmawialiśmy. To co? Chyba wszystko. Trzymaj się.

– Zaczekaj. – Chwycił ją za rękę. – Dzisiaj chyba możesz zostać? Ani będzie przykro, gdy znikniesz tak bez słowa.

– Dobrze. Ale tylko dzisiaj.

Wciąż nie potrafiła odmawiać Bartkowi. Na szczęście od jutra nie będą się widywać, najwyżej przypadkiem, a ona nie miała zamiaru tych przypadków prowokować. Wyrwała rękę z uścisku chłopaka i pobięła do kuchni. Dzieci bardzo się ucieszyły na jej widok. Nie chciały nawet słyszeć o tym, że mogłaby im nie pomóc w odrabianiu lekcji, nie uczestniczyć we wspólnej zabawie. Była u siebie. Była tu potrzebna. Stanowiła ważną część świetlicy. Szkoda, że po raz ostatni. Bo przecież bardzo lubiła pomagać tym dzieciom – spragnionym miłości, często poranionym przez los i własnych rodziców. Niespodziewanie podczas zabawy Gosię zapiekły oczy i zrobiło się jej dziwnie słabo. Czy to wzruszenie? A może skutki niedawnej choroby?

– Źle się czujesz? – Bartek zareagował niemal natychmiast. Przez cały czas kątem oka obserwował dziewczynę. Znalazł się przy niej, gdy tylko przystanąła pod ścianą i przyłożyła rękę do czoła.

– To nic, za chwilę przejdzie – skłamała. Właśnie pociemniało jej przed oczami, a skronie przykro zdrętwiały.

– Chodź, usiądziesz na chwilę. – Podprowadził ją do krzesła. – Poproszę Anię, żeby się wszystkim zajęła i odwiozę cię do domu.

– Nie trzeba...

Nie zwrócił uwagi na protest. Przyniósł z szatni płaszcz Małgosi i pomógł jej się ubrać.

Kamila ułożyła w lodówce zakupione zapasy. Sam zapach swojskiej kaszanki sprawił, że poczuła się jak w domu, a chrupnięcie skórki chleba przywołało uśmiech. Smolec zawsze będzie domem, miejscem dziecięcych marzeń i wielu pięknych wspomnień.

– Miluś, włączyłem piecyk od ciepłej wody – powiedział Wojtek, wchodząc do kuchni.

– Super. Marzę o gorącej kąpieli. Widziałeś pięterko?

– Nie.

– To idziemy.

Chwyciła Wojtka za rękę i pociągnęła za sobą po drewnianych, skrzypiących stopniach do małego korytarza, tonącego w blasku popołudniowego słońca. Po obu stronach holu były drzwi. Kamila otworzyła te z lewej strony.

– Proszę – szepnęła, przepuszczając chłopaka. W pokoju znajdował się wąski, przykryty kolorową narzutą tapczan, oszklona szafka z płytami, na niej mała wieża stereo, szafa na ubrania, biurko. Na środku stał okrągły stolik, a przy nim trzy krzesła. – Tutaj był mój salon i miejsce do nauki. Czasem nocowały tu moje koleżanki.

– Klimat niesamowity – stwierdził chłopak, dotykając szydełkowej serwety okrywającej stół. – A ja jestem twoim gościem. Mogę tu spać, Miluś?

– Możesz, po to cię tu przyprowadziłam. – Cmoknęła go w policzek. – A teraz chodź, pokażę ci moje królestwo.

Lekkim krokiem przebiegła korytarz, aby otworzyć drugie drzwi. Wojtek podążył za nią; nie miał jednak odwagi wejść. Przystanął więc na progu i objął pomieszczenie zaciekawionym spojrzeniem. Niebieskie ściany oraz delikatny błękit sufitu nadawały pokojowi specyficznego uroku. Na wprost drzwi znajdowała się komoda z czterema szufladami. Leżały na niej kobiece drobiazgi: lusterko, kosmetyki, flakonik z perfumami, szczotka do włosów. Obok stała szafa, której drzwiczki przytrzasnęły rąbek ubrania. Po prawej stronie drzwi była wersalka, obok szafka nocna z jedną szufladą. Na szafce odkrył małą, różową lampkę, otwartą paczkę chusteczek higienicznych oraz plik rozrzuconych zdjęć. Nad łóżkiem wisiał obraz z wizerunkiem Anioła Stróża. Po lewej stronie drzwi znajdowała się półka z książkami. Obok, przy oknie, stał wiklinowy, bujany fotel. Przez oparcie przewieszono koc w niebieską i żółtą kratkę. Podłogę okrywał wełniany dywanik z głową misia pandy.

Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby jeszcze dziś rano ktoś w nim przebywał. W powietrzu unosił się zapach perfum. Wojtek na chwilę wstrzymał oddech. Oczami wyobraźni niemal zobaczył Kamilę siedzącą wieczorem w fotelu i czytającą książkę. Przykryła się kocem, bo jak zwykle zmarzły jej stopy. Później w łóżku, przed zaśnięciem, oglądała zdjęcia. Wspominała miłe chwile, spędzone w gronie rodzinnym lub wśród przyjaciół. Wzruszyła się. Potrzebowała chusteczki. Czyżby płakała? Oby nie! Rano wstała późno, ubrała się w pośpiechu, nawet nie zobaczyła, że drzwiami szafy przycięła ulubioną bluzkę. W pośpiechu spryskała perfumami szyję

w okolicach uszu. Poprawiła przed lustrem włosy i pobiegła do swoich spraw. Właśnie! Co mogła robić w dzień?

Chłopak westchnął. Obraz stworzony w wyobraźni rozwiął się... Meble pokrywała warstwa kurzu, a zapach perfum był tylko złudzeniem. Również w tym pokoju od kilku miesięcy nikt nie mieszkał. Dziewczyna przyjechała tu dzisiaj razem z nim.

– Wojtek, czy ty się dobrze czujesz? – zapytała Kamila, dotykając ręki chłopaka.

– Tak – odpowiedział, uśmiechając się. – Tylko myślę, że ten pokój jest bardzo fajnie urządzone. Musiałaś tu być szczęśliwa.

– Byłam. Najbardziej na świecie.

Bartek otworzył przed Małgosią drzwi samochodu. Widział, że była niezadowolona z przymusowego powrotu w jego towarzystwie, ale nie miał zamiaru ustąpić. Nigdy by sobie nie darował, gdyby zasłała w autobusie. Wolał narazić się na złość dziewczyny. Zresztą i tak chciał z nią porozmawiać, powiedzieć o swoich uczuciach. Teraz była ku temu okazja, choć Małgosia nie ułatwiała mu zadania. Uparcie patrzyła w okno, nie widząc jego ukradkowo rzucanych spojrzeń. Lub je ignorując.

– Gniewasz się? – zapytał w końcu chłopak.

– Nie. A powinnam?

– Właśnie się zastanawiam. Dlaczego nie chciałaś, żebym cię odwiedzał?

Wiedziała, że takie pytanie musi paść i przygotowała się na nie.

– Byłam chora – odparła. – Wyglądałam paskudnie i nie chciałam, żebyś mnie oglądał w takim stanie.

– Teraz wyglądasz ślicznie. – Wykorzystując przyjazne mrugnięcie czerwonego światła, położył rękę na zimnej dłoni Małgosi.

Odsunęła się, niemal przywierając do drzwi auta.

– Jedź, jest zielone – mruknęła.

– A jednak się na mnie boczysz. O co chodzi?

– O nic. – Wzruszyła ramionami. – Niepotrzebnie ciągniemy tę rozmowę. Dziękuję za troskę. Dziękuję, że mi czytałeś. Dziękuję, że...

– Słyszałaś? – zapytał niepewnym głosem Bartek.

– Tak.

– Wszystko?

– Dużo, ale nie wiem, co było naprawdę, a co mi się tylko przyśniło.

Umilkła. Bartek nie miał śmiałości zapytać, czy słyszała jego wyznania, szeptane, gdy zostawali tylko we dwoje. Niektóre były zbyt odważne i przyznanie się do nich mogłoby dziewczynę spłoszyć.

– No, jesteśmy. – Zaparkował przed blokiem. Miał nadzieję, że teraz spokojnie porozmawiają, ale Małgosia otworzyła drzwi i czym prędzej wysiadła z samochodu.

– Dzięki za pomoc – powiedziała i odwróciła się na pięcie.

– Zaczekaj, chciałbym cię o coś zapytać.

Zamknął centralny zamek i podążył za oddalającą się dziewczyną.

– A o co?

– Potrzebuję rady.

– Czyli jak zwykle – stwierdziła kpiąco. – Co tym razem?

– Kocham pewną wspaniałą dziewczynę i nie wiem, jak jej o tym powiedzieć.

Przystanęła na klatce schodowej i spojrzała chłopakowi w oczy.

– Mam już dość tych twoich miłostek – wycedziła. – Nie wiem. Nie jestem ekspertem w tych sprawach.

– Ale jesteś kobietą – zauważył mało odkrywczco. – Musisz wiedzieć, co lubią dziewczyny. Poradź mi, proszę. Ten ostatni raz. Czy to wymaga jakiejś specjalnej oprawy? Nie wiem... kolacja, kwiaty...?

Pokonała kondygnację schodów, nacisnęła guzik przy windzie.

– Nie – odparła słabym głosem, wypatrując światła w czarnym okienku. – Idź do niej i powiedz, co czujesz. To powinno wystarczyć. Miłość jest piękniejsza od kwiatów, nie możesz ofiarować nic bardziej wartościowego. Ale jeśli ona nie odpowie ci tym samym, odpuść. Do kochania nie można zmusić. Nikt nie wie tego lepiej niż ja.

– Gosia...

Nie słuchała. Wsiadła do windy i pojechała na swoje piętro. Bartek oparł czoło o ścianę, wziął głęboki oddech. Ostatnie słowa dziewczyny zabrzmiały dziwnie smutno, gorzko, jakby miała się za chwilę rozplakać. Czyżby ktoś ją skrzywdził? Pewnie chodzi o tego Irka. Już on mu pokaże, niech go tylko znajdzie! Kretyn, miał przy sobie taki skarb, a nie potrafił go docenić. Czyżby Małgosia zakochała się w tym palancie? Nigdy się nie skarżyła. Ostatnio w ogóle mało o sobie mówiła. Właściwie nigdy nie opowiadała o żadnym chłopaku. Kiedyś sprowokował rozmowę na ten temat, sugerując, że powinna

sobie kogoś znaleźć. Zaśmiała się cichutko i powiedziała, że nie może mieć faceta, bo kocha jego, Bartka. A jeśli wtedy nie żartowała? Jeśli na dnie serca nosiła niespełnione uczucie do... niego? Ile czasu minęło od tej rozmowy? Ponad rok...

– Oby nie było za późno – szepnął chłopak, ściągając windę.

Małgosia nie weszła do mieszkania; stała na korytarzu przy oknie, obserwując gołębia na parapecie. Nie zwróciła uwagi na trzaśnięcie drzwi windy. Drgnęła dopiero wtedy, gdy ktoś położył rękę na jej ramieniu. Odwróciła się, ukazując zapłakaną twarz.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała przestraszonym głosem.

– Przyszedłem powiedzieć, że cię kocham – Bartek wypalił prosto z mostu. Nie chciał przeciągać rozmowy, dochodzić, skąd te łzy, dlaczego, przez kogo. Podejrzywał, że przez niego. I wiedział, że Małgosia nigdy się do tego nie przyzna.

Opuściła głowę, splótła ręce na piersiach.

– Coś ci się pomyliło – burknęła, patrząc na czubki swoich butów. – To ja, Gośka, dzieciak z sąsiedztwa, na którego zawsze można nakrzyczeć.

Bartek zagryzł wargi. Zrobiło mu się przykro, że dziewczyna z ich wspólnej przeszłości pamięta tylko przykre dla siebie chwile. Przecież wcale nie było ich więcej niż tych radosnych, ciepłych, serdecznych. Ujął delikatnie brodę Małgosi.

– Spójrz na mnie – poprosił, unosząc jej głowę. Chciał się usprawiedliwić, ale nie znalazł żadnego rozsądnego wytłumaczenia, kiedy patrzył w pełne smutku, szare oczy. – Byłem aż tak niedobry? – zapytał drżącym głosem, bojąc się, że usłyszy twierdzącą odpowiedź.

– Nie – odparła. – Zawsze byłeś sprawiedliwy. Opierdziałaś mnie tylko wtedy, kiedy zasłużyłam, a że było mi przykro, co miałeś w nosie, to już inna sprawa.

– Przepraszam.

– Idź już. – Odepchnęła dłoń chłopaka i ponownie opuściła głowę.

– Najpierw mnie wysłuchaj – powiedział stanowczo, biorąc Małgosię za rękę. – Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Może byłem szorstki, ale na pewno nie miałem cię w nosie. I...

– Ale nigdy nie patrzyłeś na mnie tak bezkrytycznie, jak na te swoje panny.

Nigdy nie miałam taryfy ulgowej. Nawet gdy poprosiłam, żebyś dał spokój, nie odpuszczałeś. Ale wystarczyło jedno kiwnięcie Karinki... Ech, widocznie jestem kobietą gorszego gatunku.

– Co? Co ty za bzdury opowiadasz? – Przycisnął jej dłonie do swojej piersi. – Gonia, ja w życiu nie spotkałem tak wspaniałej dziewczyny jak ty!

– Idź, Bartek. Ochłoń trochę, bo bredzisz. Może nie kłamiesz celowo, ale coś ci się wydaje. Teraz jesteś sam, to nachodzą cię głupie pomysły, a za tydzień będziesz żałował...

Bartek nie miał zamiaru odejść. Miłości do Małgosi był pewien bardziej niż czegokolwiek innego. Objął dziewczynę, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Nie broniła się. Pozwoliła, aby długo skrywane uczucie eksplodowało namiętnością. Później, nieco zawstydzona, oparła głowę na piersi chłopaka. Przytulił ją i lekko zakołysał w ramionach.

– Nie będę żałował – zapewnił.

– Nie chcę być jedną z wielu, przygodą na miesiąc albo dwa – wymruczała w jego sweter.

– Nie będziesz, obiecuję.

– Ostatnio solidnie oberwałam i mam dość.

Przytulił ją mocniej, żeby poczuła, że nie jest sama.

– Nie bój się – szepnął w jej włosy. – Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Nie musisz dzisiaj decydować. Zaczekam. Zrobię wszystko, żeby zasłużyć na twoje zaufanie.

– Dobrze – powiedziała, z trudem odrywając się od piersi Bartka. – Udowodnij mi, że mówisz prawdę. Sama zdecyduję, ile czasu potrwa próba. Jeśli mnie przekonasz, przyjdę do ciebie i... i wrócimy do tej rozmowy.

Wyminąwszy chłopaka, skierowała się w stronę drzwi swojego mieszkania.

– Gosiu, nie zostawiaj mnie tak.

– Kocham cię, Bartek – wyznała, przystając na chwilę. – Ale nie mam już siły, żeby walczyć, bojąc się, że pójdziesz do innej. Teraz ty powalcz, jeśli uważasz, że warto.

3.

Niedzielny poranek wstał pochmurny i dżdżysty. Wiatr targał gałęzie drzew, strącając suche liście. Stalowe niebo było tak ponure i groźne, jakby nigdy wcześniej nie rozjaśniał go uśmiech słońca. Uderzający w szyby deszcz nie

zachęcał do pobudki. Nic dziwnego, że Bartek nie był zachwycony, kiedy melodia telefonu przerwała mu sen, zmuszając do wyjścia z ciepłego łóżka.

– Halo – powiedział, unosząc komórkę do ucha.

– Cześć, tu Krystian.

– Wiesz, która godzina?

– Po ósmej. Słuchaj, wyciągnąłem z notesu...

– Jest niedziela, po ósmej – warknął groźnie Bartek. – Normalni ludzie śpią o tej porze.

– Mam informacje o tym całym Irku. Myślałem, że to ważne, ale skoro wolisz burczeć...

Chłopak natychmiast oprzytomniał.

– Ważne, mów – nakazał.

– Ireneusz Bagiński. Był na tych koloniach pielęgniarką.

– Kim?

– No zajmował się opieką medyczną – tłumaczył Krystian. – Nie wiem, czy skończył kurs, czy jest po szkole.

– Czyli miał kontakt z lekami i doskonale wiedział, co za świństwo Gosi daje?

– Na to wygląda. Spisałem adres i telefon.

– Dawaj.

Krystian przedyktował konieczne dane.

– Słuchaj, tylko nie mów Goście, że w jej notesie grzebałem, bo...

– Nie powiem, możesz być spokojny. Dzięki wielkie, teraz facet się już nie wywinie.

Bartek odłożył kartkę, na której zapisał informacje o poszukiwanym chłopaku, po czym pomaszerował do łazienki. Zimny prysznic zmył resztki snu, a poranna kawa i szybkie śniadanie poprawiły sprawność myślenia.

Zapach przesmażanej cebuli obudził smacznie śpiącą Kamilę. Dziewczyna przetarła oczy i przeciągnęła się, mrużąc z zadowoleniem. Żadne łóżko nigdy nie będzie tak wygodne jak to w Smolcu. Spojrzała w okno. Szary poranek zapowiadał ponury dzień. Szkoda; miała nadzieję, że pójdą dziś z Wojtkiem na spacer do lasu, że pokaże mu magiczne miejsce, w którym spotkała chłopaka o kasztanowych oczach, takich jak jego, że wybiorą się nad jezioro i zrobią kilka zdjęć. Trudno, jak nie dziś, to jutro. Kiedyś musi zaświecić słońce.

Dziewczyna uśmiechnęła się i energicznie odrzuciła kołdrę. Oj, zimno! Poniewczasie pożałowała, że nie pozwoliła wczoraj Wojtkowi rozpalić w centralnym piecu, twierdząc, że odrobina chłodu jej nie zaszkodzi. Czym prędzej wydobyla z szafy ubranie i pognęła do łazienki. Na szczęście tam panowało przyjemne ciepło – Wojtek włączył grzejnik elektryczny.

„Kochany jest” – pomyślała Kamila, wchodząc pod prysznic.

Po kilkunastu minutach rozgrzana, ubrana i głodna weszła do kuchni.

– Cześć – powiedziała, podchodząc do stojącego przy kuchence chłopaka.
– Co tam smażysz?

– Śniadanie. – Cmoknął ją w policzek. – Spałaś tak długo, że aż mnie zaczęło skręcać z głodu.

– Kaszanka z cebulą na śniadanie?

– A co, nie lubisz?

– Lubię. – Wolałaby zjeść coś lżejszego, ale tę informację zatrzymała dla siebie. Ostatecznie raz na jakiś czas można zjeść niezdrowe i tłuste, za to pyszne jedzenie.

– Miluś, jakaś pani przyniosła dla ciebie tamten koszyk, który stoi na parapecie. Nie dla mnie, więc nie zaglądałem...

– Jaka pani? – Dziewczyna podbiegła do okna i energicznym ruchem zdjęła z wiklinowego kosza białą ściereczkę. – Zobacz, Wojtek, jakie nam smakołyki dali! Pewnie Janeczka była. – Kamila postawiła na stole plastikową miskę, wypełnioną ogromnymi pyzami domowej roboty. Obok umieściła pojemnik z wiejskimi jajkami, zawiniątko pachnące świeżą wędzonką i drugie z tajemniczą zawartością.

– To nie chcesz już mojej kaszanki?

– Chcę, pewnie, że chcę. – Schowała zapasy do lodówki i wyjęła z szafki talerze. – To co dziś robimy?

– Ty decyduj.

– Ja bym poszła na dwunastą do kościoła, później na cmentarz, a obiad...

– Teraz jedz śniadanie. – Pocałował ją w usta i wskazał talerz z parującym jedzeniem. Uwielbiał, kiedy się rumieniła, gdy zaskakiwał ją czułością.

Bartek wpisał w wyszukiwarkę właściwe dane; teraz niemal wszystko można znaleźć w internecie. Co prawda wyciągnięcie danych z Facebooka i Naszej Klasy wymagało zalogowania się, ale to była jedynie formalność. Na

poczekaniu założył fikcyjne konto, aby już po chwili wejść w profil Irka. Chłopak najwyraźniej nie czuł się zagrożony, gdyż nie zadbał o ochronę prywatności. Wystarczyło kilka minut, a Bartek posiadał pełne dane dotyczące jego wykształcenia, zainteresowań oraz miejsc, w których ostatnio bywał. Obejrzał kilka zdjęć. Na jednym zobaczył uśmiechniętą Małgosię w ramionach człowieka, przez którego wylądowała w szpitalu. Zgrzytnął zębami.

– Pożałujesz, szmaciarzu – warknął.

Sprawdzenie opinii o studencie Akademii Medycznej stanowiło większe wyzwanie, ale i z tym Bartek sobie poradził. Najpierw postanowił spróbować najprostszej metody. Dokonał selekcji na Irkowej liście znajomych i wysłał kilka wiadomości. O nic go nie oskarżał. Musiał zdobyć konkretne informacje o działalności, zainteresowaniach i sposobie bycia chłopaka. Nie należało zatem wzbudzać podejrzeń.

– Teraz poczekamy na odpowiedzi. A w międzyczasie sprawdzimy blogi i fora.

Zadanie było pracochłonne i wymagało cierpliwości, ale dla Małgosi mógł tkwić przed komputerem nawet całą niedzielę.

Wojtek ukradkiem spoglądał na idącą obok niego dziewczynę. Ubrała się w jasnoszary płaszcz i długą, dzinsową spódnicę. Na szyi zawiązała czerwony szalik w białe kwiaty. Rozpuściła włosy.

Chłopak musiał przyznać, że dwudniowy pobyt w Smolcu pozytywnie wpłynął na Kamilę. Stała się radośniejsza i spokojniejsza. Nawet jesienna szaruga nie była w stanie zetrzeć rumieńców z jej policzków i delikatnego uśmiechu z ust. Była u siebie. Teraz, kiedy szli do kościoła, stanowiła część tutejszej społeczności. Niemal każdego pozdrawiała i odpowiadano jej miłym słowem. Niby nic, krótka wymiana uprzejmości, ale serdeczna i zdradzająca, że o dziewczynie tu pamiętano, że nie była osobą z przeszłości.

„Nic dziwnego, że nie czułaś się w Warszawie szczęśliwa” – pomyślał Wojtek, kiedy Kamila zatrzymała się przed gablotą z ogłoszeniami. Stanął z boku, żeby dać jej chwilę na lekturę.

Wiadomości parafialne stanowiły doskonałe źródło informacji o ludzkim życiu; dziewczyna chłoneła każde słowo. Była tak zaczytana, że nie zauważyła zbliżającego się do niej chłopaka. On natomiast miał czas, żeby dokładnie się jej przyjrzeć.

– Kama? – zapytał w końcu. – To naprawdę ty?
Drgnęła i oderwała wzrok od ogłoszeń.
– Ja – szepnęła, gdyż nagle zaschło jej w gardle.
– Ślicznie wyglądasz. Co tam u ciebie? Wróciłaś na stałe?
– To nie twoja sprawa – odparła, przesuwając się w stronę Wojtka.
– Trochę chyba moja – kontynuował chłopak. – Bo jeśli wróciłaś, to też do mnie.
– Żartujesz? – oburzyła się. – Nie dzwoniłeś, nie pisałeś, prowadziłeś się z inną, a teraz wyskakujesz z takimi tekstami?
– Oj, nie dramatyzuj, mała. Wszystko ci wyjaśnię.
Wojtek chrząknięciem przypomniał o swojej obecności i wziął Kamilę za rękę. Poczowała się pewniej.
– Nie chcę twoich wyjaśnień – mruknęła.
– Przestań, Kama. Dobrze wiem, że ci na mnie zależy. Nie ma co się wściekać. Matka powiedziała, że nie wrócisz, tak jak twoja ciotka nie wróciła. Ciągle mąciła mi w głowie i uwierzyłem.
– Zdradziłeś mnie, oszukałeś.
– Po co te wielkie słowa? Po prostu umiliłem sobie czas twojej nieobecności i...
– Wystarczy – uciał Wojtek. – Chodźmy, kochanie. – Objął jej plecy ramieniem.
– Tak – szepnęła, obdarzając go uśmiechem.
Była wdzięczna, że nie zadawał żadnych pytań, tylko zaoferował pomoc i wsparcie. Na wyjaśnienia przyjdzie czas później.
Teraz w uszach wciąż dźwięczało Kamili miękko wypowiedziane słowo „kochanie”. Towarzyszyło jej w kościele, na cmentarzu i podczas obiadu, na który wybrali się do Zajazdu. Nie miała odwagi zapytać, czy użył go tylko na pokaz, dla Tomka, czy myślał tak naprawdę.

Kamila usiadła w kuchni przy stole i spojrzała w okno. Krople deszczu spływały po zakurzonych szybach, znacząc mokry ślad swojej wędrówki. Zmoczony podwórze zachwycało intensywnością barw, ale pogoda nie zachęcała do spaceru. Wiatr targał gałęzie drzew, przeczesywał żdźbła trawy, bezlitośnie przeganiał liście... A przecież jesień potrafi być taka piękna.

Czułe męskie dłonie okryły plecy dziewczyny polarową bluzą.

– Dziękuję, Wojtuś – szepnęła.

– Rozpaliłem w piecu – powiedział, siadając obok Kamili. – Nie chcę, żebyś się przeziębiła.

– Super.

– Myślisz o tym chłopaku? – zadał nurtujące go od kilku godzin pytanie.

– Nie. Tomek to już przeszłość. Jeszcze trochę bolesna, ale przeszłość. Sporo mu zawdzięczam. Gdyby nie on, nie wiem, jak bym się pozbierała po śmierci rodziców. Zajął się domem, zwierzętami, pomógł mi we wszystkim. Nawet zaproponował małżeństwo, żeby nie musiała wyjeżdżać.

– Na szczęście się nie zgodziłaś.

– Zgodziłam.

– Co?

– Obiecałam, że wrócę, gdy skończę osiemnaście lat, ale sam widzisz, że nie mam do kogo wracać. To już nie jest ten Tomek, któremu kiedyś ufałam. Tak samo jak ten dom nie jest już moim domem.

– Jest, Mila – nie zgodził się z nią Wojtek. – Odpoczęłaś tu, nabrałaś rumieńców, stałaś się silniejsza.

– Bo mi tu dobrze. Czuję się, jakbym na chwilę zamieszkała w Nibylandii. I będę do niej wracać.

– Ten chłopak... sięgnął po ciebie jak po swoją własność. Przez moment się bałam, że cię stracę, a tego bym nie zniósł. Nigdy nie spotkałam tak pięknej i wyjątkowej dziewczyny.

– Już ci wierzę! – Uśmiechnęła się nieco ironicznie. – Wiem, co o mnie mówiłeś Markowi. A kiedyś byłeś w Jagódce z taką jedną pięknoscią... Do dziś nie wiem, co ty we mnie widzisz.

– Pamiętliwa jesteś – mruknął. – Ale dobrze, skoro się domagasz, chodź. – Wziął ją za rękę i wyprowadziwszy do przedpokoju, ustawił przed dużym lustrem. Zignorował bluzę, która zsunęła się z ramion Kamili; w podziwianiu widoku tylko by przeszkadzała. – Co widzisz?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. Bo też nie dostrzegła niczego atrakcyjnego w dziewczynie ubranej w zwykłą dzinsową spódnicę i bluzkę z trójkątnym dekoltem. Nawet makijaż zmyła, bo się rozmazał od deszczowej wilgoci.

Wojtek zdjął gumkę, która więziła włosy dziewczyny i ułożył pasma na ramionach oraz wokół twarzy. Zarumieniła się. Zawsze tak reagowała na jego dotyk, ale dzisiaj nie zwrócił na to uwagi. Położył ręce na ramionach Kamili i delikatnie rozmasował mięśnie, zmuszając ją, aby się wyprostowała.

Spoglądając w lustro, przesunął dłonie do przodu, obrysował krągłość piersi, wygładził fałdy bluzki na brzuchu i nakreślił linię bioder. Kamila poczuła, że zalewa ją fala nieznanego dotąd gorąca; serce trzepotało się w piersiach, jakby miało zamiar wyfrunąć, a wzdłuż kręgosłupa przebiegały dreszcze.

– A teraz? – zapytał Wojtek, zatrzymując dłonie na biodrach dziewczyny. – Bo ja widzę delikatność, wrażliwość i niezwykły urok. Widzę kwintesencję kobiecości. Kocham cię, Mila.

Odwróciła się, żeby spojrzeć w kasztanowe oczy. Dzisiaj błyszczały jak nigdy wcześniej i patrzyły czulej niż kiedykolwiek. Chciała coś powiedzieć, ale drżące wargi nie potrafiły właściwie się ułożyć. Wojtek to dostrzegł. Obrysował ich kształt językiem i uspokoił rozedrganie w kołysce swoich ust.

– Zaskoczyłeś mnie – szepnęła Kamila.

– Siebie trochę też – odparł napiętym głosem. – Przepraszam, muszę się przewietrzyć.

– Ale teraz?

– Teraz.

– Pada przecież.

Nie usłyszał ostatnich słów. Złapawszy kurtkę, wybiegł na podwórze.

Bartek po raz kolejny sprawdził wiadomości na Facebooku. Właściwie już stracił nadzieję, że cokolwiek dzisiaj załatwi, a tu niespodziewanie w lewym górnym rogu monitora mignęła cyferka.

Nie wiem, kim jesteś ani czemu pytasz o Irka. Ja tam go nie lubię. To lepszy cwaniak i wielu ludzi skrzywdził. Jest pewny siebie, bo tatuś prawnik, a mamusia lekarka, ale kiedyś oberwie. A ja będę na to patrzył i się śmiał.

– No! – Bartek uśmiechnął się z satysfakcją. Teraz należało działać precyzyjnie. Położył palce na klawiaturze.

Pytam, bo skrzywdził ważną dla mnie osobę. Chcę, żeby za to zapłacił. Może pośmiejemy się razem?

Wojtek szybkim krokiem przemierzał mokry chodnik. W skroniach mu pulsowało, serce waliło jak wielki dzwon, wciąż czuł zapach włosów Kamili. Nawet przeszywający chłód wiatru nie od razu ostudził nagromadzone emocje.

– Cześć! – głos dobiegł nieco z boku i brzmiał bardziej jak zaczepka niż

jak powitanie.

Wojtek odwrócił się. Obok szarego budynku sklepu stał Tomek z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni.

– Cześć – odpowiedział.

– My tu nie lubimy obcych. Zostaw Kamilę w spokoju i wyjedź.

– A jeśli nie?

– Radziłbym ci nie sprawdzać. – Tomek uśmiechnął się drwiąco.

– O? Powinienem się bać?

– Raczej tak.

Wojtek podszedł do chłopaka.

– Bo co mi zrobisz? – zapytał. – Doprawdy myślisz, że twoje groźby robią na mnie wrażenie?

– Prowadzasz się z moją dziewczynę – warknął Tomek, z trudem hamując złość.

– Nie jesteś jej wart. Kiedy ona tęskniła, ty zabawiałeś się z innymi.

– Moja sprawa.

– Płakała przez ciebie.

Nawet ta informacja nie wzruszyła Tomka.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz – odparł. – Dziewczyny lubią sobie czasem popłakać. Otarłeś jej łezki. Nie będę ci za to dziękował. Kamila pewnie już to bardzo pięknie zrobiła. Potrafi być urocza, prawda?

Wojtek zakipiał z wściekłości. Zanim się zorientował, że to zwykła prowokacja, uderzył Tomka w twarz. Ten natomiast właśnie takiej reakcji oczekiwał. Skoczył na przeciwnika z pięściami.

Pierwszy cios sprawił, że Wojtek oprzytomniał. Z reguły był opanowany, dlatego i tym razem chciał uniknąć bójki. Chwycił Tomka za nadgarstki i przytrzymał chwilę, licząc, że ten się opamięta. Były chłopak Kamili nie zamierzał jednak pokojowo rozwiązywać konfliktu. Mając unieruchomione ręce, zrobił użytek ze stóp. Kopnął przeciwnika w udo. Pech chciał, że trafił w nogę, która po złamaniu wciąż była słabsza. Chłopak syknął z bólu, zachwiał się. Teraz wystarczyło jedno silne uderzenie w klatkę piersiową – i grzmotnął plecami o ziemię.

– Jeszcze dziś spakujesz swoje manatki i grzecznie wrócisz, skąd przyjechałeś – rozkazał Tomek, przyjmując postawę zwycięzcy. – A ja w dowód wdzięczności nie powiem Kamili, jak nieudolnie broniłeś jej honoru.

Wojtek zgrzytnął zębami. Wiedział, że tej sprawy nie można zostawić niedokończonych. Nie wolno mu się wycofać. Miejscowy rozrabiaka nie będzie decydował o jego szczęściu. Mniejsza o ból, później się nad sobą pouzala, teraz trzeba działać. Zmobilizował wszystkie siły. Kopnął przeciwnika w łydkę. Tomek nie stracił, co prawda, równowagi, ale żeby utrzymać pion, musiał cofnąć się o kilka kroków. Dało to Wojtkowi dokładnie tyle czasu, ile potrzebował, aby wstać. Wiedział, że musi pokonać rywala szybko i pewnie, bo inaczej ból pokona jego. Nie odmówił sobie jednak przyjemności walnięcia go na odlew w twarz. Uważał takie uderzenie za wyjątkowo upokarzające dla faceta, a skoro już musiał się bić, to niech ten tutejszy macho zapamięta raz na zawsze, że nie można bezkarnie obrażać kobiet. Potem działał precyzyjnie, trafiając w korpus i szczękę, szybko i celnie, czym zaskoczył Tomka, który nie zdołał już przejąć inicjatywy. Na efektowny finał Wojtek zadał mu cios pięścią w brzuch, a gdy przeciwnik zgiął się w pół, przyłożył mu z kolana w podbródek.

– Starczy – wybełkotał Tomek zdławionym głosem. – Przepraszam.

– A za co? – Wojtek cofnął się o kilka kroków, żeby uniknąć ewentualnego ataku z zaskoczenia.

– Że obraziłem Kamilę. – Wyprostował się. Na ustach miał krew.

Tyle Wojtkowi wystarczyło. Wyjął z kieszeni chusteczki: jedną zostawił sobie, pozostałe oddał pokonanemu rywalowi.

Popołudniowa wymiana informacji na Facebooku zdecydowanie poprawiła Bartkowi humor i nastawiła go optymistycznie do świata. W nagrodę pozwolił sobie na odwiedzinę u Łukasza. Oczywiście nie chodziło jedynie o pogawędkę z przyjacielem. Chciał zobaczyć Małgosię, usłyszeć jej głos. Dziś los był dla niego łaskawy; właśnie dziewczyna otworzyła drzwi, a później przyniosła do pokoju brata talerz z ciastem.

– Zostań – powiedział Łukasz. – Przecież nie musisz uciekać.

– Nie chcę. Jakoś nie pociągają mnie te wasze rozmowy o silnikach i układach hamulcowych.

Zmieniła się. Kiedyś wykorzystywała każdą sposobność, żeby zbliżyć się do Bartka, choćby siedząc w tym samym pokoju. Teraz zubożała. W jej oczach zagościło zniechęcenie, gestom brakowało dawnej spontaniczności. Ważyła każde słowo, dbała o precyzję ruchów, wykluczając przypadkowość

i iluzję, którą do niedawna podsyciała swoje uczucie. Dłoń nie miała prawa spotkać się z ręką chłopaka, oczy omijały jego twarz, nawet na proste pytania odpowiadała po chwili, gdy głos został wyprany z emocji.

– Zawsze taka jest – mruknął niechętnie Łukasz. – Nic jej nie cieszy.

– To przeze mnie – zmartwił się Bartek.

– Nie przez ciebie, tylko przez tego szmaciarza. Zgasił ją.

– Trzeba jej jakoś pomóc. Będę potrzebował wsparcia informatyka. – Zamknął starannie drzwi i usiadł naprzeciwko kolegi. – Ten cały Irek prowadzi blog, gdzie opisuje swoje wyczyny, a za kulisami rozprawdza prochy. Znajdziesz go w sieci po IP?

– To trudne i niezgodne z prawem.

– Wiem, ale Gosia jest chyba warta odrobiny wysiłku, co? Poza tym... on mógł o niej napisać. Chcesz, żeby to wisiało w necie, żeby może kiedyś to przeczytała?

Na samą myśl, że siostra mogłaby przeczytać chamski tekst na swój temat, Łukasz miał ochotę mordować.

– Nie – powiedział stanowczo. – Potrzebuję jednak jakiegoś śladu, żeby skunksa znaleźć. Nie wiem... wysłany przez niego mail, a najlepiej kilka, dla porównania. Profil na portalu społecznościowym.

– Profil jest. I najpierw trzeba wyegzekwować usunięcie z niego zdjęcia Gosi. Adres mailowy też zdobędę.

– No to do roboty! – Łukasz otworzył laptopa. – Zdjęcie sam usunę.

– Nie tutaj.

– Ale dlaczego? Spokojnie, umiem się zabezpieczyć.

– Nie chcę, żeby Gosia cokolwiek zobaczyła.

– Wyprosimy ją, jak wejdzie.

– Nie.

Łukasz opadł na oparcie fotela i splótłszy ręce na piersiach, spojrzał na kolegę.

– O co chodzi? – zapytał, marszcząc brwi.

– O nic. – Bartek wzruszył ramionami, jakby nic się nie stało. – Zwyczajnie nie chcę sprawiać Gosi przykrości.

– Uhm? Do tej pory jakoś łatwo ci przychodziło zamykać jej drzwi przed nosem. Nieraz aż mi jej było szkoda.

– Przestań.

– Dlaczego chcesz znaleźć tego szmaciarza?

- Łukasz, nie możesz mi pomóc bez tych pytań?
 - Ona ci się podoba, tak?
 - Posłuchaj, to nie jest...
 - Nie chcę słuchać. Widzę, że coś się między wami zmieniło. Odpowiedz.
 - Tak, podoba mi się.
 - Wyjdź – powiedział stanowczo, ruchem głowy wskazując drzwi.
 - Łukasz!
 - Wyjdź natychmiast! Ona już dość wycierpiała. Nie pozwolę, żeby była twoją kolejną zabawką. Trzymaj łapy z daleka.
 - Uważasz, że mógłbym ją skrzywdzić? Że dla zabawy smaruję maile do znajomych tego debila? Że chcę go ukarać po to, żeby Gosia rzuciła mi się na szyję?
 - A po co?
- Bartek spojrział w okno, żeby nieco ostudzić emocje. Wszystkiego mógł się po koleżce spodziewać, ale nie tak radykalnego odepchnięcia. Nikt mu nie wierzył! Małgosia miała prawo być rozgoryczona i nieufna, ale Łukasz...
- Przenikliwe spojrzenie kolegi piekło w policzki, niemal bolało, domagając się odpowiedzi.
- Bo ją kocham – wyznał w końcu Bartek. – Nie chcę wdzięczności, tylko sprawiedliwości. – Odważył się przenieść wzrok na twarz Łukasza. – Udowodnię i tobie, i jej, że jestem coś wart, że na nią zasługuję. – Wstał. Podszedł do drzwi.
 - Zaczekaj. Pomogę ci go udupić. Jutro o dwudziestej u ciebie.
 - Dzięki.
 - A co do Gosi...
 - Nie odpuszczę. Kocham ją i nie możesz mi tego zabronić.
 - Wiem. Ale na jej zaufanie pracujesz sam.

Kamila włożyła oparzoną rękę pod strumień zimnej wody. Pomogło, ale tylko na chwilę. Była zdenerwowana i przez to popełniała głupie błędy. Ale nie mogła przestać myśleć o Wojtku i jego dziwnym zachowaniu. Wyszedł tak nagle, długo nie wracał, nie wziął nawet telefonu. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi w przedpokoju. Wzięła ścierkę i delikatnie wytarła rękę.

Po chwili w kuchni pojawił się Wojtek. Utykał, miał mokre włosy, ślady

błota na twarzy i spuchnięte oko. Brudną kurtkę zostawił na wieszaku.

– Co się stało?!

– Nic, Miluś, spokojnie. – Usiadł na krześle i wysunął przed siebie nogę. – Wszystko jest dobrze.

– Właśnie widzę. Z kim się biłeś?

– Oj, ale ty panikujesz. Zaraz biłem. Twój były chłopak chciał sprawdzić, czy będę umiał się tobą zaopiekować.

– No tak – mruknęła. – Powinnam to przewidzieć. Dzieciaki jesteście. Co z nogą? Dlaczego utykasz?

– Boli, ale to nic. Mam na górze maść, posmaruję i przejdzie.

– Gdzie ta maść?

– Ale spokojnie. Sam się tym zajmę.

– Pytam, gdzie jest maść? – powiedziała, przybierając srogą minę. – I lepiej mnie nie wkurzaj, tylko gadaj.

– W plecaku, w małej kieszeni.

Chwilę później rozległ się tupot stóp po drewnianych schodach. Wykorzystał nieobecność Kamili. Umył twarz i ręce nad kuchennym zlewem, bo nie doszedłby do łazienki; noga rwała jak diabli. Podciągnął nogawkę, chcąc najpierw sam obejrzeć obrażenia. Niestety nie dociągnął materiału nawet do kolana; musiał zdjąć spodnie.

– Cholera – mruknął pod nosem.

Przed powrotem dziewczyny zdążył zakryć się kuchenną ścierką.

– Znalazłam – oświadczyła Kamila. – Pokaż mi to.

Na udzie widniał ogromny siniak, a kości kolana właściwie zniknęły pod opuchlizną. Chłód maści nieco złagodził ból, ale dotyk, chociaż delikatny, prowokował go na nowo.

– Może jednak sam to zrobię – zaproponował nieśmiało Wojtek.

– Siedź grzecznie i nie marudź. Dość już narozrabiałeś. Kto zaczął?

– Co zaczął? – Grał na zwłokę. Doskonale wiedział, o co pytała.

– Bójkę zaczął. Kto?

– Ja – przyznał zgodnie z prawdą.

Znieruchomiała, a potem wolno uniosła głowę.

– Ty? – zapytała, przykro zdziwiona. – A ja myślałam, że jesteś inny.

– Miła, brzydę się przemocą, ale...

– Nie ma żadnego ale! – Wstała energicznie i cisnęła na stół tubkę z maścią. – Po co ci to było? Tomek przesadził, wiem, ale należało go olać.

– Obraził cię, więc oberwał.

– Więc to wszystko moja wina?

Nim zdążył chwycić ją za rękę, wybiegła z kuchni. Włożył spodnie, zaciskając zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Jeszcze mu dzisiaj fochów Kamili brakowało! Powoli wszedł po schodach. Miał dość wszystkiego. Położył się na łóżku, ignorując demonstracyjnie zamknięte drzwi do pokoju dziewczyny. Nawet nie zauważył, kiedy zasnął. Obudziło go łaskotanie w policzek i światło nocnej lampki.

– Miluś? – zapytał łagodnie, przesuwając do ust palce Kamili. – Przeszło ci?

– Tak, przepraszam. Niepotrzebnie się uniosłam. Boli?

– Boli. Ale wiesz, że nie mogłem inaczej, prawda?

– Tak. – Posłała mu uśmiech, prostując się. Wolałaby, żeby do żadnej bójki nie doszło, ale poczynione w samotności przemyślenia utwierdziły ją w przekonaniu, że pewne sprawy zwyczajnie muszą się wydarzyć.

– To dobrze. – Wojtek usiadł i ponownie sięgnął po dłoń dziewczyny. Gdy padło na nią światło lampki, zobaczył czerwone ślady na skórze. – Co to jest? Co się stało?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Oparzyłam się.

– Ale jak, Miluś?

– Było mi zimno, gdy wyszedłeś. Chciałam dołożyć do pieca i zapomniałam, że drzwiczki robią się tak gorące.

– I kto tutaj rozrabia, co?

– To przecież nic. Ja... Wojtuś?

– Hm? – Rysował palcem esy-floresy na dłoni dziewczyny.

– Ja też cię kocham – wyznała cichutko to, co od kilku godzin dusiła w sobie. – Chciałam, żebyś wiedział. Nie wstawaj, przyniosę ci kolację.

Zamierzała opuścić pokój, ale chłopak przytrzymał ją za nadgarstek.

– Teraz to nigdzie nie pójdziesz – powiedział stanowczo. Wstał, ignorując ból nogi, objął dziewczynę i przyciągnął do siebie. Pocałował ją w usta, później przesunął wargi na smukłą szyję, delektując się zapachem ciała i miękkością skóry.

Kamila odchyliła głowę, aby ułatwić chłopakowi dostęp do najwrażliwszego miejsca za uchem. Zadrzała lekko, gdy dotknął go językiem. Zatopiła palce we włosach Wojtka, chcąc zatrzymać tę chwilę na dłużej, chcąc czuć więcej... On jednak miał inne plany. Wyprostował się nagle

i nie wypuszczając jej z objęć, cmoknął dziewczynę w czubek nosa.

– Na wszystko przyjdzie czas – szepnął miękko. – Zaczekamy, dobrze?

– Uhm. Lubię, kiedy taki jesteś.

– Jaki?

– Zdecydowany, stanowczy i delikatny zarazem. – „Męski” – pomyślała.

Wojtek bardzo jej dziś zaimponował: postawą wobec Tomka, odpowiedzialnością oraz gotowością bycia opiekunem w każdej sytuacji.

4.

Pierwsze dni grudnia nie miały nic wspólnego ani z piękną, złotą jesienią, ani z mroźną, białą zimą. Śnieg padał na przemian z deszczem, tworząc na ulicach i chodnikach breję, w której buty przemakały do skarpet. Wiatr wnikał w zakamarki odzieży, dotykając ciała lodowatymi palcami. Małgosia weszła do szkolnej szatni i odrzuciła na plecy mokry kaptur. Pomimo chłodu była uśmiechnięta i zadowolona. Rozpierała ją dawno zapomniana energia.

– Cześć! – powiedziała. – Nie uwierzysz, co się stało.

– Cześć. – Kamila starła z policzka koleżanki roztopiony płatek śniegu. – Uwierzę we wszystko, bo w końcu znowu się śmiejesz. Mów.

– Już, za chwilę. – Gosia umieściła kurtkę na wieszaku, po czym zmieniła mokre buty na tenisówki. – Chodź. – Wyprowadziła przyjaciółkę z szatni i skierowała się w odosobnione miejsce na korytarzu. – Była u mnie wczoraj policja. Złapali Irka na handlu prochami. To podobno grubsza sprawa, mają kilku świadków, więc odpowie przed sądem.

– No! W końcu dobre wieści. A po co byli u ciebie?

– Dzisiaj mam złożyć zeznania. Boję się, ale bardziej cieszę.

– Chcesz, żebym z tobą poszła?

– Łukasz ze mną będzie, ale dziękuję.

– To ja trzymam kciuki.

– Dzięki. – Małgosia uśmiechnęła się szeroko. Nie potrafiła ukryć, że schwywanie Irka i wizja czekających go konsekwencji dawały jej ogromną satysfakcję. – Kamuś?

– Co?

– Tylko się nie śmiej.

– Nie będę. – Kamila uniosła rękę, jakby zamierzała złożyć uroczystą obietnicę.

– Zaczynam wierzyć, że ten twój kasztan naprawdę działa.

– Pewnie, że działa! Postanowiłaś coś w sprawie Bartka?

– Nie. – Opuściła głowę, żeby ukryć zakłopotanie. – Kurczę, gdy był u nas ostatnio i spojrzał na mnie jakoś tak czule, to aż mi się gorąco zrobiło. Nie sądziłam, że będzie cierpliwie czekał.

– Czyli mu zależy. A tobie?

– Boję się. Gdyby mnie rzucił, to już bym chyba nie potrafiła z nim rozmawiać.

– Gosia, ale ty wiesz, że nigdy nie ma gwarancji! Musisz się w końcu określić, bo tego wymaga zwykła uczciwość. Bartek zasługuje na szczerą postawienie sprawy.

– Wiem. Do końca roku podejmę decyzję.

– Poprę cię, cokolwiek postanowisz.

Bożonarodzeniowa gorączka doprowadzała Bartka do furii. Nie potrafił się cieszyć barwnymi lampkami, zdobiącymi wystawy sklepów i fasady budynków. We wszystkim dopatrywał się kiczu, zastępującego prawdziwą magię świąt. Na czym miałyby ona polegać nie potrafił do końca zdefiniować. Na pewno nie na pokazowym strojeniu świata w gwiazdki, choinki i mikołaje. W myśl tego przekonania odmówił nawet świetlicowym dzieciom radości przygotowywania jasełek.

– Pośpiewamy kolędy, złożymy sobie życzenia i już – powiedział, wzruszając lekceważąco ramionami. – Nie mam ochoty na robienie przesłodzonych szopek.

Takie wytłumaczenie nie przekonało pracującej w świetlicy Ani, nie przemówiło również do wychowanków, ale chłopak nic sobie nie robił z zawiedzionych spojrzeń i niezadowolonych szeptów. Postawił na swoim. Nawet sam przed sobą nie potrafił się przyznać, że to brak cichego wsparcia Małgosi odebrał mu chęć do pracy twórczej. Siły do walki z Irkiem czerpał z wybuchowej mieszanki, jaką stanowiło połączenie miłości z żądzą zemsty. Wszelkie inne działania sprawiały mu jednak trudność. Nie potrafił wykrzesać z siebie odrobiny energii.

W wigilijny poranek odetchnął z wyraźną ulgą. Wiedział, że gdy po Nowym Roku wróci do pracy, święta będą już tylko wspomnieniem. I bardzo dobrze. Tymczasem czekało go kilka dni „nicnierobienia”. Zamierzał spędzić ten czas z mamą, dla której zawsze priorytet stanowiło napełnienie

synowskiego żołądka, „bo ty tam w Warszawie pewnie nic nie jesz”. Jadł, oczywiście, ale na pewno nie tak smacznie i nie tak zdrowo. Czasem podpytywała, dlaczego Bartek nie myśli o przyszłości, wskazując na młodszego syna, który miał już rodzinę. Wystarczyło jednak poczęstować ją zgrabnym kłamstwem, że najpierw trzeba znaleźć lepiej płatną pracę, aby zapewnić żonie odpowiednie warunki, i problem się rozmywał.

Przed wyjazdem należało załatwić jeszcze jedną sprawę. Wyjął z szuflady dużą, papierową torbę na prezenty i włożył do niej przygotowane wczoraj drobiazgi. Bał się, że Małgosia go odprawi, nawet nie wpuści za próg, ale musiał ją zobaczyć, choćby zagniewaną. Chciał, żeby czuła, że jest dla niego ważna.

– Najważniejsza – szepnął.

Wyszedł z domu w kapciach. Nie musiał nawet czekać na windę – grzecznie stała na parterze. Chwilę później nacisnął dzwonek przy drzwiach mieszkania dziewczyny.

– Bartek? – zdziwiła się na jego widok. – A ty nie jedziesz do mamy na święta?

– Jadę – odparł. – Jestem już spakowany, przebiorę się i wsiadam w samochód. Chciałem tylko... – Podał jej trzymaną w ręku torbę. – Proszę. Pogodnych świąt, Gosiu, i wszystkiego najlepszego w nowym roku.

Ostatnie słowa ciężko przeszły mu przez gardło. Miał nadzieję, że zaczną rok we dwoje. Obojętnie jak i gdzie, byle razem. Nie chciał jednak naciskać. Zaczeka tyle, ile będzie trzeba.

– Bartek, ale... – Małgosia zawahała się. Ręka, w której trzymała podarunek, zadrżała. – Nie mogę tego wziąć. Nic dla ciebie nie mam i...

– To nieważne – szepnął. – Spiesz się. Udanych świąt.

Nie czekał na windę. Zbiegł po schodach, przystając dopiero na drugim, a może trzecim piętrze. Był zziębnięty i zły. Nie tak sobie wyobrażał rozmowę z Małgosią. Chciał jej powiedzieć coś ciepłego, wyjątkowego, ale nie potrafił. Onieśmieliło go spojrzenie szarych oczu. Wydusił z siebie banalne życzenia, licząc na serdeczne przyjęcie, a jedyne, co dostał w zamian, to kolejny, precyzyjnie wymierzony pstryczek w nos. Dziewczyna zwyczajnie o nim zapomniała. Był dla niej sąsiadem, kumplem.

„Zupełnie jak kiedyś ona dla mnie – pomyślał, niespiesznie schodząc na parter. – Po raz pierwszy dałem Gosi coś na święta, nigdy nie pamiętałem o jej urodzinach czy imieninach, no i teraz mam za swoje”.

Tyle że to strasznie bolało. Bartek nigdy nie przypuszczał, że obojętność może tak zranić. Później przyszła refleksja, że skoro Małgosia go kochała, to również cierpiała, gdy ją ignorował. A jednak dzielnie to znosiła, bez słowa skargi.

– Jak ty dałaś radę, biedulko? – zapytał sam siebie, otwierając drzwi mieszkania.

W przedpokoju stała torba. Wystarczyło ją wziąć, zabrać kluczyki i uciec od wyrzutów sumienia. Chłopak nie miał jednak ochoty na miłe święta w rodzinnym gronie. Przeszedł do pokoju, włączył komputer. Myśli wciąż krążyły wokół Małgosi. Przypomniawszy sobie wszystkie drobiazgi, które mu ofiarowała. Każda okazja była dobra; pamiętała nawet o mikołajkach. Ciskał te prezenciki w kąt i przeważnie znajdował po kilku dniach albo tygodniach. Dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze przypadły mu do gustu. Kalendarz akurat pasujący do kieszeni, pióro z cieniutką stalówką, woda toaletowa o oryginalnym, miłym zapachu. Ten podarunek doceniła nawet Karina. Teraz żałował, że nie powiedział jej, czyj gust zachwalała, kiedy opierała głowę na jego ramieniu. Dopiero byłaby afera!

Bartek pokręcił z politowaniem głową na wspomnienie gromów, które ciskały oczy Kariny, kiedy coś szło nie po jej myśli; a potem aż go skręciło z zażenowania, gdy przypomniał sobie, jak się kajał przed tą rozkapryszoną damulką. A Gosia była tuż obok. Wystarczyło tylko spojrzeć, wyciągnąć rękę...

– Cholera! – krzyknął, uderzając pięścią w biurko. – Ależ byłem durniem!

Małgosia weszła do swojego pokoju i starannie zamknęła drzwi. Drżały jej ręce. Nigdy by się nie spodziewała, że Bartek przyjdzie do niej w Wigilię. Już prędzej by uwierzyła, że UFO wylądzuje na Placu Zamkowym. Ale on przyszedł. Trzymała w dłoniach namacalny dowód jego niedawnej obecności.

Zajrzała do papierowej torby: na wierzchu leżał bukietik frezji. Wydobyła go delikatnie, sprawdzając, czy żadna gałązka się nie złamała. Mężczyźni! Któż to słyszał, żeby pakować kwiaty do torby? Zakrzętnęła się, umieszczając bukietik w wazonie. Później musiała pomóc mamie w kuchni, nakryć do stołu... Dopiero po uroczystej kolacji znalazła chwilę, żeby dokładniej zbadać zawartość podarunku. Wydobyła z torby obrazek, przedstawiający park w jesiennej scenerii, ławkę, na niej otwartą książkę, na której kartach leżały

dwa liście, dotykając się brzegami.

„Śliczne” – pomyślała, ustawiając ramkę na komodzie.

W torbie znalazła również album ze zdjęciami. I nie były to jakieś tam fotki, ale wyłącznie te związane z nią i z Bartkiem. Bo w sumie bardzo wiele ich łączyło. Nauka jazdy na rowerze, koncert w domu kultury, konkurs piosenki poetyckiej, na którym zajęli drugie miejsce, przedstawienie w świetlicy i osiemnastka Małgosi. Kamila uchwyciła najmiłsze chwile, kiedy chłopak był obok, tworząc iluzję serdeczności. W albumie znalazło się też wiele przypadkowych ujęć w sytuacjach, których dziewczyna nawet nie pamiętała. Obejrzała je z przyjemnością, uśmiechając się często.

– To mnie zaskoczyłeś – szepnęła, przenosząc wzrok na stojące w wazonie kwiaty. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że frezje symbolizują prośbę o miłość.

Ponownie spojrzała na album. Był zapełniony tylko do połowy, zupełnie jakby zadawał pytanie, czy czeka ich jeszcze wspólna przyszłość, godna uwiecznienia... Nie ulegało wątpliwości, że został stworzony specjalnie dla niej, a zdobycie tylu zdjęć i przygotowanie ich w jednym formacie na pewno nie było łatwe. Bartek zrobił to dla niej, chcąc pokazać, że pamięta.

– Gosia... – Łukasz położył rękę na ramieniu siostry. – Chodź, mama pokroiła ciasto. Nie siedź tu sama.

– Już idę. – Odłożyła album i wstała. Brat patrzył na stojący na stole bukiet.

– Od Bartka? – zapytał.

– Tak.

– Może powinnaś do niego pójść, co?

– Wyjechał na święta.

– Przed chwilą widziałem jego samochód na parkingu.

Fora internetowe w wigilijny wieczór zamarły. Sporadycznie pojawiały się świąteczne życzenia, ale na żadną sensowną dyskusję nie było szans. Każdego pochłaniały własne sprawy. Bartek napisał kilka postów, ale nie doczekał się odpowiedzi. Sprawdził pocztę; dostał kilka świątecznych maili, w tym jeden od dziewczyny skrzywdzonej przez Irka. Dziękowała i życzyła dużo miłości na święta.

– Miłości – mruknął z goryczą chłopak. – Moja miłość wygląda coraz

bardziej beznadziejnie.

Włączył grę i po chwili był w odległym, niemającym związku z rzeczywistością świecie.

Uderzył pięścią w biurko, gdy usłyszał dzwonek z przedpokoju. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Gość był jednak nieugięty i wduszając przycisk przy drzwiach, niestrudzenie informował, że nadal czeka. Bartek przetaił oczy i poszedł sprawdzić, kto jest taki uparty.

– Gosia? – zdziwił się, gdy ujrzał na progu szczupłą postać, ubraną odświętnie w czarną spódnicę i cienką bluzkę w czerwone kwiaty.

– Mogę wejść? – zapytała.

– Jasne. Napijesz się czegoś?

– Nie. – Przytrzymała go za rękę, gdyż chciał iść do kuchni. – Pocałuj mnie.

– Co? – Bartek posłał jej zdumione spojrzenie.

Oblała się pąsem zakłopotania, ale nie opuściła głowy.

– Zrób to – szepnęła.

Chłopak uniósł brodę dziewczyny i musnął wargami jej usta. Uśmiechnęła się leciutko, a on spił ten uśmiech, pogłębiając pocałunek i otaczając ramionami szczupłe plecy Małgosi. Kiedy zarzuciła mu ręce na szyję, wykonał energiczny ruch. Pisnęła, tracąc grunt pod stopami, a potem zaśmiała się cicho, opierając głowę na jego ramieniu. Przeniósł ją do pokoju i usiadł na fotelu, umieszczając sobie dziewczynę na kolanach.

– A teraz się tłumacz – nakazał surowo. – Od kiedy dziewczęta się tak nieprzyzwoicie zachowują, co?

– Znowu będziesz krzyczał? – droczyła się z nim.

– Nie. – Dotknął jej gorącego policzka. – Czekałem na ciebie.

– Bo ja jednak mam dla ciebie prezent, ale nie wiem, czy ci się spodoba.

– Ty mi się podobasz. Ej, co wyprawiasz, wiercipięto? – Przytrzymał ją, bo właśnie przekładała nogę nad jego udami. – Chcesz spaść?

– Nie. – Cmoknęła go w czubek nosa. Zdjęła mu okulary i odłożyła na bok, wiedząc, że będą tylko przeszkadzać. Dotknęła wargami groźnej zmarszczki między brwiami, zasypała pocałunkami czoło, policzki i brodę Bartka, z premedytacją omijając usta. Skupiła uwagę na oczach. Pieściła powieki, muskając je czubkiem języka. Przeczesała palcami gęste włosy chłopaka, pilnując, żeby nie podglądał. Teraz miała go dla siebie, mogła robić, co chciała. Przedłużała tę chwilę, ciesząc się odrobiną dominacji. Kiedy Bartek próbował przejąć inicjatywę, przywoływała go do porządku delikatnym

kąsaniem w ucho. Pozwoliła mu tylko wodzić dłońmi po swoich plecach. Przez cienką bluzkę czuła ich ciepło, żar niemal, wędrujący wzdłuż kręgosłupa i powodujący elektryzujące dreszcze.

– Gonia, no już – szepnął w końcu, zniecierpliwiony zabawą w kotka i myszkę. Uniósł ją, a potem opuścił między rozsunięte kolana, więząc w pułapce ud i ramion.

Nie zdążyła go skarcić. Ręce chłopaka powędrowały na jej pośladki, przyciągając ją jeszcze bliżej, a usta chciwie wpiły się w wargi. Były nieco brutalne, nie pozwalały na opór. Bartek chciał, żeby Małgosia poczuła jego siłę, doświadczyła mocy uczucia, nabrała pewności, że jest szczerze. Dopiero po dłuższej chwili pozwolił jej odetchnąć, ale nie wypuścił z ramion, tylko przytrzymał blisko siebie, w pozycji klęczącej.

– Oszalałeś – oświadczyła, udając obrażoną.

– Ja? Przecież to ty zachowujesz się karygodnie. – Dał jej lekkiego klapsa.

– Bo pójdę.

– Prezentów się nie odbiera. Jesteś moją gwiazdką i pójdiesz, jeśli ci pozwolę.

– Despota.

– No coś ty, Gosieńko? – Potarł nosem o zarumieniony policzek dziewczyny. – To ty mnie dzisiaj ostro tresowałaś. Aż mnie ucho boli. Gdzieś ty się tego nauczyła, co?

– To magia kasztana.

– Kasztana?

– Uhm...

– Niech ci będzie.

Oficyna wydawnicza [RW2010](#) proponuje:



Aneta Rzepka: Sonata o marzeniach

Znajdę cię w wielkim mieście, wśród zwykłych zmagañ...

Czasem nawet porządna, miła, dobra dziewczyna zrobi coś niemądrego. Natalia Klimek wraca wzburzona z wywiadówki. Nauczycielka poinformowała ją, że jej córka, klasowy skarbnik, przywłaszczyła sobie pieniądze, wpłacone przez kolegów na ubezpieczenie. Natalia nie wierzy, nie mieści jej się to w głowie, ale... Iza przyznaje się do kradzieży. Zarazem odmawia odpowiedzi na pytanie, dlaczego to zrobiła. Co się za tym wszystkim kryje? Jaką rolę odegrała w całej sprawie kapryśna Dominika? Czy pomoże kuzynce pozbyć się etykiety złodziejki? Zwłaszcza że Izie tak bardzo zależy na dobrej opinii w oczach Łukasza...

Izę i Dominikę dzieli bardzo wiele. Jedna jest osobą życzliwą, otwartą na świat, potrafiącą czerpać radość z małych rzeczy. Druga to egoistka, która lubi błyszczeć i nie zważa, kogo zrani w drodze do celu. A jednak obie szukają w życiu tego samego: miłości, akceptacji, poczucia bezpieczeństwa; obie wierzą w spełnienie marzeń, nawet jeśli się z tym nie zdradzają.

Edward Zyman: Gdy krzywe jest proste

W życiu jak matematyce: jeżeli idzie za łatwo, zapewne robisz coś źle.

Siedemnastoletnia Caroline Prajs urodziła się w Kanadzie. W wieku dwunastu lat wyjechała wraz z rodzicami do Polski. Jest więc dość

Edward Zyman

W życiu jak w matematyce: prostsze jest niż łatwiejsze, a głębsze niż bardziej złożone



**GDY KRZYWE
JEST PROSTE**

R
U
D
I
O

rzadkim przypadkiem emigrantki, której sytuacja stanowi odwrócenie losów znacznej części współczesnej polskiej młodzieży. „Gdy krzywe jest proste” to wartka, pełna uroku, humoru i wzruszeń opowieść o relacjach rodzinnych młodej bohaterki i jej trudnej adaptacji do odmiennych warunków i nowego środowiska.

Żywa narracja i dowcipne dialogi wprowadzają czytelnika w świat życiowych problemów nastolatków oraz niełatwe dylematy ich pierwszych młodzieńczych

miłości.

JOANNA ŁUKOWSKA
Gdy dorastasz, rodzice wciąż traktują cię jak dziecko,
zarazem każą ci podejmować życiowe decyzje.



WYBORY
LINNE
OPOWIADANIA

Joanna Łukowska: Wybory

Gdy dorastasz, rodzice wciąż traktują cię jak dziecko, zarazem każą ci podejmować życiowe decyzje.

„Wybory” to zbiór siedmiu pełnych ciepła i humoru nowelek, opowiadających o dorastaniu, przyjaźni, miłości i podejmowaniu decyzji: tych błahych i tych na całe życie. Coś dla młodszych i starszych, dla dziewcząt i chłopaków, dla wszystkich, którzy nie wstydzą się swoich uczuć.

Tytułowe „Wybory” to historia rozgrywki między prymuską Zosią a nonszalanckim Antkiem Romanem, dwojga imion, z których jedno jest nazwiskiem. Oboje, nieco wbrew sobie, zostają wmanewrowani w wybory na przewodniczącego samorządu szkolnego. Kto wygra? A może inne wybory okażą się dużo ważniejsze...

Kolejne opowiadania o znamienych tytułach zapewnią czytelnikom wiele emocji i zaskakujących point: „Pyzo, wróć”, „Dziennik, pryszczę i cudze sekrety”, „Działka, moja zmora”, „Wakacje w siodle”, „Korepetycje z przyjaźni”, „Smok i dziewczica”.

Emma Popik: Tajemnice Emilki

Zadawaj pytania i szukaj odpowiedzi.

„Tajemnice Emilki” to opowieść o wrażliwej, ciekawej świata dziewczynce, która nawet nie podejrzewa, jak wiele zmieni w jej życiu jedno wydarzenie, jeden sekret. Emilka zaczyna inaczej postrzegać świat wokół siebie. Próbuje



rozwikłać zagadkę kociąt, poznaje tajemnice innych. Zaczyna zadawać pytania, których wcześniej nie zadawała. I widzi rzeczy, na które przedtem nie zwracała uwagi.

Kto porzucił kotki pod płotem? Kim są sieroty europejskie? Czemu chłopcy się biją? Dlaczego bibliotekarz w ciepły dzień chodzi w szaliku? Kto mieszka w dzikim sadzie? Kto rozmawiał pod oknami dziwnie trzaskającym głosem? Co ukrywa Babcia?

A Jolka? Co znaczy grzeczność Nuli? Jaki naprawdę jest Aki? Co trzyma w swojej wielkiej torebce pani Rysia? Może dobre wychowanie? Czy bliźnięta mogą być zupełnie do siebie niepodobne?

Wiele pytań zaprzęta Emilkę, która podąża od jednej przygody do drugiej, od jednego sekretu do drugiego. Niepostrzeżenie kształtuje się charakter Emilki – staje się coraz silniejsza, odważniejsza i pewniejsza siebie. Zdobywa wiedzę, jak odmawiać, gdy nie chce czegoś zrobić, i jak nie przejmować się tym, na co nie ma wpływu.

Przypisy

[1](#) C. K. Norwid, *Marionetki*.

[2](#) Bohaterowie cytują tekst A. Fredry, *Zemsta*, Warszawa 1994, s 75-77.